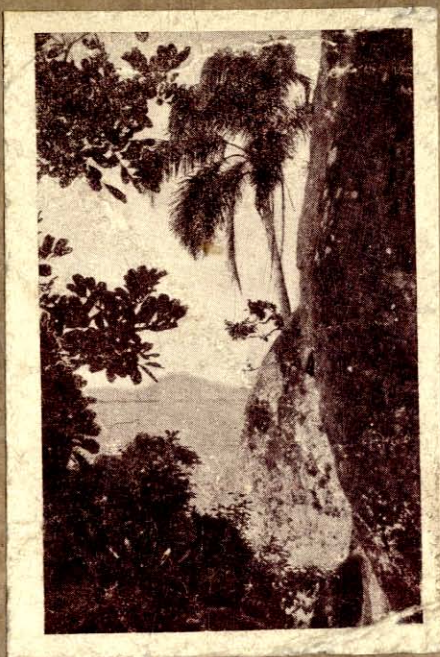




JERZY OSTROWSKI

Z I E M I A
ŚWIĘTEGO KRZYŻA
(BRAZYLJA)

ZE 100 ILUSTRACJAMI

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

112

ZIEMIA ŚWIĘTEGO KRZYŻA

18-v



JEDNA ZE STARYCH, NAIWNYCH MAP BRAZYLJI. WIDOCZNY NA NIEJ PODZIAŁ
POBRZEŻA NA «KAPITANJE», GŁĄB ZAŚ LĄDU OZNACZONA JAKO «BRASILIA
BARBARORUM»

JERZY OSTROWSKI

**ZIEMIA
ŚWIĘTEGO KRZYŻA
(BRAZYLJA)**

ZE 100 ILUSTRACJAMI



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

dubel R 77 665
R 79 032
dubel z 73644

~~BIBL. PUB. UL. ST. W-wy~~

Nab. 25213



310959

BIBLIOTEKA UNIwersYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0289132

Bibl. Publ. ul. St. W-wy
Wymiana

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1929

2/55/09p

I. ROZCZAROWANIA.

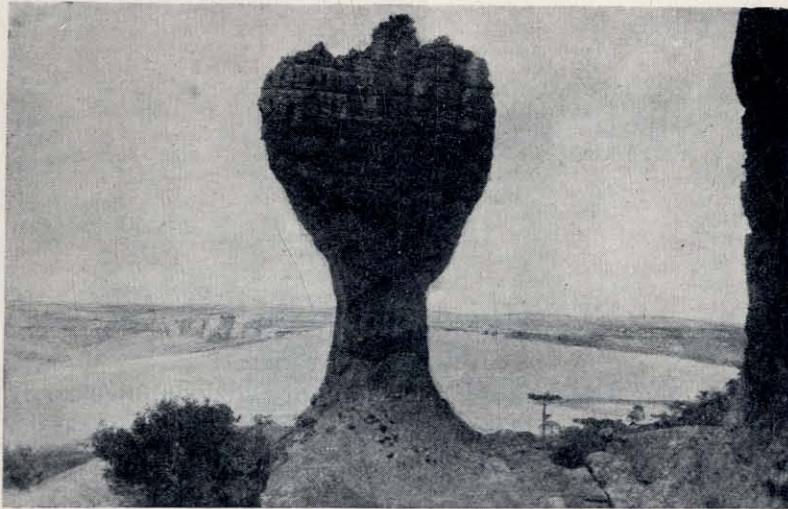
Aby dać czytelnikowi polskiemu prawdziwe pojęcie o Brazylii, trzeba mu odebrać przedtem pewne złudzenia, zasiane przez niektóre utwory dotychczasowej literatury podróżniczej stamtąd.

Nie wiem, czy klimat tego kraju tak pełnego żaru roz-pala wyobraźnię, skłaniając ją do przesady, jednostronności i patosu, czy też chciwa silnych, sensacyjnych wrażeń publiczność polska zmusza niejako swego pisarza, aby jej głód nakarmił, ale faktem jest, że Brazylja prawdziwa nie jest podobna do Brazylii z polskich książek.

Książki te czytają stare «parańczyki» z niewyraźnym uśmiechem i kiwają głowami, a czasem wezmą czerwony ołówek i mściwie podkreślają wszystkie poezje i fantazje, poczem książka wygląda, jak twarz niemieckiego bursza, pocięta bliznami.

Dwa są motywy, wpływające na niedokładne przedstawianie Brazylii przez pisarzy polskich: chęć zaimponowania mało naogół podróżującej publiczności polskiej niebezpieczeństwami «dzikiego kraju», w którym się było, lub sui generis patriotyzm, skłaniający do przeceniania roli żywiołu polskiego w Brazylii.

Drugie zjawisko, bo pierwsze nie wymaga komentarzy, jest dlatego szkodliwe, że usypia naszą czujność tam, gdzie mogłaby się ona bardzo i bardzo przydać (np. w postaci propagandy naszej państwowości), i napawa nas bezpodstawnym nieraz optymizmem.



FOT. GROFF

SKALA WAPIENNA W MIEJSCOWOŚCI VILLA VELHA, W STANIE PARANÁ
W OKOLICY STEPWEJ. SKALĘ TĘ NAZYWAJĄ «PIEŚĆ BOGA»

Nie jestem powołany do prostowania wszystkich nieścisłości, które w tej dziedzinie mogły się wymknąć autorom, muszę jednak odebrać publiczności polskiej bodaj kilka najpiękniejszych złudzeń.

A więc wodny wąż dusiciel Anakonda (Sucurri) nie dochodzi niestety nigdy do 40-stu metrów długości. Najwyższa długość węża w Brazylii (notabene niejadowitego) sięga 10-ciu metrów, według dostatecznie autorytatywnego źródła, bo dzieła dyrektora Instytutu «węzowego» Butantan w São Paulo (Vital Bresil. «Defeza contra ophidismo» São Paulo 1911).

Czasem zdarzy się, jako okaz wyjątkowy, wąż, dochodzący do 12-tu i 13-tu metrów, co już jest potworną długością.

Nie jest też «zwyczajem» drażnienie żmii przed zabiciem, przeciwnie — naogół pomija się ten ceremoniał i robi się to całkiem wulgarnie i poprostu. Jeżeli drażni się żmiję, to jedynie poto, aby pokazać świeżemu przybyszowi z Europy, że żmija nie jest tak straszna, skoro się ją dostrzegło, jest się w sztylpach i ma się kij w ręce.

Znaczną jest również omyłką, jeżeli podaje się fotografię typowego siodła meksykańskiego (mało nawet tu używanego) za podobiznę typowego siodła brazylijskiego, które całkiem inaczej wygląda, a fotografię namiotu Indian Botokudów, jako dom Brazylijanina «kabokla».

Stosunek starych bywalców tutejszych do świeżo przybywających podróżników, którzy bohatersko stawali w najbardziej karkołomnych przygodach, a nie wiedzieli, jak mi to złośliwie podkreślano, z której strony siada się na konia i jak się zapina popregi, charakteryzuje dobrze poniższy wyjątek pióra pewnego Polaka brazylijskiego, opisującego noc w puszczy:

«Wokoło głęboka cisza, żadnym niezamąconą głosem, bo to, co piszą różni zawodowi podróżnicy o rykach panter, rozpaczliwych krzykach mordowanych czworonogich mieszkańców leśnych i o tajemniczych odgłosach nocy podzwrotnikowej, należy uważać za plód rozbujanej fantazji.

Taki uczony pan, w ciągu kilkutygodniowej podróży naukowej, spotyka takie nadzwyczajności, jakich zwykły śmiertelnik, urodzony i osiwiały w puszczy, nigdy nie widział.



FOT. GROFF

SKALA WAPIENNA W VILLA VELHA, POD PONTA GROSSA. NOSI NAZWĘ «SFINKSA»

Na każdym noclegu przerywa mu błogi sen ryk jaguara, wrzawa papug, chociaż te, o ile wiem z własnego doświadczenia, w nocy śpią, jak każde porządne stworzenie; rano stacza walkę z małpami, po południu dostaje się w szpony olbrzymiego grzechotnika, który tylko dlatego śmiertelnie go nie ukąsił, że miał żabę w pysku, jakiej tak prędko ani wypłuć, ani połknąć nie był w stanie.

Mój Boże! Podczas tyloletniej włóczęgi po lasach brazylijskich, nietylko z przyjemności albo zachłanności naukowej, ile z twardej potrzeby, dwa razy tylko usłyszałem ryk jaguara..., ale małpy nie atakowały mnie nigdy, nigdy też nie borykałem się z mrówkojadem i ani razu nie nadeptałem grzechotnikowi na ogon.

Może, jak we wszystkim, tak i w tem nie miałem szczęścia, a może te różne drapieżne zwierzęta czują jakiś specjalny pociąg do uczonych i garną się do ich towarzysstwa...¹⁾

Inny bywalec tutejszy, na wieczornej wycieczce podmiejskiej, autem, kiedy las wyglądał istotnie nieco fantastycznie w świetle reflektorów, wyraził żal, że niema z nami pewnego podróżnika polskiego, gdyż wówczas, jak twierdził, za każdym krzakiem siedziałby jaguar i «wydrzeźniałby się». Taką moc orfeuszowską przypisują parańczycy niektórym ze swych rodaków z za oceanu.

Abyśmy się mogli porozumieć, wystarczy mi tymczasem, jeżeli czytelnik porobi w swojej wyobraźni kilka przynajmniej poprawek, a więc:

nie będzie identyfikował Parany, jednego z 21 stanów Brazylii, z całą Brazylią;

nie będzie sobie wyobrażał Brazylii, jako jednolitej, ogromnej puszczy, (wzięty z języka induskiego, poprzez Kiplinga, wyraz «dżungla» jest w każdym razie zupełnie nie na miejscu), wobec tego chociażby, że istnieją tu wielkie połacie stepowe tak na północy kraju (stan Ceará), jak na południu (stan Rio Grande do Sul), jak wreszcie w samej Paranie (Palmas, Ponta Grossa);

¹⁾ Efde (Fr. Dybowicz). DLA SIODŁA. «Świt» Nr. 22. 1927 r.

wobec tego wkońcu, że są tu duże, ruchliwe i bogate miasta, na miarę północno-amerykańską zakrojone;

nie będzie przypuszczał, że jaguary szwendają się pod pachę z «jararacami» po podwórkach, ale przeciwnie — uwierzy, że owa «onça» (jaguar) jest nawet dość trudna do upolowania, gdyż nie jest to zwierzę tak pospolite i gęsto rozprzeszczerzone;

jeżeli dalej czytelnik pogodzi się z tem, że straszne przygody, gdzie w grę wchodzi 6-cio strzałowy Schmidt lub Colt, zdarzają się przeważnie w tych samych sferach i w podobnych lokalach, jak u nas, lub w okresie jakiejś miejscowej rewolucji czy buntu; że jednak naogół zamachów i mordstw jest znacznie mniej, niż u nas, może właśnie dlatego, że każdy chodzi tu uzbrojony, co na nieprzyzwyczajonego robi wrażenie, jakby był otoczony przez opryszków. Jest tu przecież wielu Polaków, którzy, włócząc się po kilkanaście lat po «interiorze», nie byli nawet zmuszeni do wyjęcia rewolweru;



FOT. J. O.

FRAGMENT PARKU MIEJSKIEGO W KURYTYBIE

że wreszcie nie jesteśmy tu — niestety — jakąś warstwą stojącą na czele i uczącą półdzikich i czarnych tubylców kultury, lecz w pewnej mierze jesteśmy właśnie warstwą najniższą, bo reprezentującą jedynie chłopów-rolników, wskutek czego przez zamiłowanych w geście i elegancji (choćby taniej nieraz)



FOT. WEISS, KURYTYBA

PRAWIE STULETNI MURZYN

w spadku po starej cywilizacji śródziemnomorskiej.

Błędem jest również przedstawianie Brazylijan, jako notorycznych tchórzów, którzy umykają na widok bohaterskiego Polaka: niestety to na kolonjach polskich zdarza się zupełnie przeciwnie, i Polak wobec Brazylijan przejawia nawet raczej pewną ustepliwość, biorąc pod uwagę ewentualne konsekwencje awantury dla siebie, a prawdopodobną bezkarność dla Brazylijanina.

Twierdzenie zaś, i to człowieka, który wykazał skądinąd znajomość Brazylii, że Polacy uczyli Brazylijan zwyczajów towarzyskich i nadawali modę, jest doprawdy zbyt już opty-

Brazylijan — Polak jest nazywany wołem roboczym («polaco-burro», dosł. polak-osioł). Wielkie obszary ziemne, handel, przemysł, wolne zawody, rządy kraju i wreszcie życie towarzyskie są domeną jedynie Brazylijan, Niemców, Włochów i Syryjczyków. Istotnie, w stosunku do t. z. «caboclo», mieszkańca lasów, zazwyczaj dość ciemnego mulata, kolonista polski odznacza się większą produktywnością i gospodarnością, a nawet wyższym poziomem potrzeb, ale już w sposobie bycia, geście, wymowie bije go kabokło jakąś grandezzą, pozostałą

mistyczne i nie pokrywa się z rzeczywistością. Pomija ono zupełnie istnienie towarzyskich sfer brazylijskich, do których nikt prawie z Polaków nie ma wstępu, pomija płytkie coprawda, ale wielkoświatowe Rio de Janeiro i wiele innych miast, pomija wpływ choćby macierzystej Portugalii — dawniej, a często odwiedzanej Francji — obecnie. W najlepszym razie może to być odważne hiperbolizowanie i generalizowanie drobnego faktu, że w jakimś jednym miasteczku, w pewnym okresie czasu, była jedna lub dwie rodziny polskiej inteligencji, które mogły imponować mieszkańcom tej prowincji.

Już sam fakt, że emigracja nasza do Brazylii była i jest prawie czysto włościańska, czyni nieprawdopodobnym takie przypuszczenie.

Szkolnictwo polskie z kolei, jakkolwiek zasługuje na uznanie w swej ciężkiej walce o byt, stoi jednak, trzeba to wyznać otwarcie, na bardzo jeszcze niskim poziomie. «Szkół średnich», o których się często spotyka wzmianki, nie ma. Istnieją jedynie trzy t. z.



FOT. X. KOMANDER

STARA MURZYŃKA Z PROWINCJI

«kolegja» to jest szkoły powszechne, zorganizowane nieco wyżej, niż przeciętne szkoły po kolonjach, ale nie dorównujące nawet naszej 7-mio klasowej szkole powszechnej. Nie są też



FOT. X. KOMANDER

MURZYN, GRAJEK WĘDROWNY

one szkołami średnimi z punktu widzenia prawa brazylijskiego, lecz właśnie podstawą i przygotowaniem do gimnazjów. Wydaje mi się, że patos i różowe szkła nie ułatwiają zobaczenia rzeczywistości, przeciwnie, krępują nasze kroki i kierują je mylnie, podczas gdy znajomość prawdziwego stanu rzeczy mogłaby nas skłonić do zapobieżenia złu. Tak np. trzeba sobie uprzytomnić, że Brazylijanie, sądząc Polskę jedynie po wychodźstwie, które znają z bliska, wyobrażają ją sobie, jako kraj, stojący na dość niskim poziomie kultury, i byłoby nawet w interesie tegoż wychodźstwa

Tyle tymczasem; inne nieścisłości postaram się prostować przy okazji, w dalszym ciągu książki. Jeżeli zaś i mnie zdarzą się owe nieścisłości, które widzę w oku bliźniego swego, to w każdym razie nie będą one świadomem fantazjowaniem w pierwszej osobie liczby pojedynczej.



FOT. Z. BOJARSK

«CABOCLO» T. J. CHŁOP Z GŁĘBOKIEJ
PROWINCJI — «INTERIORU»

II. CHARAKTER NARODU.

Chcąc sobie zdać sprawę z charakteru obecnych Brazyłjan, trzeba wziąć pod uwagę kilka ważnych czynników, które się nań złożyły, a więc:

Cechy południowców, które znajdujemy u Portugalczyków, pierwszych i głównych kolonizatorów;

dobór pierwszych osiedleńców-awanturników, a następnie zsyłanie tam przestępców kryminalnych, jak to zresztą miało miejsce w wielu innych kolonjach;

ogromna swoboda indywidualna, nie tylko wynikająca z natury charakteru, ale również z powodu odległości metropolji i olbrzymich przestrzeni, na których prawo ani nie dosięgało winnych, ani nie protegowało pokrzywdzonych;

dopływ krwi murzyńskiej i indyjskiej, który spotęgował pewne cechy typowe dla ras południowych, jak: zamiłowanie jaskrawości zabaw, pewną naiwność i dobroduszość, a zarazem brak wytrwałości w każdej zorganizowanej pracy.

Wreszcie specjalne warunki kraju niezaludnionego, zdobywanego dopiero w ciężkiej walce przez mężczyzn przy małej względnie ilości kobiet.

Wszystkie te przyczyny wpłynęły na to, że w charakterze dzisiejszego Brazyłjanina występuje — tak typowe dla ras młodszych i ludów południowych — połączenie pewnej apatii i obojętności z wybuchami gniewu lub hucznej wesołości; chaotyczności i samowoli w życiu publicznym, a ścisłości i wyłączności życia prywatnego i rodzinnego, zamiłowania do zewnętrżności i natychmiastowego użycia i nieumiejętno-



GRUPA KOSTJUMOWA «INDJAN» NA «BALU NARODÓW» W KURYTYBIE

ści planowego współdziałania dla osiągnięcia pewnych celów wspólnych.

Brazyłjanin posiada bardzo dużo flegmy, niesłusznie przypisywanej, jako monopol, synom Północy. Utarło się na to nawet specjalne określenie: «calma brasileira», której wyrazem jest — tak często powtarzane: «paciencia» — cierpliwości!

Z początku drażni to nerwowego Europejczyka. Wszedł do sklepu — nikt się tem nie przejmuje: klient sam powie czego chce i jeśli potrzebuje naprawdę, to poczeka. Droge zagroziło stado mulów — no, to poczekamy, czemuż się de nerwować? — i szofer długo zapala papierosa.

Drażni to z początku, ale potem ten spokój i to uśmiechnięty spokój udziela się ponuremu nieco Europejczykowi.

W okresie, kiedy poznawałem dopiero arkana szoferstwa i samochód wydawał mi się podstępny stworem, który leci bez pamięci, nie zważając na moje zamiary — na głównej ulicy Kurytyby, «zatańczył» przed autem jakiś jegomość, w złośliwy sposób, wspólny wszystkim przechodniom świata.

Ziemia Św. Krzyża

Kiedy po kilku gwałtownych skrętach, grożących szybką śmiercią jemu, mnie i naiwnym, którzy odważyli się zaufać mi, wymijałem go wreszcie i oczekiwałem, że sobie wzajemnie powiemy coś niemiłego, jakby to miało miejsce na przykład... w Warszawie, rozbroił mnie całkowicie wesołym zapytaniem:

— Estava perigoso, não é? — Było niebezpiecznie, nieprawdaż?

Drugą cechą, która drażni Europejczyka, jest swoisty, poufały demokratyzm, który razi zwłaszcza u służby, fryzjerów, kelnerów i t. p.

Taki sobie młodzieniec, nalewający kawę, zagląda ci do listu, który czytasz, albo gazety i interesuje się jakąś nowiną, a mistrz balwierstwa zatrzymuje ci brzytwę na gardle i gromkim głosem zwalcza swego kolegę, z drugiego końca sali, który ośmielił się twierdzić, że «Buick» jest do niczego na boczne drogi.



GRUPA POLSKA NA «BALU NARODÓW» W KURYTYBIE, KTÓRA OTRZYMAŁA PIERWSZĄ NAGRODĘ ZA ODTAŃCZENIE MAZURA. BYŁ TO PIERWSZY TEGO RODZAJU WYSTĘP POLSKI NA TERENIE TOWARZYSKIM



WYD. LIVRARIA CENTRAL
KOŚCIÓŁ WE FLORIANÓPOLIS (ST. CATHARINA)

Poufałość ta jest wynikiem nie tylko wrodzonej dobroduszości: w południowych stanach, opartych na emigracji, drobnej własności i ideale dorabiania się — każdy ma nadzieję zrobić majątek, każdy jest panem dla siebie i nikogo nie potrzebuje.

W stanach północnych, jak utrzymuje ich znawca, Pierre Denis, autor «Le Brésil au XX-e siècle», przeważa raczej typ poważnej karności rodzinnej i społecznej, na modłę dawnych «familij» rzymskich. Bo też północ ma przewagę wielkiej własności — «fazend», niepozbawionych nawet swego rodzaju «klientów».

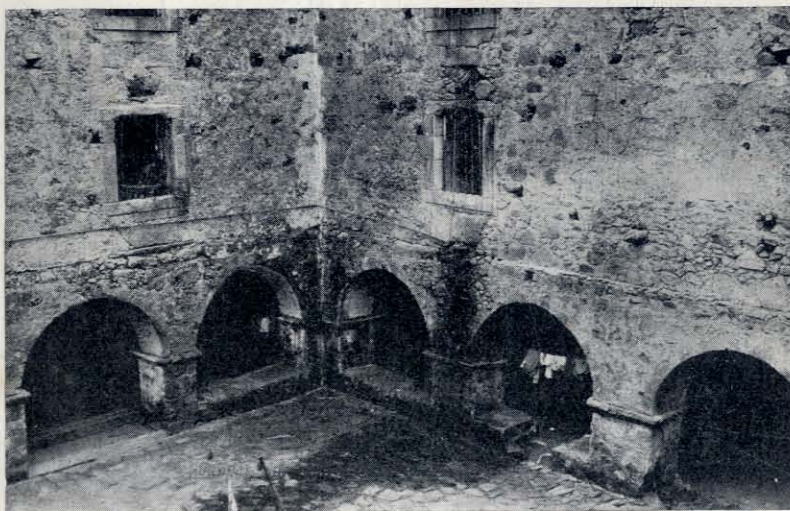
Ta jednak poufałość Południa, mocą dziedzicznych cech starej kultury łacińskiej, nigdy nie jest wulgarna. Przeciwnie: delikatność Brazylijan wprost zastanawia, zwłaszcza tam, gdzie się jej nie spodziewamy, u mieszkańca jakiegoś zapadłego «interioru», — «cabocla» lub «tropera» — pastucha «tropy» bydła.

Obowiązkowe «bom dia» (czyt. «bą dija» — dzień dobry), «boa tarde» (dobre popołudnie) i «ate logo» («do nieza-długo») jest niezmiennym prawidłem ceremonjału.

Opowiadano mi, że jakiś przejezdny, który nie pozdrowił «cabocla», stojącego przy chacie — spadł z konia za chwilę i «caboclo» był przekonany, że to Bóg go skarał.

Typowe powitanie (i pożegnanie) brazylijskie, polegające na objęciu się i klepaniu po plecach, ma istotnie pewien odcień prostackiej poufałości, stosuje się je jednak tylko w pożyciu bardziej zażyłym i odpowiada wówczas naszemu pocałunkowi między mężczyznami, który znowu wśród Brazylijan wywołuje śmiech. Podobno zresztą zwyczaj ten wynika z obmacywania, czy przyjaciel nie ma broni, co niezawsze jest objawem częściej ciekawości...

Delikatność ta i związane z nią niezmiernie poszanowanie indywidualnej wolności wyraża się, między innymi, w zwyczaju klaskania przed domem, dla wywołania gospodarza który dopiero pozwala wejść. Zwyczaj ten jest stosowany równie dobrze w mieście, jak na głębokiej prowincji («interiorze»), z tą tylko różnicą, że w tym ostatnim wypadku trzeba nieraz wołać długo i głośno: «O, de casa!» (czyt. «O, de



FOT. GROFF

PODCIENIA STAREGO KLASZTORU JEZUICKIEGO W PORTOWYM MIASTECZKU
STANU PARANA — PARANAGUÁ



«AVENIDA NIEMEYER» W STOLICY BRAZYLII, RIO DE JANEIRO

kaza! — Hej, z domu!) lub: «Gente de casa!» (czyt. Zente de kaza!) — Ludzie z domu!), zanim ktoś wyjrzy i powie: «Pode entrar» lub «A pe» («Można wejść» lub: «na nogi» t. j. «z konia»).

Nawet policja, przychodząc aresztować, nie pomija tego ceremonjału, a w nocy wogóle nie najdzie domu, chyba świadomie planując grubszą samowolę. Ba! — uprzejmość policji idzie nieraz tak daleko, że poufnie zawiadamia winowajcę, że przyjdą go aresztować i że byłoby może lepiej, gdyby wydał się na parę dni, po których już nie może być aresztowany według prawa «in flagranti».

Również najprostszy «caboclo», który nie umie czytać i pisać, który nie widział nigdy miasta i pociągu — ma tyle dworności i «grandezzy», pozostałej mu — mimo mieszanin krwi — po rycerskich przodkach, conquistadorach, że w każdej sytuacji życiowej znajdzie się poprawnie, zwłaszcza, że obdarzony jest również ogromną łatwością wysłowienia się, tak typową dla ras łacińskich.

Owa «calma» brazylijska i jakieś wrodzone poczucie taktu sprawiają, że młoda dziewczyna, która wychowuje się

prawie w zamknięciu, zdala od ludzi, która nie zna modnej sztuki i literatury, ani nie jest wyćwiczona w szermierze słów — nigdy, nawet w najświetniejszym towarzystwie nie będzie śmieszna, zakłopotana lub pretensjonalna, co — niestety — charakteryzuje prawie wszystkie Polki tutejsze z półinteligencji.



DRZEWKA «HERVOWE»

FOT. J. O.

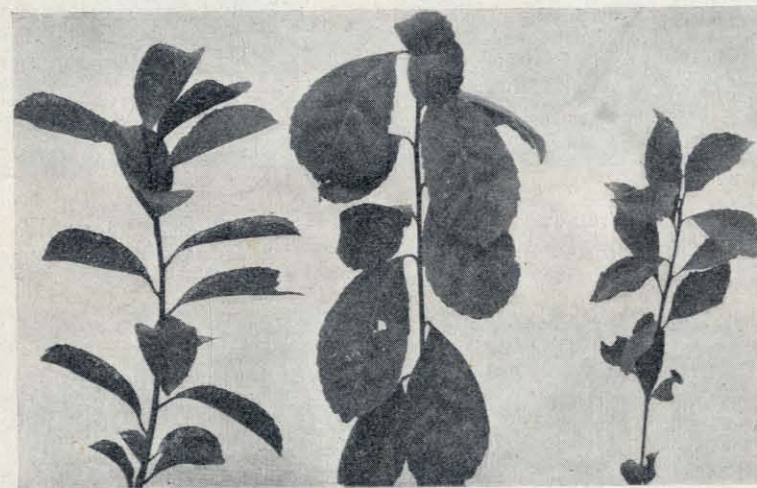
czyt. «senjor» wzgl. «sinjor») z czasownikiem w trzeciej osobie.

Pozatem świadczy dodatnio o omawianym rysie charakteru fakt, że w języku portugalskim nie masz prawie przekleństw i wyrazów obraźliwych. Słyszałem raz kłótnię dwojga dzieci, dość ubogo ubranych: chłopiec zasłonił sobą drzwi i nie chciał wpuścić dziewczynki do domu. Dziewczynka była w najwyższym stopniu oburzona i rozgniewana, ale nie umiała znaleźć nic bardziej dotkliwego, niż powtarzanie w kółko: «Desgrassado! Sem educação!» (Czyt. Dezgrasado! Señ edu-

O delikatności brazylijskiej świadczyć może również fakt, że prawie nie używana jest forma «tu» — ty, lecz «voê» (czyt. «wosé») — coś jakby nasze «waszmość», pośrednie pomiędzy «ty» i «pan». Formy tej używają często Brazylijanie, zwracając się nawet do zwierząt. Natomiast chcąc okazać pewne lekceważenie, używa się oryginalnej formy «seu», której odpowiednika nie można nawet znaleźć w języku polskim; dosłownie oznacza to «jego», a odpowiadałoby może polskiemu zwracaniu się przez «niech on». Normalnie zaś używa się tak, jak w naszym języku formy «pan» («Senhor» —

casą! — Nieprzyjemny! Bez wychowania!) Przyczem tak starannie wymawiała końcowy dźwięk nosowy, że traciło to wszelki «rozmach» oburzenia.

Specjalnie jednak godzien jest uznania stosunek Brazylijan do kobiet: samotna kobieta nigdy nie będzie zaczepiona w Brazylii, nikt sobie nie pozwoli na jakieś głośne dwuznaczniki, policja — w sprawie, gdzie w grę wchodzi kobieta — stara się jeszcze mniej interwenjować, niż zazwyczaj, a nawet w razie jakiegoś napadu rabunkowego, czy z zemstą oso-



FOT. FRANK. R. VERMELHO

TRZY ODMIANY «HERVY» — HERBATY BRAZYLJSKIEJ

bistej — napastnicy potrafią zawahać się i odstąpić od zamiaru, jeżeli wśród ewentualnych ofiar znajduje się kobieta. Oczywiście o jakimś brutalnym czy obelżywym odezwaniu się do kobiety, choćby nawet kobiety publicznej — niema mowy.

Jeżeli zaś w jakiejkolwiek sytuacji padnie obelga — natychmiast pada i strzał. Gdyż zaznaczyć trzeba, że przy całym swym spokoju, Brazylijanin — jak to wspomniałem wyżej — zdolny jest do nagłych wybuchów. Wybuch taki zaś rzadko kończy się na słowach.



FOT. FRANK

«SAPEKOWANIE» HERVY T. J. DORAŻNE SUSZENIE JEJ NAD OGNIEM, ZANIM WEŻMIE SIĘ JĄ DO «CARLJA», GDZIE BĘDZIE SCHNAĆ POWOLI W CIEPLEM POWIETRZU

Nietylko bowiem mieszkaniec «interioru» nosi na pasku pod kurtką, wielki bębenkowy rewolwer: w kinematografie, w kawiarni lub na ulicy można widzieć najbardziej eleganc- kich młodych ludzi, którym z pod marynarki wygląda niedy- skretna lufka.

I tu stwierdzić należy, że istnieją na świecie trzy, wzglę- nie cztery systemy załatwiania nieporozumień między mę- czyznami: północno-amerykański, który polega na biciu się kulakami po twarzy (ostatnio tak usilnie propagowany przez filmy amerykańskie), brazylijski, polegający na natychmiasto- wem użyciu broni, i europejski w dwóch postaciach: w pew- nej sferze — pojedynek, naogół zaś w sposób nieuregulowany, ale zazwyczaj połączony z wymyślaniem, robieniem skandalu i t. p. a opierający się zazwyczaj o policję lub sądy.

Ośmielam się stwierdzić, że ten ostatni — najbardziej zgodny z obowiązującym prawem — jest najbardziej nieme- ski, wulgarny i sprzyjający wyrobieniu się nieodpowiedzial- nego chamstwa. Gdyby pan, wszczynający awanturę w tram-

waju i używający obelżywych słów, wiedział, że może na miej- scu dostać kulę — na pewno byłby wyrafinowanie uprzejmy. Pozbawienie broni mężczyzn w społeczeństwach europejskich nie osiągnęło swego głównego celu: uniemożliwienia krwa- wych nieporozumień, gdyż bandyta zawsze broń znajduje, na- tomiaś wywołało indolencję i tchórliwość mężczyzn z prze- ciętnej sfery inteligencji i mieszczaństwa i przyzwyczaiło go do odruchowego krzyku tchórza, w razie niebezpieczeństwa: «Policja!» Swoboda w nabywaniu broni przyczyniłaby się prawdopodobnie — po pewnym okresie nadużyć — do ostro- żności zarówno w jej użyciu, jak wogóle w stosunkach międ- dzyludzkich.

Pojedynek jest najpiękniejszą formą walki, gdyż uprze- dza przeciwnika o zamiarze walki z nim, ogranicza się do pewnego miejsca i czasu i nie pozbawia go pomocy ani towarzystwa przyjaciół; jednak płytkość zblazowanych mło- dych snobów zrobiła z niej zabawkę, której się nadużywało i którą dlatego zrobiono niezbyt niebezpieczną. Wreszcie



FOT. FRANK

MŁÓCENIE A RACZEJ KRUSZENIE WYSUSZONEJ «HERVY» ZAPOMOCĄ ZĘBATEGO WALCA, PORUSZANEGO PRZEZ KONIA. OBOK SZALAS — «CARLJO» DO POWOL- NEGO SUSZENIA «HERVY»



PODCINANIE I MLÓCENIE «HERVY» — HERBATY BRAZYLJSKIEJ

zbyttno połączono pojedynek z «obowiązkami» honoru, zamiast uznać go za legalną walkę męskich pasyj czy ambicji.

System północno-amerykański, oparty na boksie, lepszy jest w każdym razie od uciekania się do pomocy policji, jest bowiem również pewną formą pojedynku, jednak jest wybitnie wulgarny i dający przewagę silnemu bydlęciu, (którego nagrodą — na filmie — jest zwykle miłość subtelnej i słodkiej Katty czy Mary).

Broń palna wyrównywa nierówne siły fizyczne, a sama możliwość użycia jej — działa hamująco na obie strony.

To też w rubryce wypadków brazylijskich gazet znajdujemy znacznie mniej krwawych awantur i rozpraw, niż w Europie. Wygląda to tylko na paradoks, ale nim nie jest, że łatwiejsza sposobność zakończenia awantury w sposób krwawy — wpływa hamująco na decyzję takiego właśnie załatwienia a nawet wogóle rozpoczynania scysji.

Policja naogół odnosi się pobłaźliwie do podobnych wypadków i nie tragiżuje sytuacji. Rozprawa z bronią bowiem

nie jest tam ujmowana (jak to ma miejsce w Europie), jako napad jakiegoś wyrzutka społeczeństwa na szanowanego obywatela, ale raczej jako normalne załatwienie nieporozumienia między dwoma obywatelami.

Słyszałem żartobliwe wytłumaczenie, że policja rozumie tu w taki dobrotliwy sposób: jeden jest zabity i już nic nie pomoże; pocóż więc robić przykrości temu, który to odczuje — żywemu?

Toteż nie zdziwiliśmy się zbyt, gdy pewnego dnia, koło godziny 12-ej w południe, tuż przed oknami Konsulatu Polskiego w Kurytybie zobaczyliśmy taką scenę: jeden pan ucieka w aucie, pochylony nad kierownicą, a drugi stoi na środku jezdni i wali do niego z re-

wolweru. Chybił jednak dwukrotnie i, chowając rewolwer do futerału, poszedł normalnym krokiem do swego auta, stojącego niedaleko, w którym czekała jego żona. Wsiadł, puścił w ruch maszynę i odjechał bez przeszkód. Policjant, który stał o jakie 50 kroków na rogu ulicy, dyskretnie zaszedł za węgł.

Panem strzelającym był sędzia małoletnich, celem zaś jego strzałów był bliski krewny prezydenta stanu. Sprawy o to nie było: przecież nikt nawet nie był ranny, ani nikt nie występował ze skargą. Pocóż więc przejmować się i mieszać się w nieswoje sprawy?

Opinia publiczna doszła mnie tylko w oburzo-



OWOCUJĄCE DRZEWKO BANANOWE (SANTOS)



GRONO BANANÓW, OBOK DRZEWKO
(SANTOS)

nym okrzyku jakiegoś zachowatego fryzjera: «Com este garucho elle quer matar gente! — Takim gruchotem on chce zabijać ludzi!» Oburzano się, że nie trafił i wogóle niedołężnie bierze się do sprawy.

Spotykałem się ze zdaniem, że — w gruncie rzeczy — Brazylijanie są tchórzliwi i że ich szybka decyzja w użyciu broni wywołana jest obawą, aby nie dać się uprzedzić przez adwersarza. Może... ale wiem to, że gdyby w jakimś miejscu publicznym w Polsce rozległy się strzały — pierwszym odruchem publiczności — również i mężczyzn, byłoby oddalić się, uciec.

W Brazylii — pierwszym odruchem jest sięgnąć po rewolwer. W każdym

razie stwierdzić należy, że nie jest tu bezpieczniej wszczynać awanturę, niż w Polsce.

Jeżeli zaś chodzi o porównanie odwagi Polaków i Brazylijan, to podkreślić trzeba przede wszystkim jedno: kolonista tutejszy — Polak jest przede wszystkim mniej drażliwy na punkcie obrazy honoru, niż «caboclo»; następnie jest bardziej związany z ziemią, rozpoczętą pracą, stosunkami rodzinnymi i zamiarami spokojnego dojścia do dobrobytu — wskutek czego znacznie więcej ryzykuje, niż pół-koczowniczy «caboclo» z interioru, żyjący trochę na wzór ptaków niebieskich, który zresztą bez wielkiego wahania gotów jest przenieść się w inne okolice na jakiś czas lub nawet na stałe. Wreszcie i znajomości, a nawet związki rodzinne w instytucjach rządowych



FOT. DR. T. GRABOWSKI

ŁADOWANIE BANANÓW Z BARKI NA OKRĘT W PARANAGUÁ

zapewniają mu więcej bezkarności, niż Polakowi, który jest zawsze traktowany jako «estrangeiro» a często, jako «desgraçado estrangeiro».

To też nagół Polak-kolonista raczej unika awantur z Brazylijanami, chociaż fizycznie bezwątpienia przewyższa ich i w razie równych szans niebezpieczeństwa znalazłby się zapewne odpowiednio. Wobec jednak wspomnianych warunków, Polak pasuje, to też jesteśmy świadkami faktu, że podczas perjurycznych rewolucyj w stanie Rio Grande do Sul, w okręgu wybitnie polskim Erechim (czyt. Eresziń), koloniści polscy byli — bez próby oporu z ich strony — systematycznie rabowani, mordowani i szykanowani, i to zarówno przez oddziały rewolucyjne, jak wojska rządowe.

Jeżeli jednak chodzi o odwagę wojskową — Brazylijanie zawodzą zupełnie: we wszystkich — dość częstych — rewolucjach i utarczkach z bandytami — dużo jest strzelaniny, ale odwagi mniej. Oddział, złożony z Rosjan, który brał udział

w jednej z rewolucyj i przechodził często do ataku na bagnety — odnosił dość łatwe zwycięstwa, a metoda jego walki wydawała się Brazyłjanom bardzo groźna, niebezpieczna, barbarzyńska i prawie... niestosowna. Boć pod tem jasnem słońcem, ostatecznie, niczego nie traktuje się zbyt tragicznie i nie aż tak, żeby zaraz umierać. Owszem, rewolucja jest bardzo zajmująca, może równie prawie, jak karnawał, a zostać bohaterem to już doprawdy bardzo przyjemnie, ale przecież nie bohaterem — nieżywym!

Trudno jest wytłumaczyć te dwa, sprzeczne, zdawałoby się, fakty: odwagi osobistej w zajściach prywatnych i brak jej w walce zbiorowej. Może odgrywa tu rolę ta właśnie drażliwość i wybuchowość charakteru, która sprawia, że odwagi starczy na chwilę, zwłaszcza pod wpływem urazy osobistej, ale nie wystarcza już na dłuższy okres walki, notabene nie mającej tego podłoża osobistego.

Brzydszą stroną charakteru Brazyłjan i niższym sposobem załatwiania nieporozumień i zatargów jest najmowanie do tego specjalnych morderców, względnie nasyłanie swoich służących — «capangów». Istnieje nawet określenie: «comprar uma bala» — kupić kulę. Często zresztą nie chodzi o kulę, lecz o nóż, noszony przez wielu nawet eleganckich młodzieńców, lub brzytwę — dość popularną broń, zwłaszcza wśród murzynów.

Na szczęście zwyczaj ten — w miarę ustalania się jakiej takiej praworządności — zanika coraz bardziej, na co nawet skarżył się jednemu z moich znajomych taki właśnie «fachowy» capanga. Kosztowało to nawet niedrogo — jak się okazuje — o ile oczywiście osoba nie była zbyt wybitna. (Pomijam tu sprawę różnych tajemniczych morderstw — t. zw. politycznych, wynikłych właściwie z walki o dostanie się do obiecanej ziemi — rozporządzania kasą państwową. Zniknięcie z horyzontu człowieka, który naraził się władzom, zwłaszcza jeżeli jest to «estrangeiro», za którego nie będzie się mścić rodzina — nie jest to rzecz tak niemożliwa, jakby to naiwnemu Europejczykowi zdawać się mogło).

Całokształt tych stosunków mocno przypomina czasy

Renesansu, z tak wybitnem panowaniem sztyletu, trucizny, najemnych zbirów, samowolą władców, niedostępnością prywatnego domu i wreszcie spoistością rodów i rodzin, prowadzącą do nepotyzmów otwartych i tajnych, obrony «per fas et nefas» członka swej rodziny — choćby występnego — a zwalczanie kandydata innej rodziny na jakiegokolwiek stanowisko dlatego, że jest obcy.



FOT. WEISS, KURYTYBA

POLE «CANNY» T. J. TRZCINY CUKROWEJ

Z innej strony — jeżeli chcemy się zabawić w dalsze porównania — możnaby dopatrzeć się analogji obecnej Brazylii z Polską szlachecką XVI-go i XVII-go wieku: tak samo widzimy tu wielkich posiadaczy obszarów wcale lub mało uprawnnych i osadzonych na nich czy poprostu «wieszających się u pańskiej klamki» klientów i zauszników, tak samo widzimy dumnych a obdartych zawadjaków, wędrujących setki mil konno, z ostrogą przy podartych łapciach coprawda, lub wprost na gołej pięcie, ale z ozdobnem siodłem, pistoletem i nieodstępnym «fakonem» — szerokim nożem, który w dodatku przypomina krótką szablę czy jatagan.

Również i skłonność do wszczynania burd mogłaby nasunąć dużo porównań z bratem-szlachcicem, pojedynkowiczem tamtych czasów. A ta wybuchowość charakteru Brazyłjan przejawia się nietylko w zatargach, ale też w zacierzeniu hazardowem i w szale zabaw.

Z hazardem spotykamy się w Brazylii wszędzie: codziennie odbywa się ciągnięcie loterii federalnej, swoją loterię ma każdy prawie stan, istnieją prywatne przedsiębiorstwa loteryjne, młodzieńcy z dobrych domów zgrywają się w klubach, a nawet rozgrywają między sobą, w kawiarni, kto ma płacić rachunek, a wreszcie istnieje przesławna gra w «bicho».

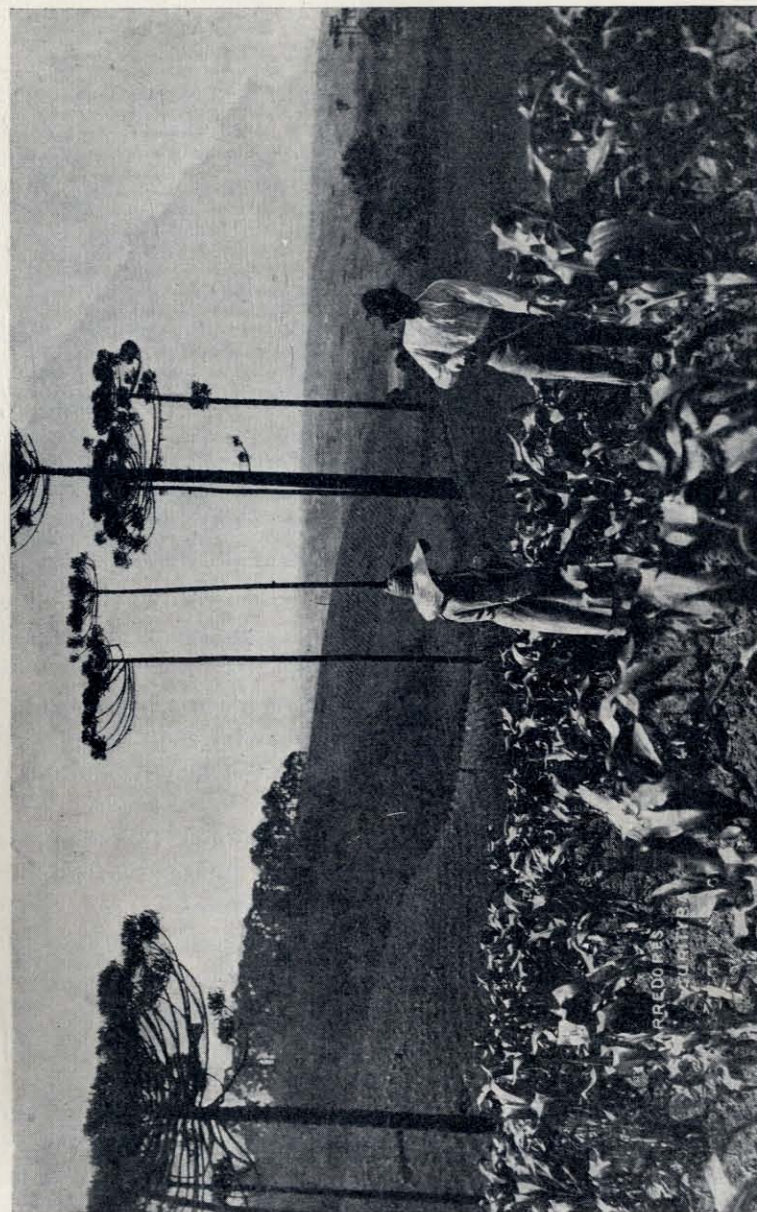
«Bicho» (czyt. biszo, wzgl. biszu) dosłownie znaczy zwierzę, robak, stworzenie. Słowo to jest w Brazylii w ogromnym użyciu: «bicho» mówi się żartobliwie lub pieszczotliwie na każde zwierzę, używa go się często na określenie hurtowne wszystkich owadów, wreszcie wyraża zarówno gniew, jak podziw dla czyjegoś sprytu: «Vôce é um bicho!» (Coś w rodzaju: «Numer z pana!»).

«Bicho», jako gra, polega na tem, że istnieje spis zwierząt, z których każde oznaczone jest pewnym numerem, poza tem łączy się je w grupy, po cztery. «Stawiać» można na grupę (np. 21-22-23-24) lub na poszczególny numer-zwierzę. Wygrane oparte są na ostatnich cyfrach biletu, wygrywającego w loterii federalnej.

Gra ta oficjalnie jest niby zakazana, ale zarazem wszyscy wiedzą (i władze oczywiście), że jest rozpowszechniona ogromnie. Istnieje przecież konsorcjum i specjalny bank prowadzących tę grę.

«Stawianie» na to czy inne «bicho» jest całą sztuką, polegającą na prowadzeniu kontroli wygrywających z dnia na dzień numerów, pewnym rachunku prawdopodobieństwa i wreszcie intuicji, opartej również na snach, wypadkowo spostrzeżonych w ciągu dnia numerów i t. d.

Ta żyłka hazardu drga u wszystkich, poczynając od cabocla, który przyjedzie na jakąś uroczystość do miasteczka i puści w grze wszystko, co zarobił przez miesiąc — aż do



Ziemia Św. Krzyża

KRAJOBRAZ OKOLICY BLIŹSZEJ MIASTA: ZOSTAŁO TYLKO KILKA PINJORÓW, POLA OKRYTE KUKURYDZĄ
FOT. GROFF. KURTYBA

młodzieńców z najlepszych rodzin, którzy w pockerze lub w baccaracie stawiają bez namysłu w jednej stawce całą posiadaną sumę.

Powiadają, że Brazylijanina poruszają tylko dwie rzeczy: «bicho» i karnawał, jest to wprawdzie zbyt złośliwe, tyle jednak stwierdzić należy, że karnawał porusza go silnie, a zwłaszcza trzy ostatnie dni karnawału na ulicach. Brazylja wówczas szaleje, śpiewa, biega, krzyczy i dokazuje.

Brazylijanie umieją się bawić; umieją się bawić, jak dzieci: wystarcza im tak niewinna rzecz, jak serpentyna lub drewniana kołatka, aby rozbawili się z całej duszy. Nie potrzebują podniecenia alkoholem, jak zblazowani lub melancholijni ludzie Europy północnej, nie miesza się też do ich zabaw tak wydatny pierwiastek erotyzmu jak u tamtych. Zabawa ich jest istotnie niewinna i naiwna: bawią się samym ruchem, światłem, muzyką i barwami.

To też refleksyjny człowiek Północy czuje się tu zbędny i obcy, próżno wysila się i udaje: on się nie bawi.

Podczas owych «ulicznych» dni karnawałowych zabawa dochodzi do szczytu. Kto ma samochód, albo kogo stać choćby na wynajęcie kilkugodzinne, wyjeżdża na miasto. Tworzą się całe grupy, po kilka i kilkanaście osób, ubranych jednakowo, i wąż samochodów posuwa się zwolna przy ogłuszającym hałasie orkiestr i krzyków, błyskawicach różnokolorowych serpentyn i zapachu eteru.

Eter bowiem w specjalnych flakonikach («biznagach») jest nieodzownym rekwizytem karnawału: puszcza go się zimnym strumieniem na twarz, ręce, a najchętniej w oczy ofiary, co jest oznaką przyjacielskiej psoty, a pozatem — pije go się.

Upojeni więc eterem, a także samym jego zapachem, Brazylijanie i Brazyljanki przechodzą samych siebie.

Rząd nawet wydaje spore sumy na ten cel i ekwipuje specjalny wóz symboliczny.

O 12-ej w nocy odbywa się uroczyste pogrzebanie karnawału i... rozpoczyna się płacenie długów, zaciągniętych na kostjумы, auto, serpentyny i t. p., co często bardzo ciąży w budźcie gołego, ale zawsze eleganckiego młodzieńca.



FOT. X. KOMANDER

WÓŁ «ZEBU» HODOWANY NA POŁUDNIU BRAZYLJI

Zdawałoby się, że Brazylijanie przejęli się polskim hasłem: «zastaw się, a postaw się». Bo i tę jeszcze cechę dziecinną, zresztą nieszkodliwą, mają Brazylijanie: lubią wystawność, lubią wszystko, co się świeci, co jest jaskrawe, złote, bogate, huczne i szumne. Lubią też patos i przesadę, lubią chwalić swój ród i lubią chwalić się wzajemnie.

Patos ich jest tak naiwnie i paradoksalnie przesadny i teatralny, że pohamowany we wszelkich odruchach Europejczyk jest przerażony i rozbawiony. Jest to deklamacja, nie mowa.

Ale cóż? — skoro to bawi młody naród, który musi jeszcze przechodzić zarazem renesans i wiek oświecenia, który odkrywa Augusta Comte'a i po średniowiecznemu chowa swoje kobiety, a zarazem nie jest pozbawiony owego «amerykanizmu» w rozmachu kultury materjalnej!

Wszak tu najnowszy model auta spotyka się z awanturczym «valentonem» na mule, a tuż w bok od wspaniale



FOT. GROFF

POMNIK «SIEWCY», DŁÓTA POLAKA, JANA ZAKA, WYSTAWIONY PRZEZ KOLONJĘ POLSKĄ, SYMBOLIZUJĄCY PRACĘ ŻYWIÓŁU POLSKIEGO W PARANIE. STOI W KURYTYBIE NAPRZECIW DWORCA

tykuje go się, lecz upaja i tokuje barokiem pamfletu czy paszkwilu. Przypomina to wiek XVIII naszej literatury: okres makaronizmu i przesady. Zresztą i w rozmowie zwykle rozpoczyna się od zachwyty i komplementów.

Wszystko to wreszcie nie jest pozbawione wdzięku i w znacznej mierze ułatwia i okrasza stosunki, zwłaszcza w zestawieniu z naszą «krytykomanją». Zresztą dorobek artystyczny jest w Brazylii jeszcze tak niewielki, że jakież byłby cel mrozić go rzeczową krytyką?

asfaltowanej ulicy rozpoczyna się prawdziwe «interiorowe» błoto.

Nie można tego kraju mierzyć naszymi kategorjami. Zresztą ich znowu razi nasz bezbarwny, monotony sposób przemawiania.

Ów patos, w połączeniu z obawą narażenia sobie innych, sprawia, że styl artykułów w prasie jest barokowo-panegiryczny.

Recenzyj czy krytyk, w naszym rozumieniu tego słowa — niema: każdy, zwłaszcza amatorski, występ stoi — według sprawozdań — na niedościgłych wyżynach.

To też pewna młodziutka panienka, recytująca wiersze, nazwana została w pewnej gazecie brazylijskiej «Matką Boską Poezji». Jeżeli zaś ktoś jest nieprzyjemny, czy niewygodny, to znowu nie kry-

I sam naród zresztą jest tak młody jeszcze, że musi cieszyć się sam sobą, musi sam przed sobą się chwalić. Nie ma on tego spokojnego, rzeczowego sceptycyzmu, który jest siłą i słabością narodów starszych, które mogą już sobie pozwolić na luksus samokrytycyzmu.

Oryginalna jest wymowa Brazylijan: mówią oni głosem niskim i piersiowym, przy ściśniętych zębach i wyciągniętej nieco dolnej szczęki. (Zastanawia zwłaszcza niski głos dziewcząt). Stąd tendencja do zamiany samogłosek «e» na «y» i «o» na «u». Tak więc np. częsty okrzyk zdumienia i przerażenia «barbaridade!» wymawia się prawie jak «barbaridady» lub «barbaridadi»; «bicho» — jak «biszu».

Często nawet «a» ma przydech podobny do «y», np. w słowie «brincando» (żartując), które wymawia się prawie jak «brinkyndó».



FOT. J. O.

PALACYK, W KTÓRYM MIEŚCI SIĘ POSELSTWO POLSKIE W STOLICY BRAZYLII — RIO DE JANEIRO

Nosowy dźwięk, wyrażany literami «ão», wymawiany jest w Brazylii różnie: albo jak polskie «ą» a francuskie «on», albo jak «aa», albo wreszcie jak «ę» (nieco przeciągnięte); tak mówi «carioca» t. z. mieszkaniec stolicy Rio de Janeiro. Zależy to zresztą od wyrazów: tak np. w każdej prawie przemowie używane «coração» (serce) najczęściej się wymawia, jak «korasę» lub nawet «koraseu», natomiast «valentão» (zuch) najczęściej wymawia się, jak «walentą».

Jeżeli każdy język ma swój zasadniczy ton uczuciowy, dający się wyrazić pewnem powiedzeniem (np. Francuz mówi — wszystko «na nutę» «j'm'en fiche»), to Brazylijanin nadaje swym słowom ton pewnej przechwałki połączonej ze zdziwieniem. Nawet kiedy mówi: «Não sei» (nie wiem), brzmi to podobnie do «muito bem» («mujto beń» — bardzo dobrze).

Mają też oni oryginalną, ale nie niemiłą cechę jakby delektowania się samem wymawianiem słów, samym procesem mówienia. Dzięki temu nawet błaha rozmowa nabiera jakiegoś znaczącego sensu (zwłaszcza w ustach kobiety — comme de raison).

Naogół język jest łatwy, zwłaszcza dla nas, wychowanych na kulturze łacińskiej, to też Brazylijanie są pełni podziwu dla szybkości, z jaką Polacy uczą się ich języka. Zresztą są na tyle mili i taktowni, że chwalą i nie poprawiają nawet bardzo koszlwiącego ich mowę cudzoziemca. Nigdy zaś nie śmieją się z wymowy, jak to się zdarza... gdzie indziej.

Jeżeli chodzi o zewnętrzny typ etnograficzny, to nie jest on tak jednolity i wyraźny, jak to mniej lub więcej stało się z językiem, lub zwyczajami. Na północy, zwłaszcza w stanie Céara, przeważa metys, bardziej na południe — murzyn i mulat, a w najbardziej południowych stanach widzi się twarze coraz bielsze.

Błędne jest wyobrażanie sobie, że w Brazylii są tylko mulaci, przeciwnie: są stare rodziny portugalskie całkiem lub prawie całkiem wolne od przymieszki krwi swych dawnych niewolników. Naogół można powiedzieć, że im wyżej w hierarchji społecznej — tem twarze bielsze, a najwięcej ciem-



FOT. X. CHYLASZEK

KAPLICZKA POLSKA W MASSARANDUBIE (OBECNIE JEST TAM DUŻY KOŚCIÓŁ)

nych i czarnych twarzy jest wśród pospólstwa. Przynajmniej tak jest w południowych stanach, od São Paulo począwszy.

Rozmowa a nawet wzmianka o tych sprawach jest w Brazylii bardzo źle widziana i drażliwość na tem tle ogromna. O tej drażliwości miałem nawet przekonać się na własnym przykładzie: w korespondencji do «Świata» (nie znając jeszcze tej drażliwości i nie wiedząc, że «małpki» — maquaquos są ich — że tak powiem — «narodowem» przezwiskiem), miałem nieostrożność umieścić wyrażenie o urzędnikach portowych w Rio «chore, smutne małpki — mulaci». Pewna grupa Polaków, niezbyt przebiegająca w środkach walki, wynalazła to i podała do wiadomości Brazylijan, którzy nieomieszkali zaatakować mnie w prasie. Jedyną dla mnie pociechą był fakt, że znalazłem się w dobrem towarzystwie, dowiedziałem się bowiem w tym okresie również z prasy brazylijskiej, że niejaki Reymont w dziele swem pt. «Sprawiedliwość», (?) za które dostał nagrodę Nobla, szkaluje naród brazylijski, przez co ten kabotyn (sic!) psuje przyjaźń polsko-brazylijską.

Brazyłjanie lubią zresztą czasami dowodzić, że w Brazylii tworzy się jakaś nowa rasa, będąca zarodkiem jednej jedynej rasy na kuli ziemskiej i powszechnego braterstwa ludów. Zapominają przytem o najbliższej przeszkodzie: Północnej Ameryce, rezerwującej osobne wagony dla murzynów i mulatów.

Widzi się zresztą tak liczne i subtelne odcienie ciemności skóry, że powoli traci się wrażliwość na tem tle, i chce się wierzyć, że ta lub owa Luiza czy Cecylja jest tylko... opalona. Zresztą nie ciemniejszy odcień skóry jest przykry, lecz zbliżenie rysów do murzyńskich, a to w lepszym towarzystwie zdarza się rzadko.

Wreszcie na południu dopływ emigracji przyczynia się w wielkiej mierze do «wybielenia» rasy.

Wspomniałem wyżej o pewnym «amerykańskim» rozmachu Brazyljan — istotnie ma on miejsce i rzuca się w oczy chociażby rozwojem automobilizmu, dążeniem do elektryfikacji kraju, rozwojem miast i t. p. Rozmach ten nieraz imponuje i dowodzi, że jednak naród ten ma dane do rozwoju i na drodze postępu jest czemś, a nieraz może wyprzedza niektóre ubogie narodki Europy. Łączy się on jednak z pewnym chaosem i powierzchownością a także z zupełnym brakiem tradycji i umiłowania tej tradycji.

I to jest właśnie to, czego wielki brak odczuwa się w Brazylii. Wszystko jest nowe, zbyt nowe; być może, że mają prawo



KOŚCIÓŁ W KOL. MASSARANDUBA (JEDYNEJ KOLONJI POLSKIEJ W PASIE NADMORSKIM)
WYSTAWIONY SIŁAMI KOLONJI

być z tego dumni, nam jednak — Europejczykom — robi się z tego powodu smutno.

Takby się chciało nieraz zobaczyć stary mur klasztorny na tle starych drzew, jakiś zamek rycerski, dwór wreszcie... nic z tego. Najstarsze względnie, bo z końca XVI-go wieku, budowle jezuickie są nietyłe w ruinach co w ruinie, a nieraz zupełnie niedostępne, bo w głębi puszczy.

Datują się one z okresu jezuickich republik teokratycznych, które zniszczyli Pauliści (mieszkańcy stanu São Paulo), z pobudek głównie konkurencyjnych. Reszty dokonała puszcza. Jedno z takich miast — Villa Rica, na dalekim zachodzie Parany, nad rzeką Ivahey — stało się prawie legendarne z powodu swej niedostępności: żadna droga do niego nie prowadzi, przepłynął tam tylko kiedyś polski podróżnik, ś. p. Chrostowski.

Niema też w Brazylii umiłowania tradycji: widziałem w Porto Alegre (stolica Rio Grande do Sul), jak starą katedrę przerabiano w jakimś stylu pretensjonalnie-egipskim; stare portugalskie domki z płaskim dachem rujnowane i przerabiane na wille «moderne».

Nie spotyka się tu ani starej szpady conquistadorów, ani zbroi, ani starej książki, starożytność jest tu bowiem traktowana, jako staroświecczyzna lub poprostu — starzyzna.

W stosunku zaś do przyrody, Brazyłjanin zbyt silnie jeszcze tkwi w okresie walki z nią, aby ją lubił i pielęgnował. To też ogródek przy domu jest rzadkością lub przybiera wygląd sztucznie strzyżonego pretensjonalnego dodatku.

W tak dużym mieście, jak Kurytyba, jest tylko jeden mały ogródek publiczny i to... stale pusty. W niedzielę publiczność nie idzie do ogrodu, lecz na główną ulicę lub autem wyjeżdża na szosę.

Miasto jest dla Brazyłjanina wszystkim, jest bowiem fortecą wobec wrogiej i dokuczliwej przyrody, którą trzeba ciągle jeszcze ciąć i palić.

Różne stany zresztą posiadają w tej i w innych dziedzinach różny poziom. Wnętrze takiego np. Matto Grosso to stan, który Parana przeszła kilkadziesiąt lat temu, ba! dziki zachód Parany jest czemś całkiem różnym od jej wschodniej części.



ZJAZD NAUCZYCIELI POLSKICH NA KURS DOKSZTAŁCAJĄCY W STANIE RIO
GRANDE DO SUL

Zaznaczają się też wybitnie różnice psychiczne. Specjalne miejsce wśród rodziny «zjednoczonych stanów» Brazylii (oficjalny tytuł republiki) zajmuje São Paulo (czyt. San Paulo).

«Pauliści» w przeciwieństwie do reszty Brazylijan — są wyniośli, chłodni, ekskluzywni i energiczni. Cechy te wyrobiły się w nich pod wpływem ciężkich wypraw w głąb stanu, które podejmowali przez czas dłuższy.

Brazylja — jeszcze jako kolonia Portugalji — była podzielona na «kapitanje», przyczem podziałowi podlegał właściwie zachodni brzeg morski; posiadanie zaś terenu w głębi kraju zależało od energii «kapitana». Tworzyli więc oni oddziały «bandeirantów», które szły walczyć z Indjanami, puszcza i klimatem.

W walce tej najbardziej odznaczyli się Pauliści, a utrwalili te cechy w wojnach z jezuitami. Wreszcie ich produkcja kawowa zdobyła im — sui generis — dyktaturę gospodarczą i polityczną.

Drugim stanem, odcinającym się od reszty — to najbardziej południowy: Rio Grande do Sul. Wykazuje on znacznie większą energję od innych i silne tendencje separatystyczne, to też jest ciąglem zarzewiem rewolucji.

Przypuszczają powszechnie, że kiedyś oderwie się on od Brazylii, aby istnieć samodzielnie, lub przyłączyć się do Argentyny, do której ciąży sympatjami.

Argentyna — twór hiszpański, jak wiadomo — różni się zasadniczo od portugalskiej Brazylii (już choćby tem, że nie ma domieszki krwi murzyńskiej), jak zresztą i inne republiki kreolskie hiszpańskiego pochodzenia w Południowej Ameryce.

Różnica charakterów narodowych jest tu większa niż możnaby przypuszczać; ktoś określił, że Brazylijanie są Francuzami poł. Ameryki, a Argentyńczycy — Prusakami. Comparaison n'est pas raison, ale ułatwia nieraz zrozumienie złożoności. Istotnie Hiszpanie są ekskluzywniejsi, dumniejsi, bardziej skryci i lepiej zorganizowani, niż Brazylijanie. Lekceważą też ich trochę.

Poza tem przy formowaniu się republik hiszpańskich dużą rolę odgrywały dwa zjawiska: chciwość złota, wywołująca okrucieństwo (Meksyk, Peru) i fanatyzm religijny, walczący z władzą świecką.



FOT. J. O.

POLSKA SZKOŁA W KOL. MURICY

Obu tych uczuć nie znał w tym stopniu Portugalczyk-Brazylijanin: złota nie znalazł, a religijnie był i jest raczej indyferentny.

Z tem wszystkim środowisko brazylijskie pozostawia wrażenie miłe, wrażenie uprzejmości, dobrego humoru, nieprzejmowania się drobiazgami (nieraz nawet nieco większemi) i «szerokiej natury» w zabawie. Mimo wszelkich dopływów rasowych, czuć w tem wszystkim starą kulturę łacińską, pozostałą w gestach i zwrotach mowy.

Pozostałość ta w ogromnej mierze przyczyniła się do urobienia tego miłego sposobu bycia, którym odznacza się Brazylijanin.



PRZEDSTAWIENIE POLSKIEGO TEATRZYKU AMATORSKIEGO W KURYTYBIE.
W ŚRODKU PANI KONSULOWA, EUGENJA MISZKE. PO JEJ LEWEJ STRONIE —
DOBRE ZNANA NA TAMTEJSZYM TERENIE PANI KOSSOBUDZKA

III. ŻYCIE TOWARZYSKIE I RODZINNE.

Życia towarzyskiego — w tem znaczeniu, jak u nas, polegającego na odwiedzaniu się wzajemnem — niema w Brazylii.

Wynika to przedewszystkiem ze specjalnego stanowiska kobiety w społeczeństwie brazylijskiem, (jak i wiele innych konsekwencji w tej dziedzinie). W krajach nowych, zdobywanych przez awanturnicze wyprawy, zawsze obserwować można ogromną przewagę ilości mężczyzn w stosunku do kobiet. Proporcja ta jest też właściwa Argentynie, Brazylii i innym państwom Połudn. Ameryki, a w pewnej mierze także Amer. Półn., co można wnioskować chociażby z uprzywilejowanej tam sytuacji kobiet w dziedzinie stosunków z mężczyzną.

Proporcja ta zachowała się do tej pory w Brazylii i pociągnęła za sobą liczne konsekwencje. Kobiet jest mało a więc są one strzeżone, i swoboda stosunków między kobietami a mężczyznami — nieznana. To też stanowisko kobiety w wielkiej jeszcze mierze przypomina — harem... Kobieta brazylijska żyje prawie w zamknięciu, do gościa nie wychodzi, na ulicy zjawia się rzadko i prawie nigdy sama.

Cały jej kontakt ze światem zewnętrznym ogranicza się do wyglądania godzinami przez okno, co nawet nosi specjalną nazwę «janellar» (jakby «okienkować»). Nazwę tę stosuje się także do — jedynie dozwolonego — flirtu przez okno.

Nie spełnia jednak kobieta brazylijska i obowiązków gospodyni czy pani domu. Urządzenie mieszkania, kuchnia, zarząd domem czy wychowanie dzieci nie jest przez nią traktowane, jako główne zajęcie, a ona sama jest raczej trakto-



FOT. A. LINZMEYER

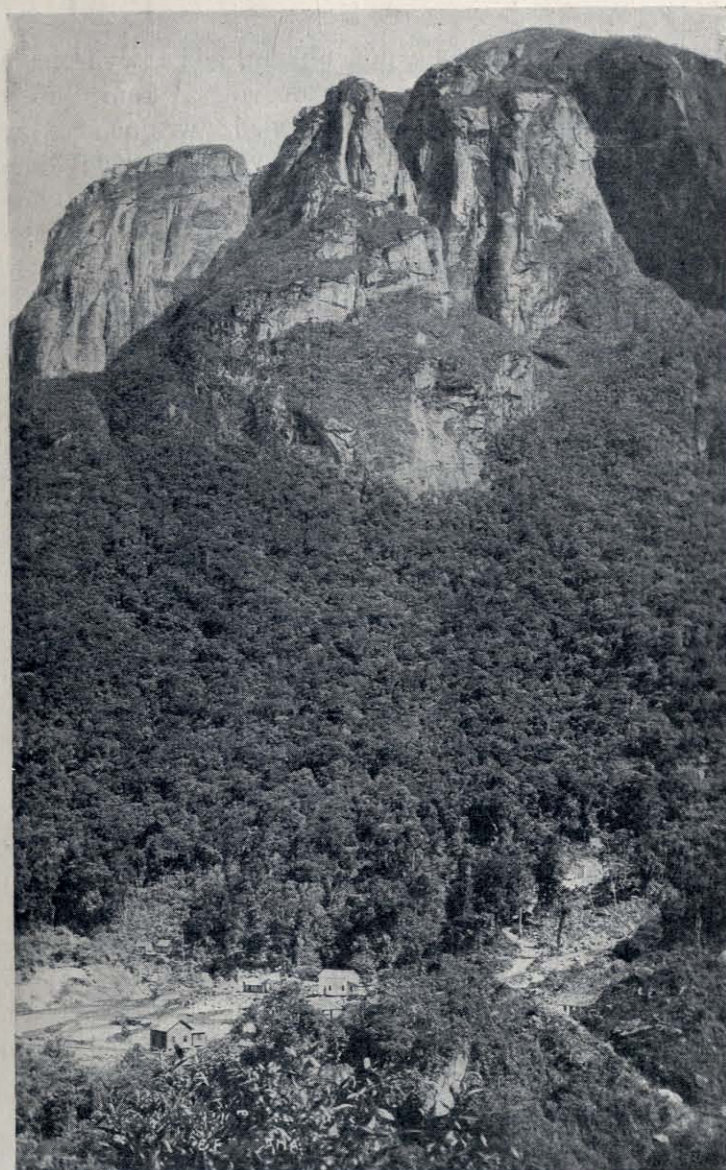
FOTOGRAFJA BŁYSKAWICY NA TLE TYPOWEGO — W PORZE LETNIEJ —
SKŁĘBIENIA CHMUR

wana, jako kochanka niż przyjaciółka. To też myśli jej są skierowane głównie na stroje, jakkolwiek niezawsze idzie to w parze z zamięłowaniem do higieny i czystości.

Skutkiem tego zamknięcia kobiet — mężczyźni spotykają się w kawiarniach — jeśli to jest w mieście, a w «wędzie» — jeśli na prowincji, lub wreszcie na głównej ulicy miasta czy miasteczka, która odgrywa rolę rzymskiego «forum» i na której cały dzień można widzieć stojące grupki mężczyzn i młodzieńców.

Stosunki między mężczyzną i kobietą są niesłychanie rygorystyczne. Zakochany młodzieniec nie składa wizyty w domu panny, jakkolwiek powinien postarać się poznać rodziców; przebieg konkurów jest też o wiele bardziej skomplikowany.

Rozpoczyna się — jak wszędzie chyba — «oczkowaniem», z tą jedynie różnicą, że trwa ono znacznie dłużej. Po-



FOT. GROFF

GÓRA MARUMBY Z ŁAŃCUCHA GÓR NADMORSKICH T. Z. SERRA DO
MAR, PRZEZ KTÓRE PRZECHODZI PIĘKNA DROGA KOLEJOWA Z PA-
RANAGUÁ DO KURYTYBY

tem następuje spacerowanie pod oknem, gdzie wybrana wysiaduje, rzucanie uśmiechów i pozdrowień: «bom dia» czy «boa tarde». Gdy otrzyma się odpowiedź w duchu przyjaznym — można już zamienić kilka słów, a wreszcie «namorar» dłużej nieco. Trwa to dość długo, tymczasem uda się schwytać okazję spotkania na balu, czy w kinie, (zwłaszcza na przedstawieniach popołudniowych zwanych *matinée*). Flirt jest też zupełnie odmienny od europejskiego: poruszanie tematów, związanych z uczuciem, uważa się za nietakt, a rozmowa toczy się o rzeczach najobojętniejszych.

Kiedy młodzi dojdą do porozumienia, młodzieniec może wejść do domu rodziców panny i uważany jest za oficjalnego narzeczonego — «noivo». Młodzi mają od tej chwili zupełną swobodę, zostawiają ich nawet sam na sam, ale cofnięcie się narzeczonego uważane jest za kompromitację panny i pociąga za sobą groźną interwencję ojca, braci lub krewnych, którzy nie wahają się użyć kuli lub noża.

Podobnie zdrada małżeńska lub uwiedzenie pociągają za sobą krwawe konsekwencje. Donżuan na brazylijskim terenie naraża się na utratę wolności kawalerskiej (częste przymusowe śluby przez policję), życia, lub — specjalnym zwyczajem brazylijskim — męskości...

To też wbrew temu, co skłonny jest przypuszczać Europejczyk, zasugerowany rzekomym «południowym temperamentem» Brazylijanek życie erotyczne nie jest bynajmniej wybujałe i intensywne.

Jedynym wybuchem w tej dziedzinie jest zwykle karnawał, po którym następuje spora ilość przymusowych ślubów z pomocą policji. Dzieje się to jednak zwykle w niższych sferach.

Mężatki są może bardziej jeszcze skrupowane, niż panny, gdyż — o ile ostatnie, w razie «zapomnienia się» mogą liczyć na ślub z winowajcą, o tyle mężatka może oczekiwać tylko kuli lub noża, a zabójstwo w tym wypadku jest zupełnie bezkarne.

Wskutek tych wszystkich przyczyn, kobieta brazylijska jest niezmiernie «reservée» i zazwyczaj wierna mężowi czy narzeczonemu.

Jako towarzyszka życia, nie próbuje uzyskać władzy nad swoim mężem, zajęta jest zresztą swojemi strojami i usposobienie ma zgodne.

Są to niebyle jakie plusy, zwłaszcza w zestawieniu z małżeństwami polskimi, gdzie «pantoflarze» są regułą, a wyjątki... wyjątkami.

Z drugiej jednak strony Brazyljanka jest monotonną towarzyszką i to jest zrozumiałe: nic nie czyta (jedyną jej rozrywką i nauką jest kino), mało widzi ludzi i zjawisk, mało rzeczy ją interesuje i wogóle haremowy tryb jej życia utrzymuje ją na poziomie niezmiernie płytkim.

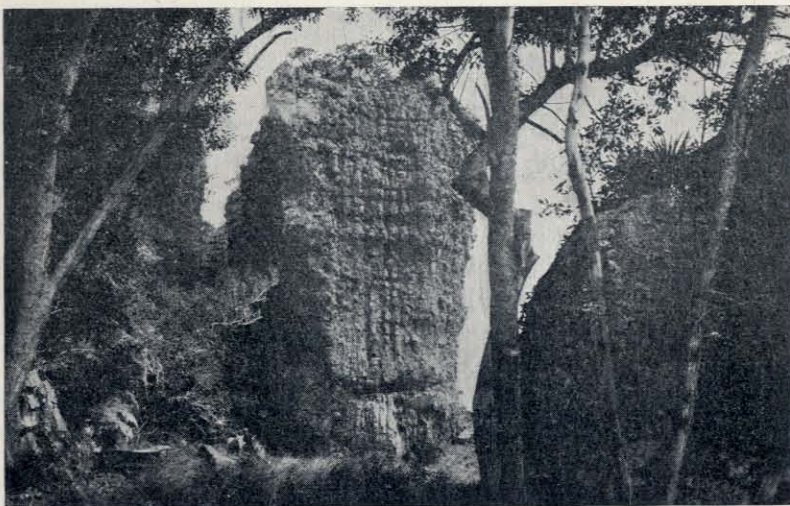
Rzadko też bierze udział w kłopotach i wysiłkach męża, który zresztą nie zwraca się do niej po tę pomoc, nawet moralną.

Jaki typ kobiety jest lepszy, trudno rozstrzygnąć; myślę, że wielu polskich mężów zgębionych ostatecznie genialnością polskich kobiet (die «polnische grymaśnice» — jak określił ktoś), górnice niosących swe posłannictwo żony, matki, Polki i kobiety-człowieka, chętnie zamieniliby się na ładną, choć głupią «mocę» («moça» — dziewczynka), która, jakkolwiek nie umie ciekawie mówić o psychologii duszy kobiecej — to przynajmniej nie zatruwa życia swemu mężowi.

Ta mała ilość kobiet i rygorystyczne zwyczaje, zachowane od czasów, kiedy ich było jeszcze mniej — wywołały silny napływ kobiet publicznych, rekrutujący swe adeptki w znacznej mierze z Europy (podobnie w Argentynie).

Stosunek społeczeństwa brazylijskiego do kobiet publicznych — jakby rozumiano niezbędność ich obecności — jest zupełnie inny, niż w krajach Europy. Przedewszystkiem właściwa Brazyljanom delikatność sprawia, że nie są one traktowane z taką pogardą i obrzydzeniem, jak w Europie. Są one tak samo wolnymi obywatelkami, jak wszyscy, i żadnej reglamentacji, ani ograniczeniom nie podlegają (w Argentynie stosunek ten jest już znacznie gorszy).

Poza tem i słońce tropikalne, siejące optymizm i skłonność do pogodnego ujmowania rzeczy, sprawia, że nie robi się na ten temat ponurych min, i same kobiety nie zapatrują



FOT. GROFF

FRAGMENT Z «SERRA DO MAR»

się tragicznie na swoją rolę. Przecież u nich spotykają się młodzi ludzie z najlepszych rodzin, często tylko dla tańca lub towarzystwa kobiecego, gdyż domy schadzek w pewnej mierze grają rolę dancingów (a nawet salonów prywatnych).

To też np. podczas karnawału w Kurytybie brał udział w Corsie automobilowym samochód kokotek, które rzucały serpentyny, rozlewały eter i bawiły się, jak wszyscy.

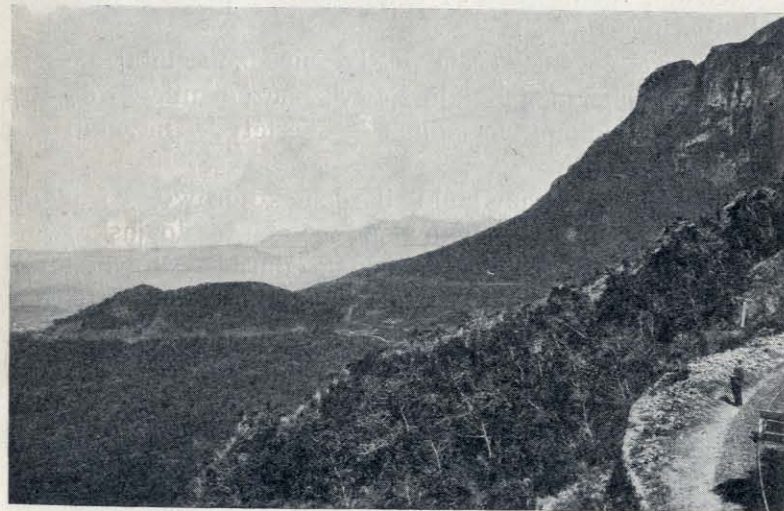
Ten ścisły związek rygoryzmu obyczajowego z rozwojem prostytucji daje dużo do myślenia, jako pewnego rodzaju prawo socjologiczne. Oczywiście, że pod wpływem kontaktu z Europą i imigracji europejskiej (w pewnej mierze jest to też wpływ kina), panna z towarzystwa uzyskuje nieco większą swobodę ruchów, zwłaszcza na terenie klubów sportowych; ustaje też «namorowanie» przez okno, od czasu do czasu zdarzy się jakiś piknik, czy nawet spotkanie się w domu prywatnym, wszystko to jednak jest jeszcze bardzo nieśmiało i ogranicza się do sfer zamożniejszych.

A już Brazyljanka na prowincji, w «interiorze» jest po dawnemu skrepowana i prawie zamknięta.

Oczywiście nie tyczy się to żon kolonistów Polaków i Niemców, które biorą udział w pracy fizycznej i zajmują się wydatnie gospodarstwem. Być może, że temu w znacznej mierze zawdzięcza żywioł polski zdolność wykupywania Brazylijan z ziemi drogą handlu prywatnego. Wreszcie zaznaczyć należy, że kobieta, pracująca w handlu, przemyśle czy urzędzie, jest w Brazylii rzadkim okazem.

Jeżeli chodzi o fizyczny typ kobiety brazylijskiej (a przede wszystkim panny), to możnaby go w krótkości scharakteryzować tak: prawie niema brzydkich nóg, twarze naogół przeciętnie ładne, ale bez wyrazu i nieco za duże, całość — jakby za krótka. Oczywiście włosy i oczy przeważają ciemne; oprawa oczu i same oczy ładne, ale mało mówiące, nos dość wydatny, dół twarzy (broda) nieco za duży.

Brazyljanka rozwija się bardzo wcześnie; czternasto — piętnastoletnia robi wrażenie dorosłej panny, a nierzadko dziesięcioletnia wykazuje wyraźne sformowanie i zachowuje się jak świadoma siebie kobieta.



FOT. WEISS

FRAGMENT DROGI KOLEJOWEJ PRZES SERRA DO MAR. W DOLE WIDĄĆ KILKA RAZY ZAŁAMANĄ LINJĘ TORU



FOT. GROFF

FRAGMENT DROGI KOLEJOWEJ PRZEZ «GÓRY NADMORSKIE» Z PARANAGUÁ
DO KURYTYBY

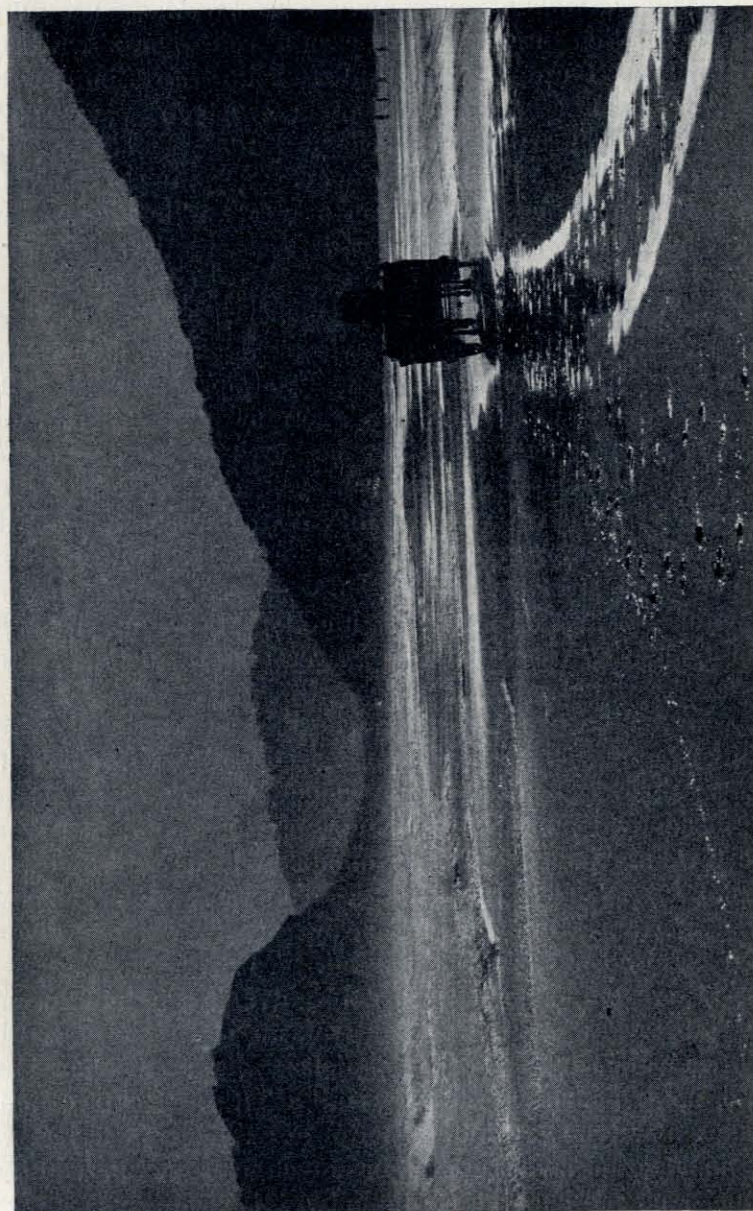
Więdną też o wiele szybciej niż Europejki, tyją i robią się dość vulgarne w typie.

Ciekawe, że dziewczęta polskie, urodzone tutaj, ale z rodziców polskich, upodabniają się w znacznej mierze do Brazyłjanek. Odróżniają się jednak — niestety — brzydko sformowanymi nogami.

Ubierają się Brazyłjanki bardzo kolorowo, co jednak w tem słońcu nie razi, stanowiąc «pendant» do jaskrawości motyli i kolibrów. Rzadko się jednak zdarzy gustowna a prosta sukienka. Nie widać też starania o jakość materiału, a raczej chodzi o ilość sukien i częstą ich zmianę.

Karnawał jest oczywiście rajem dla kobiet, które wówczas wysilają swą pomysłowość, i istotnie każdy wóz jest osobnym arcydziełkiem. Bałe kostjumowe są również miejscem popisu w tej dziedzinie.

Mimo, iż życie domowe, owo «ognisko rodzinne» nie jest zbyt rozwinięte, znaczenie rodzin, czy raczej rodów jest, jakśmy to wyżej widzieli, wielkie. Są całe «klany» Limów, Guimaraśów, Leãońów, Azevedów i Macedów.



PLAŻA SANTOS, W NOCY

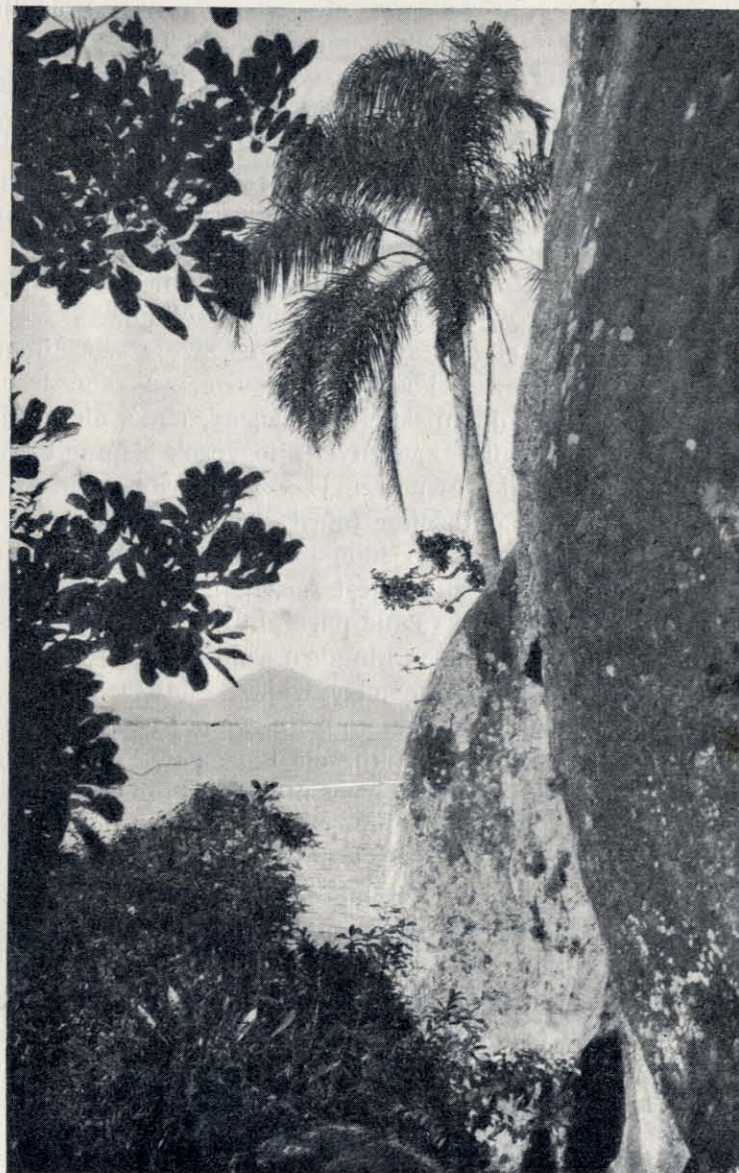
Nazwiska mają brzmienie nieraz bardzo dźwięczne, mimo że znaczenie ich przy przetłumaczeniu robi nieraz wrażenie raczej humorystyczne. A więc: Pinto Rebello — to «Zbuntowane Kurczę», Farinha dos Santos — «Mąka Świętych», Fereira Pereira — «Kowal Grusza», Machado Lima — «Siekiera Cytryna» (właściwie owoc pokrewny cytrynie, «mulat» pomiędzy cytryną i pomarańczą), Costa Curta — «Krótkie Plecy», Carvalho de Oliveira — «Dąb z Oliwki», Casagrande Sobrinho — «Duży Dom Siostrzeniec» i t. p.

Niektóre rodziny wywodzą się od pierwszych rządców prowincyj tutejszych, tak np. Souzowie pochodzą od pierwszego gubernatora Bahii Tomasza Souzy, żyda portugalskiego. Starą również rodziną są Limowie, Albuquerque'owie i kilka innych.

Wobec dużych rodzin, a więc powtarzających się lub łączonych nazwisk — a także trudnych nazwisk cudzoziemców — w większym użyciu jest imię niż nazwisko. Nawet niezbyt intymni znajomi przechodzą na formę «senhor Augusto», «senhor Estanislau» lub «s. Epaminondas». A pomysłowość Brazyłjan w zakresie nadawania imion jest ogromna, jest więc Epaminondas, Achilles, Pinheiro, Iracema, Rizoletta, Consuelo (żeńskie imię) i wiele innych.

Stosunek do dzieci stanie się dla nas zrozumiały, gdy weźmiemy pod uwagę, że ludności jest w Brazylii ciągle jeszcze za mało i że każdy przybywający na świat człowieczek jest pożądanym pomocnikiem. Stosunek ten zatem polega na pozostawianiu pola nie tylko swobodzie, ale nawet samowoli, wskutek czego dzieci są niekarne i kapryśne. Być może, że pewna inercja Brazyłjan ma swoje źródło w tym właśnie braku przejścia przez «Kinderstube».

Jak wspomniałem, mężczyźni spotykają się na głównej ulicy lub w kawiarniach. Każde miasto stara się o to, aby ta główna ulica była jak najpiękniejsza, przyczem zdarza się często, że kilkadziesiąt kroków od asfaltu i elektryczności wpada się w typowe błoto «interioru». Tendencja ta jest raczej pożyteczna, zwłaszcza, że brudnych, ciasnych przedmieść europejskich nie spotyka się tu, najwyżej prymitywne domki, stojące na środku większego lub mniejszego placu.



ROŚLINNOŚĆ SKAŁ NADMORSKICH W ZATOCE SANTOS

System rozwoju kultury, stosowany przez Brazyłjan, możnaby nazwać «fasadowym», lub «ogniskowym»: pośrodku najprymitywniejszych chat i błotnistych dróg tworzy się wspaniałą stolicę, z mnóstwem aut, elektrycznością i t. p. W stolicy tej zwraca się przedewszystkiem uwagę na główną ulicę i na gmachy reprezentacyjne, «interior» zaś pozostaje w dawnym stanie. Symbolem tej gospodarki jest przeciętny domek w większych trochę miastach, który ścianę od ulicy ma murywaną, a całą resztę — drewnianą. Dokładność i solidność budownictwa jest również pod znakiem zapytania.

Być może zresztą, że system ten ma swoje uzasadnienie na tutejszym gruncie; w każdym zaś razie przyznać trzeba, że rozmach w rozwoju miast jest znaczny, choć nieraz jest on oparty na zaciąganiu znacznych pożyczek zagranicznych i szkodliwej imigracji wewnętrznej — z «interioru» do miast.

Ogólne jednak położenie miast brazylijskich — wobec masy słońca, braku brudnego śniegu i błota oraz ścian domów niewyblakłych od deszczu — jest raczej przyjemny.

Zatem główna ulica (a nie parki, lub bulwary) jest zwykle miejscem spotkania beau-monde'u a nawet załatwiania interesów. Poza tem dużą rolę odgrywają — kawiarnie.

W kawiarniach najwięcej konsumowana jest czysta kawa w doskonałym istotnie gatunku, ciastka prawie nie są używane. Również restauracje i bary nie mają powodzenia, jedyny produkt, który zajmuje poważne miejsce po kawie, to — piwo, chociaż oczekiwaloby się raczej wina. Piwo wprowadzili i produkują Niemcy i zdołali już do niego przyzwyczaić Brazyłjan, zresztą na gorąco jest ono istotnie dobrym napojem.

Napój narodowy — herva — w miastach małe ma powodzenie, natomiast króluje w «interiorze».

W kawiarni Brazyłjanin spędza znaczną część dnia, zwłaszcza, że niektóre urzędy rozpoczynają pracę dopiero od 12-ej, a kończą o 4-ej—5-ej.

Zresztą tam się załatwia znaczną część interesów i na blatach stolików można znaleźć nieraz rachunki, opiewające na kilkanaście lub kilkadziesiąt «contów» («conto do reis» — miljon rejsów czyli tysiąc milrejsów, t. j. tyleż prawie złotych).

Alkoholu pije się względnie niewiele i pijanych w mieście prawie się nie widzi, natomiast na prowincji straszne spustoszenie robi «cachas» — nieoczyszczona wódka z trzciny cukrowej, którą czuć silnie wytłoczynami.

Po dłuższem posiedzeniu towarzystwo zwykle rozgrywa kośmi pokerowemi, kto ma płacić rachunek. Trwa to dość długo — jest więc i rozrywka.

Życie klubowe jest w Brazyłji rozwinięte dość silnie, znowu z powodu braku życia towarzyskiego i rodzinnego. Są więc kluby sportowe, sportowo-towarzyskie i czysto towarzyskie.

Niektóre z nich mają wspaniałe lokale, a koszt wpisowego dochodzi do tysiąca milrejsów. W wielu z tych klubów odbywa się prawie codziennie hazardowa gra w karty, tak odpowiadająca usposobieniu Brazyłjan.

Wspominaliśmy już kilkakrotnie powyżej o roli kinematografu w życiu Brazyłjan. Otóż stwierdzić należy, że w pewnym znaczeniu zastępuje on nietylko teatr (którego prawie niema w Brazyłji), ale i książkę i podróż (niezmiernie trudne i kosztowne zarówno w Brazyłji, jak poza nią), kobiecie brazylijskiej daje ponadto zapas wrażeń, w które jest tak ubogie jej życie, a wkońcu jest miejscem rendez-vous eleganckiego świata.

To też entuzjazm do kina jest ogromny: dzień w dzień sala jest nabita, w gorętszych momentach rozlegają się oklaski (tak!), program zmienia się często, aktorzy kin znani są przez wszystkie «moce», a wreszcie wychodzi sporo pism ilustrowanych, poświęconych kinematografowi.

Jako ulubione, występują dwa rodzaje filmów: salonowy, osnuty na tle życia wielkich miast, i «cow-boy'ski», produkowany hurtownie i na jedno kopyto przez półn.-amerykańskie wytwórnie. Ten właśnie najbardziej jest oklaskiwany (przez galerję — notabene), a najczęstszy bohater jego — Tom Mix jest ulubieńcem publiczności.

Dobry film artystyczny lub dobra komedja zdarzają się rzadziej.

Inną atrakcją, równie może popularną, jak kino — jest automobilizm, który jest prawdziwą pasją Brazyłjan. O ile



FOT. A. LINZMEYER

WYBRZEŻE MORSKIE W ZATOCE PARANAGUA

Brazylijanin nie umie zażywać konia i nie ma do niego «serca» o tyle szoferem jest świetnym: pędzi po warjacku, ale precyzyjnie.

Automobilizm z jednej strony rozwinął się wskutek niedostateczności komunikacji kolejowej i tramwajowej, a rozległości miast (system osobnych domków) i wogóle dużych obszarów, z drugiej jednak strony nie jest zupełnie racjonalny wobec braku szos, a częstej nieużywalności (opady!) dróg gruntowych. Przeważało tu jednak zamiłowanie Brazylijan do wszelkich objawów postępu i «amerykanizmu» północnego.

Co do poziomu kulturalnego brazylijskich sfer towarzyskich, to powiedzieć można, że właściwej arystokracji, pochodzącej ze starych rodzin, jest bardzo mało, rolę arystokracji odgrywa właściwie plutokracja, dorobkiewiczze nieraz bardzo nowej doby. O niektórych z nich opowiadają takie historyjki, jak sprowadzanie fałszywych pieniędzy w ołówkach, lub urządzenie rzeźni, nie posiadając więcej niż 2 byczki, które w dodatku ciągle jakoś żyły, mimo, że jatka była pełna.

Nikt się tem jednak nie gorszy, skoro nie złapano spryciarza na gorącym uczynku, a pieniądz jest kluczem do towarzystwa.

Zresztą nuworysze nie rażą tak, jak u nas, ponieważ wrodzona uprzejmość jest powszechniejsza a brak życia towarzyskiego nie naraża na kompromitację z powodu naruszenia «savoir-vivre».

Zaznaczyć jednak trzeba, że młode pokolenie, imitujące bezceremonjalność Jankesów, jest znacznie mniej grzeczne niż starsze.

Ogólnie biorąc, życie towarzyskie w Brazylii jest dość miłe, wobec sympatycznych cech charakteru brazylijskiego, opisanych powyżej — jednak Europejczykowi dokucza jego monotonja i płytkość oraz brak towarzystwa kobiecego, które tak silny wpływ wywarło na tę dziedzinę w Europie.

Odczuwa się też brak teatru, literatury, prądów umysłowych, rozmów ciekawych i t. p.

Jeżeli jednak zgóry traktuje się pobyt w Brazylii, jako odprężenie po zbyt intensywnym życiu intelektualistycznym Europy, jeżeli lubi się tenis i szoferowanie — można czuć się dobrze — zwłaszcza, że człowiek nasycy się słońcem i może chodzić przez trzy czwarte roku «do figury» w białym ubraniu, po suchych trotuarach.

IV. ŻYCIE SPOŁECZNO-POLITYCZNE.

Zgóry powiedzieć trzeba, że o ile Brazylijanin jest miły jako towarzysz, to we wszelkich pracach poważnych, w tworzeniu, organizowaniu, wytwórczości — nie można go traktować poważnie. Częściowo zrozumieć to można na tle historii tego kraju.

Brazylja odkryta została w r. 1500-ym, istnieje więc dla historii — zaledwie cztery wieki. Nazwa jej pierwotna była Tera de Vera Cruz, lub Terra de Santa Cruz¹⁾, nazwa «Brazylja» pochodzi od wyrazu «brazza» — żar, gdyż dostarczano stąd drzewa «Ibirapi tanga» dającego farbę czerwoną, koloru żarzącego się węgla.

Odkrycia dokonali Pinzoni (w styczniu 1500 r.) i Cabral (w kwietniu); z Pinzonim był prawdopodobnie i Amerigo Vespucci.

W pierwszym okresie, kiedy Brazylja była jeszcze kolonią Portugalji, podzielono ją na 12 dziedzicznych kapitanij pobrażnych, w głąb zaś lądu każdy «kapitan» miał prawo do takiego obszaru, jaki zdobył. Było to wdzięczne pole dla awanturniczych conquistadores, którzy tworzyli grupy «bandeirantów» i wdzierali się w głąb kraju. Prześcignęli wszystkich na tem polu «pauliści».

Po trzech wiekach istnienia kolonialnego otrzymuje Brazylja tytuł królestwa (1815) w związku z ucieczką — przed Napoleonem — króla Jana IV (1808). Syn jego, Don Pedro I zostaje konstytucyjnym niezależnym cesarzem, zrywając za-

¹⁾ Skąd tytuł książki.

leżność od Portugalji, syn zaś tego cesarza, Don Pedro II już musi abdykować na rzecz republiki (1889).

Zresztą przyczyną tej abdykacji były nietylko republikańskie przekonania narodu, co presja plantatorów kawy, oburzonych z powodu zniesienia niewolnictwa (1888 r.).

Republika brazylijska zatem liczy sobie niewiele więcej, niż 50 lat.

W dwa lata po zniesieniu niewolnictwa, a w rok po usunięciu cesarza następuje gorączkowa nagonka emigracyjna, która sprowadza kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Mieli oni zastąpić uwolnionych murzynów-niewolników.

Autokratyzm gubernatorów i kapitanów słabo uzależnionych od dalekiej metropolji — z jednej strony, a skłonności rewolucyjne narodu z drugiej — wycisnęły swoiste piętno na życiu politycznem Brazylii: władzę opanowuje kilka rodzin, tworzących pseudo-partję, a druga podobna grupa znajduje się w opozycji, dopóki ona nie dostanie się do władzy.

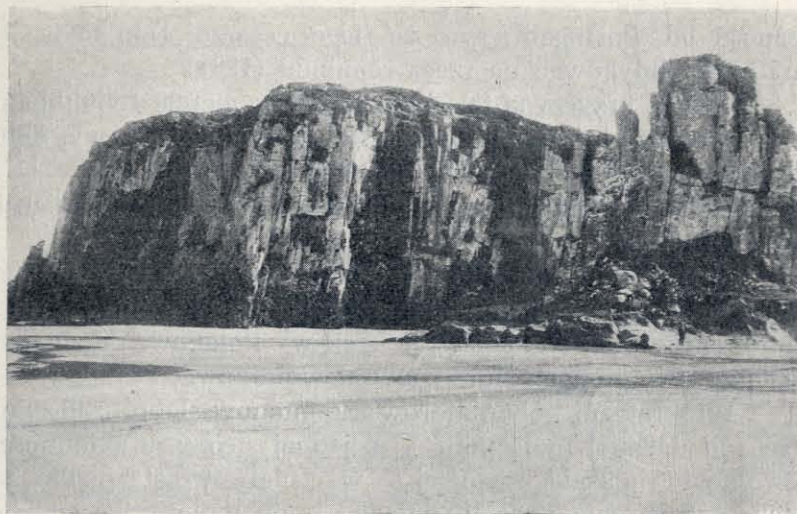
Wybory na szefów w interiorze odbywają się pod egidą nie hasła, ale nazwisk, i pod znakiem «cachasu» a często i kuli. Parlamentaryzm jest fikcją, a prezydenci i ich gabinety wszystkiem.

Zresztą polityką nikt sobie zbytnio głowy nie zaprzęta, myśląc raczej o interesach; objęcie władzy rozumie się jako środek do zbogacenia siebie i swojej rodziny i wszyscy się z tem godzą, nie przejmując się bardzo.

Ogromna ilość synekur, adjutantowanie lub sekretarowanie ojcu przez syna i t. p. objawy nikogo nie dziwią. Jeżeli zaś gazety jawnie mówią o zbytniem dorabianiu się na władzy, to znowu przedstawiciele władzy tem się nie przejmują.

Zresztą pociechą może być tu dowcip, opowiedziany mi przez jednego Brazylijanina, że najlepszym właśnie dowodem potęgi Brazylii jest fakt, iż tylu ludzi przez tyle już lat dorabia się na niej, a nie zdołano jej rozdrapać.

Oczywiście — bogactwa Brazylii są duże, ale zła polityka rządów zmusza państwo brnąć coraz głębiej w niebezpieczne trzęsawisko pożyczek zagranicznych.



FOT. X. KOMANDER

SKAŁY WAPIENNE NAD WODĄ

Rzecz jasna, że ten system nepotyzmu nie przyczynia się do fachowego i bezstronnego działania urzędów, ale wobec znanego indywidualizmu czy zamiłowania swobody u Brazylijan — znaleziono na to wystarczający środek: unika się wogóle zwracania się do władz. Jedyńm postrachem jest zemsta rodziny zabitego, to też członek silnej rodziny jest omijany przez awanturników.

Zresztą słaba sieć policyjna, która opiera się na tak niepewnej podstawie, jak «delegado da policia» z pośród obywateli wybranego — nie może zapewnić sprężystości.

Znam np. taki wypadek z tej dziedziny: korespondent pewnego banku w Kurytybie depeszuje z prowincji: «Wasz korespondent z B. J. otrzymał informację, że będzie zaatakowany przez grupę uzbrojonych bandytów, którzy idą w tym kierunku, z Tereziny, gdzie obrabowali korespondenta miejscowego P. Uprasza się o niezwłoczne rozpoczęcie kroków u szefa policji wymienionego miejsca i poinformowanie o rezultacie».

Aby więc wywołać interwencję policji, trzeba było zwró-

cić się okreśną drogą przez bank w Kurytybie, który dopiero po pertraktacjach i użyciu protekcji zdołał skłonić władze miejscowe do wystąpienia.

Zazwyczaj taka akcja pościgowa nie odznacza się zaciętością i pośpiechem i bandyci mają czas splondrować okolicę. Zdarzają się też typy bandytów sławnych, otoczonych pewną glorią i legendą. Ci nieraz osiadają — po zebraniu sporego kapitału — w «fazendzie» i, otoczeni ogólnym szacunkiem, a przez nikogo nie niepokojeni, dożywają dni swego żywota.

Oto np. jeden z poważnych fazenderów, słynny w swoim



FOT. Z. BOJARSKI

PIĘKNY WIDOK NADMORSKI Z OKOLIC PARANAGUÁ

czasie koniokrad (nie uważa się tego prawie za kradzież), żyje godnie i zacie, słynie jedynie z tego, że kiedy komuś niewytłumaczonym sposobem zginie koń, potrafi — za niewielkim wynagrodzeniem — znaleźć go zaraz na drugi dzień.

Ha! Kto nie pilnuje konia, musi płacić za swoje gapiostwo a spryt innych.

Inny obywatel, również posiadający swoją własność ziemską, ale zamiłowany bardziej w przygodach (dochodowych), walczy po stronie rządu przeciw rewolucjonistom, za co jest — oczywiście — płatny. Czasem zaś płatny jest przez obie strony za... neutralność.

Z drugiej strony zdarzają się oryginalne typy wśród oficerów pościgowych oddziałów: jeden woził ze sobą dzikiego

kota na łańcuchu, inny «miał zwyczaj» osobnika, przeznaczonego na śmierć, częstować kolacją, a następnie kazał go odprowadzać «capandze», który go «likwidował»; a wreszcie ludność miasteczka, gdzie było sporo anty-rządowców, miał zamiar wystrzelać co do nogi (co tylko wypadkiem nie dokonało się).

Oczywiście, że cała ta buńczuczność kwitnie głównie w okresach rewolucji (dość zresztą częstych), a uśmierza się w czasach «pokojoych».

Zresztą trzeba zaznaczyć, że złodziei w Brazylii prawie niema — domy przeważnie stoją otworem. Są tylko bandyci, ale bodaj czy nie bardziej rzadcy, niż np. w Polsce.

Co innego sprytne oszustwo, albo puszczenie fałszywych pieniędzy, to ostatnie nawet było bardzo popularne, a niektórzy sławni bandyci malowali nawet niezbyt starannie 500 milrejsów i kazali sobie «rozmieniać».

Skłonność do rewolucji jest atawizmem, odziedziczonym po matce Brazylii—Portugalji. Są to zresztą raczej ruchawki na wpół bandyckie, rodza «pugaczowszczyzny» rosyjskiej.



WIDOK NA RZECE RIO CLARO

FOT. X. CHYLASZEK

Na temat ich częstości słyszałem dowcipną szaradę, której koniec brzmiał: «a wszystko — stan normalny kraju» odpowiedź brzmiała: «revolução» — rewolucja».

Najciekawszym bodaj zjawiskiem są rewolucje sui generis — religijne; zjawia się w takiej czy innej osadzie «prorok» czy «święty», który coś tam głosi; koło niego grupują się zwolennicy, którzy — oczywiście — muszą z czegoś żyć, a więc — rabują.

Jeden z takich «świętych» wyspecjalizował się w gwałceniu czternastoletnich dziewczynek, póki go nie zastrzelono.

Znany był z tej dziedziny ruch t. zw. «fanatyków» na terytorjum spornym («contestado») pomiędzy Paraną a St. Cathariną, wyzyskiwany i podsycany ze względów politycznych przez rządy.

Jakie przyczyny wpływają na «sezony» rewolucji i pokoju — trudno wysledzić. Ktoś mnie zapewniał, że rewolucje w Brazylii wpływają na ożywienie handlu i przemysłu, ożywienie to trwa jakiś czas, potem następuje zastój, i rewolucja staje się poprostu koniecznością. Relata refero, i nie odpowiadam za ścisłość tego ekonomicznego wywodu.

Tak, jak w dziedzinie bezpieczeństwa, i w innych dziedzinach sprawność działania urzędów nie jest przysłowiowa w Brazylii; działalność sądów zależy w znacznej mierze od osobistych stosunków. Prace statystyczne są więcej niż problematycznej autentyczności a mapy są opracowywane z połotem artystycznym raczej, niż z przesadnym pedantyzmem. Podobnie działają i wszelkie inne urzędy: poczta, koleje i t. d.

Wojsko — mimo francuskiej misji w stolicy — stoi na bardzo niskim poziomie przysposobienia: kawalerzyści i artylerzyści nie umieją jeździć, na równej drodze zlatują z koni i płaczą się beznadziejnie, jak to miało miejsce podczas wielkiej defilady w Rio w roku 1927-ym. Karność jest prawie żadna, ucieczka rekrutów — objawem normalnym, a pozostawienie ćwiczeń odłogiem — prawie zasadą.

Nierzadko też zdarzają się porywania się z bronią na zwierzechników.

Jest to zresztą zrozumiałe: istotnej, pilnej potrzeby istnienia Ziemia Św. Krzyża



FOT. WEISS

JEDNA Z WIEKSZYCH RZEK PARAŃSKICH — IGUASSÚ (PO INDYJSKU
WIELKA WODA)

nia silnej armji — niema, natomiast wolny Brazylijanin ma wrodzoną awersję do karność w jakiegokolwiek formie. Co zaś do nieumiejętności zażywania konia, poruszymy to jeszcze dalej.

Mimo nieistnienia partyj i programów (jak zwykle w narodach młodych zastępuje je obieranie za sztandary — jednostek), budzi się od pewnego czasu niezmiernie silny prąd nacjonalistyczny, który dość poważnie zagraża także polskiemu żywiołowi.

Z innych tendencyj warto zanotować dość silny separatyzm poszczególnych stanów, którego zwolennicy dowodzą — może nie bez racji, — że kilka małych państw gospodarowałoby lepiej, niż jedno wielkie, i że żadnej istotnej łączności pomiędzy niektórymi stanami niema.

Istotnie, jeśli zważymy, że Brazylja liczy w przybliżeniu 8,500.000 km. kw., czyli jest dwadzieścia pięć razy większa niż Polska, zrozumiemy te odśrodkowe tendencje.

Ludności jest mniej więcej tyle co w Polsce lub nieco mniej t. j. 25—27 milionów (statystyki są stare i niepewne). Białych ma być 8—9 milj., murzynów około 3, Indjan — 2, a mulatów 14—16.

Imigracja tworzy spory blok około dwóch milionów, i to: Włochów — 1300, Niemców — 500, Polaków — około 140 tys. Włosi asymilują się bardzo łatwo (ze względu na podobieństwo języka choćby), natomiast Niemcy tworzą silny i odrębny żywioł (głównie w St. C., a także w Rio Gr.), liczebnie silniejsi od Polaków trzykrotnie, a finansowo i pod względem wpływów o wiele więcej.

Ruchów umysłowych i wpływów politycznych w naszym znaczeniu — niema. W Rio Grande do Sul sui generis «religią filozoficzną» jest pozytywizm Comte'a, traktowany, jako coś niezmiernie aktualnego. Poza tem istnieje dość liczna masonerja (w Kurytybie samej podobno około 7 łóż), traktowana jednak raczej, jako moda i dowód przynależności do kultury i postępu.

Kościół ma wpływy bardzo małe (przestrzenie!) i jest oddzielony od państwa. Duchowieństwa narodowego — mało, przeważają parafje «misyjne» kongregacyj europejskich.

Oświata stoi na poziomie niskim, fach nauczycielski traktowany jest przez mężczyzn jako ostateczność, gdyż każdego



FOT. A. LINZMEYER

«POROGI» NA RZECE IVAHY W PARANIE. PRZECIĄGANIE ŁODZI

ności myśl o zrobieniu wielkiego majątku — jest to niejako atmosferą tej południowej siostry Stanów Zjednoczonych, które w wielu dziedzinach traktuje się jako wzór.

Prasa nie ma ani części tego znaczenia, co w Europie: nie prowadzą jej poważni politycy i publicyści, lecz ludzie młodzi, często bez charakteru, polujący na sensację i przechodzący od panegiryku do paszkwilu, zależnie od przygodnej informacji i stosunków osobistych.

Zazwyczaj rząd kupuje sobie kilka pism, które sławią bez ogródek i pod niebiosy błogosławione owoce jego działalności, gdy tymczasem opozycja wysila się na dobór (równie bogaty) wyrazów oburzenia i potępienia.

Ogólnie jednak biorąc, stwierdzić należy, że polityczne zagadnienia mało mącą życie normalne, życie pogodne, idące lub raczej pędzące do dobrobytu i zrobienia majątku. Ujemne zaś strony polityki traktuje się dobrodusznie według maksymy «man muss leben und leben lassen».

Bezpieczeństwo osobiste i wymiar sprawiedliwości zapewnia własna broń, podatki zawsze przecież komuś trzeba płacić, no a przytem trzeba mieć jakąś reprezentację, która subsydjuje karnawał i przyjmuje gości zagranicznych.

Zawsze ustępujący prezydent jest zły, a nowoobрани dobry i ostatecznie niema czem się denerwować.

I istotnie echa zaciekłych walk europejskich wydają się tu dziwne i przykre. A niebezpieczeństwo zewnętrzne? — ba! przecie zawojować lasów brazylijskich nikt nie jest w stanie.

Brazylja jest spokojna i polityka nie psuje jej krwi.

V. STAN EKONOMICZNY.

Ponieważ nudny ten rozdział opuszczają prawdopodobnie wszystkie czytelniczki i znaczna część czytelników, śpieszę zaraz na początku wypisać grubemi literami: w Brazylii niema miejsca i pracy dla inteligentów!

Przeciętny inteligent polski, nie znający języków europejskich, ani brazylijskiego, nie mający żadnego zdecydowanego fachu, nie posiadający kapitału, a mający w dodatku pewne potrzeby kulturalne, nie ma po co przyjeżdżać do Brazylii.

Tu oczywiście uśmiechnie się wzgardliwie niektórzy młodzian przygód żądny i powie: «Będę nosić towary w porcie albo pójdę w lasy!...»

Ze smutkiem więc zapewnić go muszę, że nawet na noszenie owych towarów jest sporo reflektantów, którzy wytrzymają dłużej i więcej, niż on, zaś owe «lasy...», nie jest to takie proste. O «korzonkach», któremi się żywili z dziwnym uporem wszyscy pustelnicy, niema co myśleć; żyć z polowania? — ba, kiedy zwierzęta — jak to jeszcze omówimy szerzej — rozsiedlone tu są mniej gęsto, niż w Europie, poza tem trzeba mieć dobre psy, trzeba znać dany teren i t. d. A nawet, uwzględnwszy to wszystko, stwierdzić należy, że samotny człowiek żyć tylko z polowania w lesie brazylijskim — nie może. Fortuna myśliwska w Brazylii jest bardziej kapryśna, niż gdziekolwiek indziej, a najczęściej podkreślają to najstarsi myśliwi.

Zbliża wszystko to wygląda o wiele mniej poetycznie a więcej codziennie i trudno.

Długotrwałe i nadzwyczaj silne deszcze uniemożliwiają tu wszelkie takie sielanki, olbrzymie przestrzenie wymagają posiadania jakiegoś konia czy muła. No, a poza tem trzeba na czemś spać, w coś się ubrać, kupić czasem lekarstwo i t. p.

Wszelkie polowania, wyprawy miernicze, czy inspekcje ziem wymagają o wiele większych nakładów, niż to się zdaje młodemu podróżnikowi.

Jeden ze starych Parańczyków twierdził, że polskich młodzieńców, przyjeżdżających do Brazylii, można podzielić na dwie kategorie: tych, co przywożą komplet Londona, i tych, którzy nie są weni zaopatrzeni.

Ci pierwsi są groźni i kłopotliwi: nie mówiąc o tem, że o dwa kilometry od miasta wyjmują bohatersko rewolwer i «z zimną krwią» oczekują napadu Indian sprzymierzonych z «oncami» jaguarami, ale często trzeba się nimi opiekować, aby, wyrzekłszy się dumnych projektów, przyjęli posadę nauczyciela w zapadłej wsi, o ile i to się znajdzie.

Sytuacja bowiem ekonomiczna Brazylii i jej struktura zasadnicza jest tak jeszcze prymitywna, że żywioł inteligencji bez określonego, produkcyjnego fachu; żywioł, który w starych krajach jakoś tam się przyczepia — nie może tu liczyć na znalezienie pracy.

Inteligent taki w swoim kraju może wykonywać sporą ilość prac biurowych czy innych, wymagających inteligencji abstrakcyjnej, «wyrazowej»; prac, które w społeczeństwie bardzo zróżniczkowaniem wylaniają się w pewnej ilości. Tu zaś — wobec nieznajomości języka — traci tę jedyną swą zdolność i musi się uciec do pracy fizycznej t. z. do tego, co robi najgorzej i płatne jest źle.

Nawet zawody «wolne» są tu niemożliwe do praktykowania bez nostryfikacji dyplomów, a o urzędach cudzoziemiec nie ma co marzyć.

Tych prostych prawd nie rozumie bardzo wielu ludzi, zwłaszcza Polaków, tak mało mających zrozumienia i odczuwania realności życiowej.

To też wykolejonych emigrantów-inteligentów jest tu

sporo, i chwytają się najfantastyczniejszych pomysłów. Ponieważ zazwyczaj wszystko to się nie udaje, następuje rozgoryczenie i pretensja do wszystkich, łącznie z urzędami państwowymi.

Poza «jack-londonistami» przyjeżdża jeszcze druga kategoria niedołęgów — zwyczajnych niedołęgów. Ci rozumują



FOT. J. O.

GRANICA STANU RIO GRANDE I ST. CATHARINA — RZeka RIO URUGUAY

w jakiś nadzwyczajny sposób, że skoro nie udawało im się w kraju, to tu może im się udać lepiej. Przesłanki są tu zupełnie bezkrytycznie przyjęte, boć skoro wśród znajomych ludzi i znanych warunków niedołęga sobie nie poradził, to wśród nowych ludzi i warunków będzie biedował dziesięć razy gorzej, kłopotząc się w dodatku, jak to zdobyć się na bilet okrętowy do Europy.

Jedynie inteligent, który ma nieco grosza i decyduje się na życie kolonisty, może się tu zaczepić. Przeciętą kolonja

(25 ha) kosztuje jednak około 2 tys. złotych, a kapitał taki rzadko się spotyka w kieszeni inteligenta, pragnącego emigrować.

Szanse na powodzenie w Brazylii ma emigrant-rolnik (z pewnym zapasem gotówki jednak), dobry rzemieślnik (również mający nieco grosza), lub wreszcie kupiec ze sporym kapitałem, który zresztą przeznaczony jest w znaczniejszej swej części na stratę.

Byłby tu jeszcze teren dla większych właścicieli ziemi, którzy chcieliby założyć «fazendę» hodowlaną. Na ziemię należałoby przeznaczyć ze 200 tys. a na bydło 100 tys. (tysiąc sztuk po 100 zł. mniej więcej). Przy minimalnym wkładzie pracy można mieć z tego ładne życie, zwłaszcza, jeżeli jeszcze ma się nieco herwy.

Strukturę gospodarczą Brazylii w kilku słowach możnaby określić tak: Przemysł — rozproszenie i bliskość jeszcze do rzemiosła (co do rozmiaru), protekcjonizm celny. Handel — charakter spekulatywny, rynek mało pojemny o ogromnych wahaniach i kryzysach, import przemysłowy, eksport — rolniczy, poważna przeszkoda — brak komunikacji, drożyzna transportu i rozproszenie konsumentów. Napływ zagranicznych kapitałów — duży. Rolnictwo — rabunkowe, ekstensywne; wskutek szybkiego wyjaławiania się ziemi — wewnętrzna migracja (powodująca nieraz upadek całych osiedli), hodowla — prymitywna.

Bogactwa naturalne — duże, trudne do wyzyskania wobec braku kapitałów, fachowców, rąk roboczych i transportu.

Obecnie panuje znaczny kryzys i brak gotówki (przewszystkiem mówimy o trzech południowych stanach) i to od dłuższego już czasu. Przyczyną tego jest głównie niepomysłna konjunktura dla brazylijskiej herbaty t. z. «herva maté» — głównego produktu eksportowego Parany i St. Cathariny.

Angielska komisja ekonomiczna, zaproszona przez rząd tutejszy, streściła swe rady w trzech punktach: imigracja, komunikacja, oszczędność.

W dziedzinie komunikacji projekty pewne są, oszczędności nie są popularne, ani prywatne, ani rządowe. Prywatne,



FOT. WEISS
DROGA DO SENADOR COREIRO. (NA PRAWO — PIĘKNE OKAZY LIAN, CZYLI T. Z. «CIPÓ» CZYT. — SIPO)



FOT. Z. BOJARSKI
POROSTY DRZEWNE, ZWANE «BRODAMI
ABSALONA»

Podstawą bogactwa Brazylii są oczywiście płody ziemne i produkty hodowli; w eksporcie pierwsze miejsce zajmuje kawa, potem herva, kauczuk, bawełna, kakao, ryż, czarna fasola, tytoń, mięso i t. p. Na południu przede wszystkim herva.

Załamanie się herry wynikało z groźby uniezależnienia się Argentyny (główniej odbiorczyni), która tworzy sztuczne plantacje. Fakt ten jest znacznej doniosłości dla przyszłości Parany i odbić się mógłby nawet na żywiole polskim. Dotychczasowa gospodarka rolna opierała się przede wszystkim na naturalnych «hervalach» t. j. laskach herry, najczęściej

gdyż rynek tutejszy daje nieraz nadspodziewane zyski, które są silną pokusą; rządowe, wobec powszechności synekur i źle nieraz pojętego «rozmachu» amerykańskiego, pociągającego zadłużenie.

Imigracja jest problemem jeszcze trudniejszym. Przedewszystkiem dlatego, że miejscowości dotychczas nieskolonizowane (np. cały olbrzymi północny zachód Parany) są klimatycznie niepewne (malarja) i nie mają komunikacji; następnie — wobec wspomnianego już wyjaławiania się ziemi i swoistego koczownictwa (gospodarka intensywna nie kalkuluje się). Obecnie niema tu ani rządowej, ani kolejowej, ani prywatnej kolonizacji na większą skalę.

pomieszanych z pinjami (sosna braz.); z obszaru kolonii — normalnie 25 ha — uprawiało się zaledwie 4—8 hektarów. Z chwilą, gdyby nastąpiła konieczność zwrócenia się raczej do uprawy, niż hodowli herry — ziemia wyczerpałaby się jeszcze szybciej. Jak się jednak zdaje, herva argentyńskie nie stanowią poważnej konkurencji i są raczej manewrem.

W Paranie ostatnio usilnie propagowana jest uprawa kawy, zwłaszcza na północy; jaki to wyda rezultat, trudno przewidzieć. W tej sprawie wyjaławiania się ziemi zabiera głos pisarz Monteiro Lobato. Jako niezrównany obserwator, kresli w krótkich opisach i szkicach barwnie i żywo stosunki w swym rodzinnym stanie São Paulo.

«Gorzka a bolesna prawda uderza w oczy podróżnika po niezmiernych a rozległych obszarach naszego kraju w okolicach, tryskających niegdyś bujnym życiem, a dziś zamarłych lub skazanych na nieuniknioną zagładę: nasz «postęp» skazany jest na prędką upadłość, bo nie różni się niczem od gospodarki ludów koczowniczych, (to jest wędrujących z miejsca na miejsce i na sposób szarańczy niszczących daną miejscowość). Postęp ten słabe tylko zapuszcza korzenie, a już nie wystrzela nowymi pędami. Związany z całym szeregiem czynników, łącznie z niemi zmienia miejsce pobytu; jest zawsze w drodze, jak cyganie. Kiedy wędruje z jakiejś okolicy,



FOT. KIETLIŃSKI
TYP ZAROŚLI NADMORSKICH — DRZEWO,
OBROŚNIĘTE LIANAMI, MOGĄCE UKRYĆ
KILKA OSÓB

to opustoszałe osiedla są jedynym po nim pozostałym śladem.

Wydajność ziemi jest jednym z czynników, które przynoszą z sobą postęp. Ledwo atoli siły i soki odżywcze ziemi zaczną się wyczerpywać, to zamiast ją zasilać przez nawozy, jak się to praktykuje w Europie, porzuca się niegodnie ziemię rodzicielkę, skutkiem tego rozwój danej okolicy utknie, stanie na martwym punkcie, — kapitał z tej ziemi wyspany przenosi się gdzie indziej, a wraz z nim i siły robocze. I tak pustka bierze powolnie w swą władną moc ruchliwą niegdyś miejscowość; zniechęcenie i apatia zupełna ogarnia znikomą resztkę mieszkańców, którzy, czyto z braku energii i woli, czy może z niechęci do dalszych wędrówek, pozostają na miejscu. Naród nasz bowiem tylko tam potrafi się czegoś dorobić, dojść do zamożności, gdzie są po temu naturalne warunki; a więc gdzie urodzajny i dziewiczy czarnoziem (humus) dostarcza wszystkiego w obfitości. Natomiast gdy trzeba stanąć do walki ze znikającą wydajnością, sztucznie podnieść żyzność ziemi, otworzyć nowe źródła dobrobytu, odmienne od dawniejszych, wtedy nasi ludzie tracą odwagę i wszelką przedsiębiorczość. Jeśli są w sile wieku, to przenoszą się gdzie indziej, jeśli im na to wiek i siły nie pozwalają, gnuśniejają w bezczynności i popadają wkrótce w ostateczną nędzę.

Wschód stanu São Paulo, mylnie północą zwany, jest najlepszym przykładem podobnego upadku. Tam wszystko należy do przeszłości, nią żyje i oddycha, — nie zaś do teraźniejszości. Cały szereg zamierających miast marny wiedzie żywot; uświadamiając zaś sobie obecny swój upadek, z bolesną goryczą ubolewa i wspomina minioną wielkość i blask. Istotnie, jak komentują tę opinię XX. Misjonarze polscy (opierając się zresztą na opinii fachowców brazylijskich), ziemia tutejsza jest uboga w pożywne dla roślin składniki, wyczerpuje się wnet, jałowuje, a zwłaszcza po dłuższej a nieprzerwanej uprawie jednej i tej samej rośliny. I tak plantacje kawy (cafezale) wyczerpują ziemię doszczętnie już po 20—30 latach, a plantacje trzciny cukrowej jeszcze prędzej; nawet płodo-

zmian już ich uratować nie jest zdolny. Przysłowie: «przed kawą i po kawie idzie śmierć» spełnia się całkowicie. Dla urządzenia bowiem plantacji kawy ścina się i pali wspaniałe, dziewicze lasy, — na ich miejscu buja piękny cafezal, — lecz po 20—30 latach i on marnieje, drzewka kawowe zamierają, a na ich miejscu wyrasta marna capoeira. Gdy nadomiar złego nastanie posucha, — wówczas kraj nabiera wyglądu pustynnego.

Podobnych nieużytków posiadają wiele stany północne (Ceará, Parahyba, Rio Grande do Norte...), nie brak ich w Batrii, São Paulo, a nawet i na wyżynie parańskiej i kataryńskiej nie należą do rzadkości. Do ruiny kraju przyczynia się nie mniej łupieska gospodarka lasowa: pod siekierą obcych, jak największych zysków chciwych handlarzy, padają wspaniałe lasy, na ich zaś miejsce nie sadzi się nowych, by utrzymywały wilgoć i ochraniały ziemię od wyschnięcia i spiekoty słonecznej. Wszyscy tu rąbią — a nikt nie sadzi. Wielu roz-



FOT. J. O.

DRZEWO IMBAUBA W OKOLICY RIO VERMELHO. ULUBIONE DAWNIEJ PRZEZ LENIWCE, OBECNIE (LENIWCÓW JEST CORAZ MNIEJ) — PRZEZ MRÓWKI

ważnych uczonych, obywateli zacnych, którym troska o dobro i przyszłość kraju leży na sercu, uświadamia sobie dobrze ten wcale niepokieszący objaw, i nawołuje do lepszej, racjonalniejszej gospodarki. Niestety, — ich głosy, to prawie głosy wołającego na puszczy, mało znalazły zrozumienia.

Rolnictwu szkodzi ogromnie: siła i nieregularność opadów, niedostateczność i drożyzna komunikacji, zmienność stanu dróg kołowych (często nie do przebycia), znaczna ilość szkodników, nieraz nieznanych zupełnie, wreszcie brak organizacji rynku, co wywołuje rzucanie się na uprawę produktu pokupnego i przeładowywanie nim rynku, co z kolei prowadzi do jego spadek.

Hodowla prowadzona jest głównie w Rio Grande do Sul; główny jej wzrost przypadał na okres wojny i pierwsze lata po wojnie, potem nastąpiło załamanie. Produkty mleczarskie są rzadkie, gdyż hodowla na sposób europejski (w oborach) stosowana jest tylko w St. Catharinie przez Niemców.

Poza tem półdzikie bydło chodzi luzem w pinjalu i herwalu bez żadnej opieki i właściciel często nie wie, ile ma sztuk i gdzie one są. Od czasu do czasu tylko bydło styka się z człowiekiem, mianowicie przy markowaniu. Odbywa się to w ten sposób, że naprzód łapie się kolejną sztukę na lasso, następnie nakłada się popręg z kółkami pod brzuchem i przez nie przeciąga się lasso do tylnich nóg. Bydlę zmusza się, aby usiadło, a następnie przewraca się je i rozpalonem żelazem wypala znak właściciela. Nowszym i prędszym sposobem jest przepędzanie przez wąski korytarz-płot między dwiema większymi zagrodami i w przejściu szybko przykładają się żelazo.

Zboża europejskie nie udają się zbyt w Brazylii, to też import pszenicy zadziwia swoją ilością: stanowi około 15% całego importu. Ostatnio prezydent Parany rozwinął ogromną propagandę za uprawą pszenicy. Poza tem importuje się: cement, węgiel, smary, ropę do motorów, tekstylja, chemikalja, maszyny, aparaty, narzędzia, samochody, wagony, szyny, rury, drut, wyroby ceramiczne, papier, galanterję i in.

Południe kupuje przeważnie towary niemieckie, północ



FOT. FRANK

TYPOWE DRZEWIA BRAZYLJSKIE, O SZARYM PNIE. NA PRAWO NA DRZEWIE ZWANEM CANELA — STORCZYKI, JAKO PASORZYT

amerykańskie, wielki jest też import angielski. Eksport również trafia do rąk Anglików, Niemców i Amerykanów.

Stan finansowy Brazylii nie jest najlepszy: wszystkie stany zadłużają się na swoją rękę, a państwo, jako całość, na swoją. Wobec jednak niewyczerpanych jeszcze nawet w części bogactw naturalnych, nie jest to groźne, może najwyżej doprowadzić do kurateli wierzycieli nad tym czy innym warsztatem dochodowym (cła, koleje).

Możliwości handlu z Polską — o czem zaczyna się mówić w ostatnich czasach — są małe, a o pośrednictwie miejscowych kupców polskich trudno mówić, wobec braku firm czy osób, stojących na wysokości zadania. Być może, że z czasem i to przyjdzie.

Poza tem odgrywa rolę odległość, utrudniająca korespondencję, konieczność specjalnego opakowania, niezbędność kredytowania minimum do 90 dni, nieznajomość rynku, słaby

kontakt bankowy między temi dwoma krajami, niepewność rynku brazylijskiego, brak bezpośredniej linii morskiej, a wreszcie konieczność oferowania firmom brazylijskim C I F port brazylijski (cena z transportem), a przy eksporcie F O B (bez transportu) port brazylijski (poza kawą).

Handel polski nie jest — przypuszczalnie — jeszcze tak wyrobiony światowo, aby mógł te trudności pokonać, zwłaszcza, że spotkałby tu ogromnie silną konkurencję «zasiedziały» kapitałów, przede wszystkim niemieckiego. Jedynie może cement mógłby być przedmiotem namysłu, ale i to wymagałoby dużej akcji przygotowawczej.



FOT. J. O.

TRZCINA BAMBUSOWA — «TAQUARA»

VI. POLACY W BRAZYLII

O Polakach w Brazylii pisano dotychczas znacznie więcej, niż o Brazylii wogóle, nie mam więc zamiaru rozwodzić się specjalnie na ten temat, chciałbym tylko sprostować kilka błędnych i zbyt optymistycznych pojęć, błakających się w społeczeństwie polskim w kraju. Przede wszystkim często się spotyka przesadne pojęcia co do liczebności i wpływów żywiołu polskiego tutaj. Dokładne ustalenie liczby Polaków, zamieszkałych w Brazylii, jest dość trudne, wobec braku wiarygodnych statystyk i rozproszenia się kolonistów nieraz po miejscowościach odległych; trwa nawet na ten temat stała dyskusja, która znajduje swój wyraz i w prasie. Jedni podają liczbę Polaków, zamieszkałych w trzech południowych stanach, na 113 tys. dusz, inni doliczają się aż 200 tys.

Przypuścić można — z dużym, zdaje się, prawdopodobieństwem, że liczba ta dochodzi do 140 tys., jako do maximum.

Zaznaczyć należy na marginesie tej polemiki, że Polacy, których możnaby określić, jako «parańczyków» — t. j. niejako lokalnych patryotów polskości w Paranie, mają tendencję do obliczania się raczej in plus. Jest to objaw — zrozumiały zresztą — nadania sobie większej wagi, pocucia się jako pewnego rodzaju ośrodek i siła.

Na tle jednak cyfr — stosunek procentowy wygląda skromnie: w stanie Parana, liczącym wszystkich mieszkańców 870 tys. dusz, Polaków jest około 80 tys., a więc 10%, a w każdym razie nie ponad 20%.

Ziemia Św. Krzyża

W trzech stanach południowych razem Polacy wynoszą tylko 3%.

Takie chłodne spojrzenie na prawdę bez aprioryzmu sentymentalnego jest konieczne, aby w ewentualnych posunięciach metropolji nie opierać się na fikcjach czy wrażeniach i nie zrobić posunięć fałszywych.

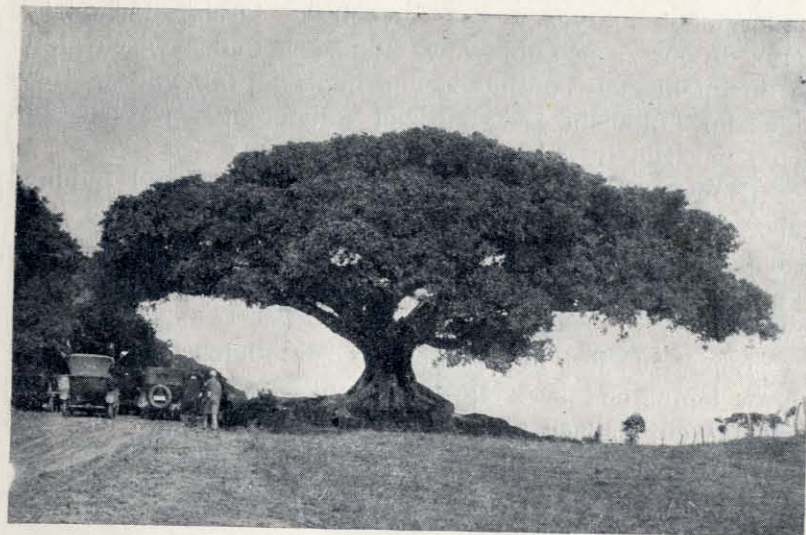
Przed walką, którą stoczyło tu wychodźstwo polskie, przerzucone w tak odmienne warunki, należy skłonić głowę i stwierdzić, że chłop polski zdał egzamin z twardości swego charakteru. Ale szkodliwe i fałszywe jest przedstawianie przez niektórych autorów żywiołu polskiego, jako jedynych ludzi kulturalnych wśród puszczy i półdzikich murzynów.

Pamiętać trzeba bowiem, że przedewszystkiem istnieje kolonizacja niemiecka i włoska, a następnie, że do brazylijskich sfer kierowniczych politycznie, czy przodujących intelektualnie lub towarzysko, Polacy nie wchodzą, podobnie jak do sfer niemieckich, kierujących ekonomicznie.

Trzeba też uprzytomnić sobie, że polski rolnik w swej uprawie roli znacznie «skabokłał» — jak to zauważa chociażby wyżej cytowany Pierre Denis — i że ziemie, które on porzuca, uprawiają z powodzeniem Włosi i Niemcy, przez co zostają na ziemiach bliższych centrum kraju, gdy Polacy rozpraszają się, szukając nowych, «dzikich» ziem.

Polski żywioł cieszy się istotnie uznaniem, ze względu na swą pracowitość; z drugiej jednak strony — Brazylijanin, przyrodni syn starej cywilizacji śródziemno-morskiej, ceniący więcej — choćby tanią — grację życia i błyskotliwość umysłu, odnosi się nieco lekceważąco do polskiego chłopca, który umie tylko ciężko pracować. Jest to ten sam odcień pogardy, jaką ma cygan dla chłopca: uważa go za niewolnika pracy.

Ogromnie też zaszkodził naszemu prestige'owi duży procent polskich żydówek wśród przywożonych prostytutek: «polaca» jest często synonimem prostytutki. Na tem tle zdarzyło się nawet przykre nieporozumienie: pewien dziennik, chcąc powiedzieć: «prasa sprzedajna, prasa prostytuująca się» — użył wyrażenia «impresa polaca», co część społeczeństwa zrozumiała, jako atak na prasę polską...



WIELKI FIGOWIEC, ZE STANU RIO GRANDE

FOT. J. O.

Zamiast tego przykrego już przymiotnika, używa się czasem obecnie wyrażenia: polonéz, poloneza — podobnie jak: protugez, portugeza. Dużo też zrobiła już propaganda prowadzona przez placówki polskie, wszystko to jednak jest mało; propaganda jest tu konieczna i to prawie wyłącznie w postaci filmu.

Jak zaznaczyliśmy wyżej — Polacy do sfery kierowniczej politycznie, ani przodującej towarzysko nie wchodzą; nie mają też — niestety — siły, jako żywioł handlowy lub przemysłowy. Niewielka procentowa ilość «wend», znajdująca się w rękach Polaków w interjorze, kilkunastu rzemieślników, kilku mniejszych przemysłowców i kilka niewielkich sklepów w Kurytybie (podobnie w Porto-Alegre) jest wszystkim, co mamy w tej dziedzinie.

Natomiast Niemcy mają wielkie sklepy, hurtownie, fabryki, Anglicy — całe linje kolejowe, zakłady elektryczne, banki, Brazylijanie — fazendy, młyny herwowe i t. p.

O wpływy polityczne, jako masa wyborcza, Polacy dotychczas nie postarali się dostatecznie, przenosząc cały swój

temperament polityczny na wewnętrzne tarcia, dochodzące nieraz do gorszących objawów. Odnosi się to oczywiście głównie do inteligencji i półinteligencji miejskiej (głównie w Kurytybie), bo kolonista jest bardziej indyferentny w tych sporach i bardziej trzeźwy.

Głównym ogniskiem walk jest Kurytyba, od najdawniejszych czasów pełna tego dziwnego zaciętrzewienia, którego podłożem są zresztą prawie wyłącznie osobiste ambicje i animozje, a której skutkiem są ciągłe rozłamy, ataki obelżywe i t. p.

Lepiej już jest na kolonjach, gdzie odgłosy tych walk — wbrew temu, co się zdaje leaderom — są b. nikłe, a już w głębszych osadach nikt sobie tem głowy nie zaprzęta. Można by powiedzieć, że najciekawszy i najsympatyczniejszy są Polacy z lasów, gorzej już przedstawiają się z pól i kolonij, a najgorzej — z miast.

Do najmilszych dni, jakie spędziłem w Brazylii, zaliczę pobyt u osadników w St. Catharinie za górą Tayo. Leżąc z nimi na jednym posłaniu podczas noclegu w lesie i jedząc «farofę» z jednego worka, rozmawialiśmy dużo, zawsze ciekawie i rozumieliśmy się doskonale, ale ci ludzie mówili mi o tem, na czym się znali, co widzieli, co umieli. Nauczyłem się też od nich dużo. Charakterystyczną zaś cechą półinteligencji lub inteligencji wykolejonej i zatrzymanej w swym rozwoju w momencie wyjazdu z kraju — jest brak poczucia realności życia i znaczenia wyrazów. Ludzie tacy biorą słowa za rzeczy, jedne pojęcia za drugie i jedne zjawiska za drugie, a przytem cierpią wybitnie na megalomanię i reagują niewspółmiernie do podniet.

Kurytybska inteligencja i półinteligencja, mimo używania postępowych i demokratycznych haseł, ma typowo szlachecko-sejmikową metodę działania, a socjalnie składa się z najżarłoczniejszego, bo młodego kapitalizmu, opierając się w znacznej mierze na drobnych kupcach.

Słusznie powiada b. konsul kurytybski, p. Głuchowski, w swej książce, że chłop wiedział, czego chce w Brazylii, a półinteligencją tutejsza nie wiedziała i — dodajmy — nie

wie do dziś dnia. Słuszna jest też jego opinja, że za jej sprawą «wkradły się też... w życie kolonji walki i intrygi emigrantom polskim dotąd obce» i że wykazała się ona «balastem swarów i waśni osobistych».

W tem zaciętrzewieniu doszła nawet do atakowania w prasie konsulatu i poselstwa w sposób więcej niż niewybredny, a wreszcie użyła pomocy prasy brazylijskiej. Zresztą lepiej rzucić zasłonę na te karty, bo nie są one najpiękniejszymi w dziejach tej grupy, i poza prowodyrami, którzy zapędzili się tak daleko, reszta odczuwa wyraźny niesmak. Większość walk, z których składa się życie tych ludzi, są to rzeczy drobne, zbudowane na jednym słowie, wrażeniu, podejrzeniu lub przypuszczeniu, to też na Europejczyku, który nie dał się ściągnąć do poziomu zaściankowości, robią wrażenie raczej zabawne.

Co jest istotnie poważną tu sprawą — to stan posiadania, który utrwalił tu chłop polski i który ciągle jest przez niego powiększany. Z kolonistą też łatwiej jest porozumieć się w każdej sprawie, gdyż odczuwa on wyraźnie tę «réalité des choses, qui commande» — jak mówi marszałek Piłsudski.

Kolonista zbudował kościoły polskie i polskie szkoły oraz towarzystwa je utrzymujące. Obecnie (w 1928 r.) czynnych szkół polskich jest około 170, a więc znacznie więcej, niż było w 1923 roku, gdyż b. konsul, p. Głuchowski, podaje ich liczbę na 147. Około zaś 20 szkół dałoby się jeszcze uruchomić. Chłop polski zdał egzamin twardości charakteru, i możemy sobie powiedzieć, że materiał osadniczy mamy świetny: bez kierownictwa, bez rządu własnego, w obcych zupełnie warunkach, nie wywożąc z kraju nawet podstaw oświaty, zdołał nie tylko utrzymać się, ale rozszerzyć, wypierając autochtona-cabocla.

Jeżeli chodzi o tempo wynarodowienia, to nie jest ono tak szybkie na kolonjach, jak u ludności miejskiej, gdzie nawet dzieci inteligencji chętniej nieraz mówią po brazylijsku. Im kolonja jest bardziej spoista — tem wynarodowienie postępuje oczywiście wolniej. Drugie i trzecie pokolenie czuje się już w pewnej mierze obywatelami brazylijskimi, zwłaszcza że



FOT. FRANK. RIO VERMELHO
OLBRZYMI KAKTUS W STANIE ST. CATHARINA

kultura brazylijska wobec kultury wywiezionej z Polski przez chłopą — mabezwzględnie siłę atrakcyjną.

Szybkość wynaradawiania się, ogólnie biorąc, jest mała, liczyć się jednak trzeba z tem, że asymilacja imigracji leży na linii interesów Brazylii i prędzej czy później będzie forsowana przez budzący się już zresztą nacjonalizm.

Podtrzymywanie kontaktu kulturalnego z Polską może ten proces poważnie opóźnić, a wyrażać się może i powinno w nasyceniu tutejszego terenu pracownikami społecznymi z kraju i słowem drukowaniem.

Jeżeli chodzi o widoki dalszej emigracji i zasilenie tutejszego żywiołu polskiego nowym dopływem, to nie jest to w zasadzie rzecz groźna dla nowoprzybywających emigrantów, i niema powodu traktować Brazylii przez tragiczny pryzmat «Pana Balcera» Konopnickiej.

Przeciwnie — kolonista polski, a zwłaszcza jego synowie mogą się tu czuć niezłe. Stwierdźmy następujące plusy:

klimat łagodny i nie sprowadzający żadnych zaburzeń aklimatyzacyjnych,

uprawa roli nietrudna, bo prymitywna, i poznać ją można, zwłaszcza z pomocą Polaków już tu osiadłych — łatwo,

nabycie ziemi na własność i utrzymanie się z niej w jakim takim bodaj dobrobycie możliwe zupełnie; kto chce

pracować — będzie miał zawsze chleb, bezrobotnych na wsi tu niema.

Oczywiście, że pierwsze pokolenie będzie tęsknić i narzekać na nowe otoczenie, ale zczasem pogodzi się, a już drugie pokolenie będzie się czuć całkiem dobrze i będzie zabierać dalsze szmaty ziemi, bo chłop nasz — trzeba to podkreślić — przedstawia pierwszorzędnny materiał osadniczy i kolonizatorski.

Musimy coprawda pogodzić się z faktem, że utrata tego elementu dla polskości jest jednak tylko kwestją czasu, choćby nawet większego. Ale skoro nie mamy własnych kolonii, a mamy znaczną ilość bezrobotnych, którzy są bądź co bądź fermentem społecznym, lepiej dać im możliwość życia w dobrobycie, niż utrzymywania ich kosztem kraju, który przecież jest «na dorobku».

Projektowana emigracja do stanu São Paulo jest tu uważana ogólnie za niewskazaną, być może jednak, że odgrywa tu rolę pewien konserwatyzm polski i obawa nowej dziedziny, jaką jest uprawa kawy. Że klimat i trudność tej uprawy nie są dla Polaka nie do przezwyciężenia — świadczy choćby obecność sporej gromadki polskich «kawiarzy» w stanie Espirito Santo, jeszcze bliższym równika, niż stan São Paulo.

Niebezpieczeństwo — jak się zdaje — leży gdzie indziej: emigranci do São Paulo są przeznaczeni na robotników najemnych na fazendach kawowych, następnie zaś, zrobiwszy oszczędności, mieliby teoretycznie sposobność kupna własnej ziemi i plantowania na niej kawy, której uprawę już poznali.

Otóż właśnie to przejście od roli najemników do roli posiadaczy wydaje się wątpliwe, zwłaszcza że zarobek robotnika na plantacji kawy jest wysoki tylko w razie urodzajnego roku i pomyślnych koniunktur przemysłowych; i jedno i drugie zaś może się załamać. Chyba, że projektowana pomoc T-wa Kolonizacyjnego byłaby bardzo wydatna.

Wreszcie trzeba wziąć pod uwagę i psychikę chłopą polskiego: o ile na swoim kawałku ziemi dokazać może cudów

energji, zawziętości i nawet pomysłowości, o tyle — jako najemnik — nie będzie pracował tak wydatnie, aby odłożyć poważniejsze sumy. Ponieważ zaś w interesie fazenderów nie jest pozbywanie się rąk roboczych, (o które starali się naprzód wśród Indjan, następnie wśród murzynów) — będą starali się wszelkimi sposobami nie dopuścić do uniezależnienia się robotników. Że zaś władza nie ma tutaj takiej egzekutywy, jak w Europie, i dla większości fazenderów najważniejszym paragrafem prawnym jest «Winchester 44» — rząd sanpaulitański nieraz nie będzie miał możliwości wyegzekwowania przyjętych zobowiązań. Sprawa zasilenia żywołu polskiego i stanu posiadania w Paranie drogą wtórnej emigracji zubożonych robotników kawowych z São Paulo wydaje się więc nieco problematyczna.

Niewielkie gospodarstwo rolniczo-hodowlane, które najbardziej odpowiada psychice naszego chłopu, łatwiej mogłoby znaleźć podatny dla siebie grunt w stanie Rio Grande do Sul, złożonym obecnie z dużych fazend hodowlanych, mającym klimat chłodniejszy, a rząd bardzo liberalny i dla Polaków życzliwy. Obecnie znajduje się tam kilka skupień polskich, a liczba Polaków, zamieszkujących ten stan, dochodzi do 30 tys.

Jeżeli chodzi o znaczenie ekonomiczne emigracji brazylijskiej dla państwa polskiego — to jest ono minimalne. Ekwiwalentu żadnego Rzplita stąd nie otrzymuje. Małe gospodarstwa rolnicze tutejszych kolonistów operują niewielkimi kapitałami i są w znacznej mierze samowystarczalne; o przyplynie więc oszczędności, z nich wyciągniętych, do kraju — nie może być mowy. Tutejszy handel polski również jest zbyt młody i słaby, aby mógł zapewnić Polsce jakieś zyski. Wreszcie reemigracja zubożonego elementu — nie ma także miejsca.

Jedynym do tej pory aktem pomocy państwu polskiemu ze strony wychodźstwa była t. z. 5%owa krótkoterminowa pożyczka wewnętrzna z 1920 r. podpisana tu w wysokości 406 tys. zł., zresztą dawno już zrównoważona przez metropolję sumami, asygnowanymi na cele kulturalne tutejszego wychodźstwa; została ona przerachowana na zupełnie dogodnych wa-

runkach, a jest nieraz w niestosowny nieco sposób wyeliminowana.

Oczywiście rząd polski czy społeczeństwo polskie może i do pewnego stopnia powinno podtrzymywać kulturę polską na tym terenie, z obowiązku czysto moralnego wspierania polskości, gdziekolwiekby ona się na świecie znajdowała. Z drugiej jednak strony wychodźstwo polskie w Brazylii winno zmienić swój jednostronny nieco stosunek do państwa polskiego, polegający przedewszystkiem na oczekiwaniu, a nie-raz domaganiu się pomocy i przenoszeniu punktu ciężkości z metropolji na emigrację, zwłaszcza że wychodźstwo nie zna takiego bezrobocia i biedy, jakie ma kraj.

Wówczas wymiana soków odbywać się będzie normalniej i ożywi główny organizm, oraz jego człon brazylijski.



FOT. J. O.

PAJMA NA STEPIE (RIO GRANDE)

VII. PRZYRODA

Pierre Denis, autor ciekawej książki «Le Brésil au XX-e siècle», mówi, że krajobraz brazylijski jest monotony, gdyż brak w nim ręki człowieka, a to człowiek właśnie tworzy krajobraz.

Wydawało mi się to dawniej herezją wobec przyrody, obecnie jednak muszę ze skrucą podpisać się całkowicie pod tem określeniem.

Jadąc drogą w Europie, widzi się to aleję wysadzaną topolami, to stary park, kryjący dwór czy pałac, to kilka brzoź koło krzyża, to zagajnik, to bór, to pola uprawne. Nic podobnego w Brazylii, a zwłaszcza w owych trzech stanach południowych, które tu specjalnie omawiam: zawsze jednakowy splot roślinności, nie pozwalającej odróżnić poszczególnych drzew, nie dający perspektywy. Różnica jedynie polega na wielkości zajmowanego obszaru. Poza tem kilka kilometrów od Kurytyby, w pobliżu jakiejś kolonii widzi się ten sam las, co w głębi stanu o setki kilometrów od siedzib ludzkich.

Widzi się szaro-zieloną, brudną w kolorze gęstwą, z której gdzie niegdzie wystrzela ciemniejszy w tonie pinjor. A gdy się wejdzie w las, nie widzi się prawie nic, prócz grubszych i cieńszych pni, poplątanych i poprzerastanych gałęzi, przeważnie nagich, bo wszystkie liście wyskoczyły do słońca, na wierzchołki drzew.

Ogromna ilość szarych pasorzytów nadaje barwę tej gęstwie i zniekształca linje i tak już pokręconych gałęzi, wskutek czego ma się wrażenie chorobliwości i kalectwa.

Dopiero przez zielono-żółte okulary, które się tu często nosi, jako ochronę od słońca, krajobraz nabiera intensywności i owej «egzotyczności», której się przecie szuka tu dość chciwie.

Nie spotka się jakiegoś drzewa-arystokraty, stojącego osobno, na polanie, szlachetnego w rysunku a imponującego wielkością. Do takiej selekcji potrzebna jest ręka ludzka, któraby usunęła pasorzytniczą hołotę, odseparowałaby to, co piękne, i pozwoliła obrzucić go wzrokiem od góry do dołu¹⁾.

Próbując sobie kiedyś zdać sprawę, dlaczego przyroda tutejsza nie robi estetycznego wrażenia (co zauważyłem ze zdziwieniem), tak streściłem jej braki, odczuwane przez Europejczyka: brak intensywnej barwy zielonej i brak różnorodności barw, (mało kwiatów), brak szumu tej muzyki przyrody: las stoi jak obojętny, niezrozumiały cudzoziemiec (drzewa się nie chwieją, bo są twarde i za gęste), brak śpiewu ptaków, brak zapachu, brak zmiany w postaci sezonów (co do czasu) i brak zmiany krajobrazu (w zależności od miejsca), brak perspektywy w roślinności, a wreszcie niemożność zbliżenia się do owej przyrody. Tak! — z przyrodą tą się walczy, depce ją, tnie, pali, niszczy — nie tak, jak w Europie, gdzie się z nią obcuje, już «oblaskawioną».

Niedawno jeden autor brazylijski zatytułował swoją książkę «Inferno verde» — zielone piekło. Znamienne!

Tu nie przyjdzie nikomu na myśl rozebrać się gdzieś nad strumieniem i wykapać się, lub bosko pobiegać po łące: wszędzie są kolące rośliny, wszędzie można spotkać niebezpieczeństwo jadowitych żmij, a przede wszystkim wszędzie są owady, owady, owady!

To jest straszna plaga owej «egzotyki», która zmusza człowieka do zwalczania przyrody, odsuwania jej od domu, skuwania ścianami miast i pancerzami asfaltowych bruków.

Brazylijanin, a zresztą każdy kolonista stara się odeprzeć iak najdalej las od swego domu. W jak największym obrębie

¹⁾ Jako cechy przyrody brazylijskiej możnaby wymienić: bogactwo ilościowe i jakościowe flory z przewagą roślin trujących, pasorzytniczych i opatrzonych kolcami; z fauny — bogactwo owadów, mniejsza już ilość ptaków, dużych zaś ssaków — proporcjonalnie bardzo mało.

niszczy i pali wszystko, i dopiero kiedy duży, pusty plac jest koło siedziby, «kiedy się niebo zobaczyło», kiedy pole stało między domem a lasem — oddycha. Nie zobaczy się tu koło domu czy szkoły jakiejś alei, grupy drzew, klombu — nie! To wszystko, co u nas jest przyjacielem, tu — jest wrogiem. Tu się ma jakąś odruchową nienawiść do przyrody, to też Brazylijanin niszczy ją prawie nałogowo. A z drugiej strony



FRAGMENT OGRODU BOTANICZNEGO Z RIO DE JANEIRO

przyroda, jakby przez zemstę, okupuje opuszczone szalasy, wsie, a często — jak w starych jezuickich siedzibach — całe miasta.

W ruinach pięknego kościoła w St. Miguel (Rio Grande do Sul) widziałem całe duże drzewa, rozsadzające głązy, wydźwignięte przez braciszków i Indian.

Las — zajmujący jeszcze tak znaczne przestrzenie w Brazylii i będący niejako jej główną atrakcją egzotyczną — przedstawia istotnie ciekawe zjawisko, zwłaszcza dla przyrodnika.

Szkicując tu tylko zlekka kontury zjawisk, ograniczyć się muszę do przedstawienia zasadniczego podziału na dwa typy: las nadbrzeżny i przypominający go nieco nadrzeczny, oraz las wewnętrzny, las interjoru.

Ciekawszym bezsprzecznie i bogatszym w wartościowe drzewa jest pierwszy. Charakterystyczną jego cechą jest walka o wydostanie się ponad płataninę pasorzytów (których procent jest olbrzymi), skąd pochodzi ogromna wysokopienność drzew (czego zresztą nie dostrzega się w gmatwaninie) i szara nagość pni, przy bujnej koronie. To też owoce spadają z dużej wysokości, a ponieważ często są dość ciężkie — samym swym ciężarem zarywają się w ziemię. Nawet owoc pinjora, który rośnie raczej w lesie wewnętrznym, dochodzi do 2 kg., to też uderzenie takiej szyszki w głowę nie mogłoby się obyć bez jakiegoś szwanku. (Zdarzyło się to podobno któremuś z polskich podróżników).

Ponieważ teren, porośnięty lasem, zazwyczaj jest silnie pagórkowaty i poprzecinany licznymi strumieniami o dość głębokiem korycie, chodzenie po lesie jest niezmiernie utrudnione, nie mówiąc już o tem, że śliskość podłoża (gnijące liście) i gęstość poszycia, ustępująca tylko przed «fakonem», potęguje jeszcze trudność tej sztuki.

Dość częstym podszyciem jest trzcina «takuara», podobna do bambusu¹⁾. Takuara jest twarda, ale poddająca się dobrze cięciom «fakonu» (jest bardziej typowa dla lasu nadrzecznego), gorsza jest znacznie (lubiana przez konie) «putinga», trzcina cienka i rosnąca gęsto, która pod żelazem ustępuje jak poduszka. Bardzo złośliwa jest «caraguata», podobna nieco do agawy i posiadająca niesłychaną ilość kolców — «żgajów», jak mówią nasi osadnicy. Poza tem na poszycie składa się niezliczona ilość gatunków krzewów i chwastów, których nie znam nazwy.

Las nadrzeczny posiada twardsze drzewa i jest uważany za lepszy grunt do uprawy od «siwego» lasu płaskowyży, który zazwyczaj zaleca się tylko herwą.

Z ciekawszych drzew lasu twardego wymienić warto na-

¹⁾ Kwitnie ona co 27 lat i następnie więdnie. Łączy się to w jakiś sposób z gremjalną emigracją myszy i szczurów, przebywających w takuarze, które robią «exodus» na kolonje i stają się prosto plagą. W owych okresach więdnienia, takuara jest bardzo łatwopalna, to też zdarzają się często jej pożary.

stepujące: Guavirovera z jagodami pachnącemi kamforą, Setecapote (siedem kapot), biorąca swą nazwę od licznych cienkich kor, Arasa z gładką korą i jadalnymi jagodami, Sapopema — nieraz dochodząca do ogromnych wielkości, Gabriuva — dająca niezmiernie twarde drzewo, używana na cienkie szprychy do kół, Jaboticaba, również z jagodami. Piękne w kształcie i kolorze drzewiaste paprocie, nasuwające myśl o jakimś krajobrazie z dawnych epok geologicznych (z pnia paproci «caxim» lub «axaxim» wyrabiają piękne wazoniki), Samambaia prosta, niska i czerwona we środku, Jacaranda, uważana za drzewo święte (pau santo-palisander), zdarzająca się zresztą bardziej na północy, Ipé — jedno z najtwardszych drzew brazylijskich, pięknie kwitnące żółtymi kwiatkami (niezniszczalne w wodzie). Timbauva — lekka i mocna, używana na łodzie dłubane («canoa»), Tarumá — mogąca długo leżeć w ziemi, Corvonca (inaczej «Olho de pata»), której twarde, czarno-czerwone owocki używane są jako ozdoby (spinki, kolczyki i t. p.), Suhrachuba, rosnąca tylko od strony słonecznej, co uwydatnia się na jej słojach (bliżej morza spotykana), Pau da Chuva — «Drzewo deszczowe» które, zacięte, «płacze» i Pau da Sangue — «Drzewo krwawiące», (też bliżej morza, dość rzadkie), «Pinta bona», przypominająca heban, i wreszcie moc lian, czyli t. zw. Cips. Jest więc Cipó d'Agua, które — umiejętnie podcięte — daje do litra wody, Cipó Milhome, mające podniecać i dawać siłę «tysiąca ludzi», Cipó Carapiá — liana koleczasta, Filodendron, którego wyciąg ma pozbawiać człowieka grzesznych pociągów (nie jestem pewny, czy moi informatorzy stwierdzili to dokładnie), Fuksja w trzech gatunkach, z kwiatami różowymi, niebieskimi i czerwonymi, a wreszcie — ale to już bardziej na północ — cała moc lian, dających truciznę lub narkotyki, jak: Erythroxylon Coca — dająca kokainę, Strychnos toxifera — kurare, Paulinia pinnata — sokiem której odurzają ryby (podobnie używają korzenia drzewa Mata-peixe), Cipó suma (Anchieta salutaris) — podobno pomocne na choroby weneryczne i wreszcie — najciekawsze może — Jage i Pejote, których ekstrakt ma sprowadzać objawy telepatji.

Potwierdzenie tego opowiadania znalazłem kiedyś w prasie, mianowicie jakiś uczony francuski, dr. Brancon, miał przekonać się o używaniu tego ekstraktu przez Indjan, zbadał go i nazwał «Telepatyną».

Ponieważ wiadomość ta była w prasie codziennej, niezawsze zbyt pedantycznej w podawaniu wiadomości naukowych, nie wiem, o ile jest to prawda. Las interjorowy, zwany często Caiva lub Fashinal, posiada jako typowe drzewa: Pinjor, Herwę, Imbuję, Bracatingę i niektóre gatunki Caneli.

Jest on monotonijszy od poprzedniego; rzadko spotyka się tu jasne dłonie paproci, ożywiające smutny koloryt brazylijskiej zieleni, mniej fantastycznych lian, nie posiada barwnych pasorzytów — storczyków, natomiast przynębia nieustanną sylwetką pinjora.

Pinjor, który jest niejako herbowem drzewem Parany i St. Cathariny — podoba się naprzód przejeźdnemu i nasuwa mu porównania z limbą lub jakimiś japońskimi sosnami. Interesuje swą ciemną sylwetką, przypominającą kontur chińskiej pagody. Ale nad podziw szybko przejeżdża się i zaczyna gniewać i nudzić. Wtedy przychodzą znowu na myśl uragilne porównania z koperkiem i szczotką do lampy, i zaczyna się tęsknić do soczystej zieleni szerokich liści bananu i do pierzastych palm, które wydają się w Europie prawie symbolem egzotyki, a których w południowych stanach jest tak mało.

W masie, np. krajobrazie jakiejś obszernej doliny, pinjor robi wrażenie płyt olbrzymich schodów lub tarasów z brudnej skały.



FOT. KIETLIŃSKI
GĄSIENICA PRZYBIERAJĄCA WYGLĄD LIŚCIA

Jako drzewo użytkowe jednak pinjor ma duże zastosowanie, gdyż jest względnie najtańszy i najłatwiejszy do obróbki. W osiedlach nowych, w głębi lasów, domy buduje się prawie wyłącznie z pinjora, ponieważ daje on deski przez lupanie klinami.

Owoc pinjora jest bardzo poszukiwany przez Indian, cabocłów i tatetú (dzikie świnię). Indianie do tego stopnia poważne miejsce przyznają mu w swoim menu, że w zimie, porze jego dojrzewania (kwiecień—czerwiec), ruszają ławą w las na jego poszukiwanie.

Wreszcie z sęka pinjora, który ma piękny, czerwony przekrój, wyrabiają ładne drobiazgi.

Nazwy, których Brazylijanie używają w stosunku do lasu, są liczne, i nieraz trudno wyczuć różnicę tych odcieni. Jest więc «floresta», «selva», «matto virgem» lub «matto brutto», co możnaby oddać przez polskie «puszcza»; jest dalej «sertão», co odpowiadałoby naszemu «bór», dalej: «caira» (właściwie — pastwisko w lesie), «fachinal» — lasek na kampie (stepie), «herval» — las herwowy (zwykle z pinjorami), «copoeira» — kilkuletnie zarośla, wyrosłe na miejscu ściętego i spalonego lasu, a wreszcie «vargem» — zarośla na błotach, nad brzegami rzek.

Z ciekawych drzew, rosnących w «fachinalu» lub nawet gdzieś koło domu, warto wymienić drzewo «Cambara» uważane przez cabocli za święte, i Pau de Bugre (czyli Coração de Negro), które wywołuje pryszczę, swędzenie i puchnięcie poprostu przez zbliżanie się do niego. Zresztą wiele jest drzew, których sok wywołuje zadrażnienia skórne np. Trigneira, a nawet niewinna Bracatinga, w okresie choroby, której co kilka lat ulega, wytwarza jakiś trujący sok (trujący jest nawet sok świeżej mandjoki).

Ciekawe jest ziele «Herva de lagarto» (Adenoropium opiferum), którem rzekomo leczy się jaszczur po walce ze żmiją i które ma pomagać w podobny sposób człowiekowi. Herva da S. Maria ma leczyć tak tu rozpowszechnioną «anchylostomę».

Wiele zresztą roślin tutejszych uważane jest za lecznicze, wobec jednak słabo rozwiniętej nauki a popularnego

bardzo znachorstwa — trudno nie odnosić się do tego z nieufnością.

Między innemi twierdzą tu, że pewne drzewo, zwane przez Indian «Chaulmoogra», ma być niezawodnem lekarstwem na trąd, równie zresztą skutecznem, jak sprowadzona obecnie z Chin «Sapucaina».

Tak tedy z jednej strony staje zwarty, mało jeszcze znany las, a z drugiej — osadnik. Rozpoczyna się walka, której awangardą jest w części cabocło a w części miernik.

Cabocło osiada tu i ówdzie w lesie, połączony ze światem często tylko małą «picadą», trochę sadzi, trochę poluje i tak tam jakoś bieduje. Często nie wie nawet na pewno, czy ziemia jest jego, ponieważ t. zw. «tytuł definitywny» własności wymaga wielu zachodów z władzą, czego cabocłowi nie chce się robić. Oczywiście na tle tych nieuregulowanych stosunków jest moc nadużyć. Ciekawem prawem, typowo brazylijskiem, jest t. zw. «bemfeitoria», to jest prawo pierwokupu, uzyskane przez włożenie pracy w ziemię «niczyją», t. j. nieprywatną, rządową. Prawo to można nawet odprzedać łącznie z zagrodą, nie na swojej ziemi postawioną.

Często, wskutek wzrostu rodziny, współwłaścicieli jest wielu, i wówczas każdy mówi o wspólnej własności, jako o swojej.

Zjawia się jednak w głąb lasu, zamieszkanego dotychczas tylko przez cabocła — miernik, zakontraktowany przez kolonizatora, a więc rząd, towarzystwo czy osobę prywatną.

Mówiąc nawiasem, wśród nich sporo było Polaków i cieszyli się uznaniem, jako ludzie zdolni i uczciwi.

Miernik angażuje «turmę» t. j. swój oddział robotników, około 12 ludzi. (Znamienne, że na określenie robotnika używa się w Brazylii wyrażenia «camarada» t. j. kolega, towarzysz.)

Ładują więc na muły narzędzia i żywność — głównie «farofę» — i jadą w las, dopóki da się przejechać. Wreszcie zatrzymują się i zakładają główny obóz, do którego perjo-dycznie dowożona jest żywność. Budują jakie takie «ransza» i z tej bazy wychodzą na pomiary, starając się wrócić za dnia do obozu, a trzeba pamiętać, że noc zapada tu prawie natychmiast po zachodzie słońca.

Mierząc, wycinają szeroką na metr mniej więcej «picadę», znaczą po obu stronach drzewa nacięciami, a co pewną odległość wbijają słupki. Praca podzielona jest w ten sposób, że naprzód idzie 2—3 «fojserów», tnących poszycie lasu, potem człowiek z tyczkami lub t. zw. «mirą» (deska do pomiarów), za nim idzie miernik z instrumentem, potem «machadeiro» (machado — siekiera), ścinający mniejsze drzewka i znaczący po obu stronach «picady», a wreszcie ludzie z łańcuchem.

Praca miernika jest ciężka; teren naogół jest niewdzięczny, górzysty, poprzecinany strumieniami, wszelkie «bicha» starają się zatruć życie, często deszcz złapie, często trzeba nocować wprost pod drzewem, a często i głód da się we znaki lub od jednostajnego niestrawnego pożywienia zachoruje się poważnie. A jeszcze jak linje pomiaru nie chcą się «zejść» — to już prawdziwa pasja człowieka ogarnia.

Pomiary kolonji rozplanowywane są zazwyczaj zgóry w ten sposób, że wyznaczone zostaje «sede» t. j. centrum kolonji i siedziba władz, przeznaczona w przyszłości na miasteczko, a od «sede» rozchodzą się «linje» — osobne wsie, z których często któraś zakasować potrafi sede.

Na «linjach» odmierzane są poszczególne «loty» czyli «kolonje», mające po 25 ha.

Pozostaje jeszcze tylko nazwać to pustkowicie (no i sprowadzić ludzi), żeby powstała nowa kolonja.

Nazwy w Brazylii nadawane są zwykle z pewnym patosem i albo zawierają pochwałę danego miejsca, albo noszą nazwisko jakiegoś wielkiego człowieka. Zdarzają się też i nazwy wzięte z tradycji indyjskiej.

Do pierwszej kategorii należą takie nazwy, jak Bom Sucesso, Bom Retiro, Bello Horizonte, Rio Bonito i t. p.

Do drugiej: Marcelino Ramos, Benjamin Constante, Tomas Coelho, Affonso Chaves i inne.

Do trzeciej takie, jak Tijucas, Jaraguá, Itapocú, Guarany-Mirim i t. p.

Wreszcie zjawiają się koloniści, którzy wybierają loty, a jeżeli są to już wtórni koloniści, emigranci ze starych ko-

lonij, gdzie zrobiło im się za ciasno, to doskonale poznają się na wartości ziemi i to nie po niej samej, ale po gatunkach drzew, na niej rosnących. Tak więc np. tam, gdzie rośnie tylko Bracatinga (rodzaj wysmukłej akacji tutejszej) i takuara — ziemia na sadzenie się nie nadaje; również tam, gdzie pinjor przeważa — liczyć można raczej tylko na herwę. Tam zaś, gdzie jest las twardy — uprawa roli uda się dobrze.

Zabierają się więc koloniści do pracy. Podczas kolonizacji rządowej rząd budował im sam małe domeczki, poza tem dawał narzędzia, nasiona, a nawet żywił jakiś czas. Obecni koloniści wtórni sami robią wszystko i na początek zjeżdżają bez rodzin i bez rzeczy.

Wybrawszy miejsce na dom, «fojsują» dokoła, ścinają większe drzewa i zabierają się do łupania klinami pinjorów na deski, a nawet jakie takie gonty.

Zwykle naprzód budują obszerną izbę kurną, służącą za kuchnię i jadalnię, z drugą izdebką mniejszą — sypialnią.

Potem dopiero — tuż obok — budują chatę mieszkalną. W kuchni robi się podwyższenie z ziemi, obłożonej deskami, gdzie pali się prawie ciągle ogień, a nad nim wisi olbrzymi kocioł, zawieszony na łańcuchu.

Widok to ciekawy, przypominający jakieś sagi skandynawskie i mający dużo uroku dla przyjeżdżającego z miast człowieka.

Szyb oczywiście niema — same tylko okienice, meble proste, ale początek już jest.

Rozpoczyna się teraz dalsza walka z lasem i to «ogniem i żelazem». System uprawy z pomocą ognia jest bardzo cha-



FOT. Z. BOJARSKI

ŻYWY KOLIBER W RĘCE CZŁOWIEKA

rakterystyczny dla prymitywnej gospodarki, wszak i nasz wyraz «ugór» — powstać musiał od «gorzeć».

W ten sposób las ustępuje coraz dalej przed człowiekiem tak, że rząd brazylijski przystąpił do jego ochrony i ogłosił szereg zarządzeń, ograniczających wyrąb.

Na miejscu lasu zaś powstaje coraz więcej równych i — przyznajmy to — nudnych pól kukurydzy.

Mylą się jednak ci, którzy wyobrażają sobie — że pali się cały, żywy las. Przeciwnie — las często zatrzymuje ogień, szerzący się naprzykład po stepie. Aby ogień mógł las nadgryźć, postępuje się w następujący sposób: naprzód zapomocą «fojsy» (jakby kosy na sztorc postawionej) tnie się krzaki i całe podszycie lasu czyli «rosuje» się, następnie zostawia się to rumowisko, ową «rosę», aby wyschła, i wówczas dopiero się podpala. Ogień pożera to podłoże, ale dużych drzew nie obala, nadgryza je tylko nieco, aż dopiero po kilku takich hekatombach — podcina ich życie. Kilka większych drzew ścina się odrazu, aby ułatwić dostęp słońcu i deszczowi.

Ziemię, pokrytą popiołem, ledwie po wierzchu trochę się poskrobie motyką i między opalonemi pniakami, oraz pozostałymi drzewami sadzi się w małych dołkach po cztery — pięć ziarn kukurydzy i fizonu (feijão — czarna fasola).

Kukurydżę («milję»), fizon i dynie sadzi się zwykle na tem samem polu, jedno między rzędami drugiego. Poza tem uprawia się jeszcze sporo roślin bulwiastych, a więc mandjokę, bataty słodkie, taje i ajpy z nacią wyższą od człowieka i «jamy» z ogromnemi liśćmi. Polak oczywiście zasieje i trochę żyta na chleb dla siebie.

Kalendarzyk rolniczy w zarysie wyglądałby następująco:

Styczeń — zbiór żyta.

Luty — zbiór fizonu i batatów.

Marzec — idem.

Kwiecień — rosowanie kapoeiry pod żyto.

Maj — palenie «rosy», orka (gdzie to możliwe) i siew.

Czerwiec — zbiór dyni i kukurydzy; siew żyta.

Lipiec — rosuje się i ścina lasy.

Sierpień — siew tatarki, zbiór ajp.

Wrzesień, październik — sadzi się kukurydżę (pierwsza zawsze po lesie) i dynię.

Listopad, grudzień — zaczyna się zbiór żyta.

Oczywiście, że dość fantastyczny klimat tutejszy utrudnia i nieraz zmienia zupełnie ten prymitywny schemat, z drugiej zaś strony rolnik tutejszy ma większą niejako swobodę w kolejności i czasie swych prac.

Trzeba tu jeszcze zaznaczyć, że rosowanie, tam zwłaszcza, gdzie jest gęsta putinga, jest, dla nowicjusza zwłaszcza, dość ciężką pracą, a ścinanie twardych i powikłanych drzew tutejszych — jeszcze większą. Są przecież drzewa mało co miększe od żelaza.

Okres obcinania gałęzek «hervy» t. z. «safra» ma miejsce w zimie (t. j. od maja do października), aby na wiosnę puściła nowe pędy. Tnie się «faconem» zawsze z dołu do góry, aby nie zacinać drzewka. Obcięte gałązki przeciąga się nad ogniskiem czyli «sapecuje»; następnie układa w specjalnym domku («carijo») na ruszcie i suszy równym, wolnym ogniem. Kiedy wyschnie — młóci się zakrzywionemi kijami albo w mniej lub więcej prymitywnym młynie.

W tej formie może być już użyta na «szimaron» w postaci silnej, zielonej esencji, którą się pije na gorąco z małej tytkwy, przez rurkę. Na lepsze gatunki wymaga ona dłuższego przygotowania.

Warto wspomnieć o specjalnym — zdaje się brazylijskim — wynalazku: stepie wodnej (stępa — «monjola»). Konstrukcja jej jest bardzo ciekawa i prosta: duży kłoc opatrzone z jednego końca tłuczkiem, trafiającym w wydrążenie pniaka, z drugiej w rodzaju łyżki drewnianej, do której leje się woda z drewnianego korytka, sięgającego do strumienia. Kiedy łyżka się napełni, przeważa kłoc i podnosi tłuczek do góry, ale zaraz w następnej chwili woda się wylewa i przeważa tłuczek, który też spada.

Oczywiście praca ta zbyt pośpiesznie nie odbywa się, ale... paciencja! — Jesteśmy w Brazylii.

Step brazylijski jest silnie falisty, nagi, o szaro-żółtej trawie, mającej niewielką wartość pastewną. Ciągnie się on



JAGUAR, NAJWIĘKSZE ZWIERZĘ DRAPIEŻNE BRAZYLII. NAZYWAJĄ GO TAM «ONÇA», «ONÇA PINTADA» LUB — POPULARNIE — «TIGRE»

całymi pasmami w Paranie, znaczne również jego połacie spotyka się w Rio Grande, oraz na samej północy (stan Ceará). Koloniści niechętnie osiedlają się na owym «campie».

Co zachwyca nowo-przyjezdnego, to kolor ziemi: przyzwyczajony do tego, że droga «powinna» być szara — zdumiony jest jej czerwonym, «fraise», wiśniowym i innymi podobnymi kolorami. Ziemia ta przypomina wybitnie kolorem i przekrojem krem poziomkowy.

Niestety, jeżeli chodzi o odżywczą wartość tego rozmytego piaskowca, to ma on niesłychanie mało wapna, co

się odbija na składzie paszy, jarzyn a w konsekwencji — mięsa i ciała ludzkiego. Brak też fosforu i potasu.

Ziemia ta ma pewne cechy gliny (mimo, że gliną nie jest): jest rozpaczliwie lepka i śliska, wskutek czego kilka dni deszczu przerywa zupełnie komunikację kołową; po wyschnięciu zaś tworzy twardą grudę, którą wozy rozbijają dopiero po kilku dniach suszy.

Wiele rzeczy w Paranie przypomina nasze podgórze od Krakowa do samego Zakopanego.

Podobieństwo zaczyna się od znacznej wysokości nad poziomem morza (Kurytyba np. przeszło 800 m.), rozrzedzeniem powietrza i dużą ilością opadów. Podobne przyczyny wywołały podobne skutki i to nieraz tak dalece, że tutejsze «carossy» przypominają zupełnie kryte wózki góralskie. Zwiększa jeszcze podobieństwo bełkot dzwonek, (które noszą tu konie, nie owce, ale w tym samym celu: dla łatwiejszego

znalezienia zaginionej sztuki, jak również dla ostrzegania się przy spotkaniu w ciasnych drogach).

Klimat południa Brazylii jest niezmiernie kapryśny, można go określić w ten sposób: silne zmiany w ciągu dnia i tygodnia, mała różnica w obrębie roku.

Teoretycznie od listopada do kwietnia włącznie jest zima t. zn. pora chłodnych deszczów, od maja zaś do listopada — lato dość gorące, z krótkimi deszczami ulewnymi.

Jest to jednak tylko teoria, oto np. w roku bieżącym (1928-ym) przez luty, marzec i kwiecień prawie bez przerwy padał deszcz i nie było widać prawie słońca.

Opady wogóle są bardzo obfite, wskutek czego w powietrzu panuje taka wilgoć, że skóra jest stale zapleśniała, żelazo zardzewiało, klisze się zlepiają, a materiały zachodzą plamami.

Jak nieregularny jest tu klimat, widać z pewnego objawu charakterystycznego dla opadów, mianowicie często deszcz pada z jednej strony rzeki, a z drugiej nie, lub pada w miejscowości położonej nieco wyżej nad poziomem morza, a o 2—3 klm. jest sucho. Ciekawy ten objaw obserwowałem w Rio Vermelho (St. Catharina), gdzie słyszałem i widziałem deszcz, stojąc spokojnie i sucho pod gołym niebem.

Temperatura waha się mniej więcej między naszą wczesną wiosną, poprzez najgorętsze dni naszego lata (lub nieco więcej) — do późnych dni jesiennych. Naogół klimat jest raczej przyjemny: upały nie są nie do wytrzymania, a chłody nie są zbyt silne. Zima jest przykra głównie dlatego, że domy tutejsze nie są wcale przystosowane do ochrony przed chłodem: pieców niema zupełnie, a wszystkie drzwi i okna są nieszczelne.

Różnica temperatury rannej, południowej i wieczornej jest tak duża, że poprostu trzeba wozic ze sobą dwa kompletne ubrania: zupełnie letnie i jesiennie. Ta zmienność jest przyczyną częstych zaziębień.

Natomiast w obrębie roku — jak powiedzieliśmy — trudno zauważyć odrębne sezony: często w t. z. zimie są dni piękne i słoneczne, a latem całe tygodnie chmurne i chłodne.

Aklimatyzacji w jakimś wyraźnym stopniu nie przechodzi się właściwie, jedynie może zmiana kuchni odbija się nieco na funkcjach trawiennych. Zwłaszcza, że kuchnia tu zupełnie nie jest dostosowana do klimatu: je się bardzo dużo mięsa, a minimalną ilość jarzyn i nabiału, poprostu dlatego, że ich brak. Często nowoprzybyli szkodzą sobie piciem zimnych napojów (z lodem) lub surowej wody, co jest tutaj specjalnie niebezpieczne.

Jeżeli chodzi o stan sanitarny ludności tutejszej, to jest naogół opłakany, i obawa zarażenia się jedną z licznych chorób — do wyboru — zatruwa życie przybyszom, tem bardziej, że, jak to zwykle bywa, stare «wirusy» perfidnie prowadzą na te tematy rozmowę.

— Czy trąd jest rzeczywiście taki częsty w Paranie? — pyta przy obiedzie jeden «wirus» drugiego, jeszcze starszego, uchodzącego za autorytet.

— E, skądże?... Najczęściej spotyka się w uboższych sferach. Tacy tam dostawcy owoców, warzyw... — mówi chytrze «autorytet». A «żółtodziobowi» banan więźnie w gardle.

Trąd istotnie panuje w całej Brazylii; w Paranie np. liczba trędowatych wynosi około 800 (całej ludności 800 tys.). Ilość tych nieszczęsnych żywych trupów rośnie ciągle i to w postępie geometrycznym.

Istnieją coprawda specjalne sanatoria, ale spełniają one raczej rolę izolacyjną niż leczniczą: pewnego lekarstwa na trąd niema.

Trędowaci zresztą unikają sanatoriów i skrywają swoją chorobę, ponieważ zaś pojęcia o higienie prawie nie egzystują, a przy każdym spotkaniu przygodnem następuje ściskanie rąk, poza tem jest zwyczaj picia wódki z jednej szklanki, a «hervy» przez jedną rurkę z tego samego naczynia — pewne szanse zarażenia się istotnie są.

Syfilis nazywany jest tu czasem chorobą «narodową» i, jak mnie zapewniał pewien zupełnie poważny lekarz, procent zarażonych dochodzi do 85-ciu. To też Europejczyk rzadko zdecyduje się golić u fryzjera, zwłaszcza wobec traktowania przez nich dezynfekcji, jako zbytecznego luksusu.

Powszechność tej choroby przyczynić się miała — według niektórych — do wywołania tego braku energii i wytrwałości, który wykazują Brazylijanie. Inni przypisują to chorobie «ankilostomy» zwanej także «amarellão», inni wreszcie destrukcyjnemu dopływowi krwi murzyńskiej.

Faktem jest, że owa «amarellão» (także «opilação») panuje powszechnie i jest przeraźliwą chorobą. Według brazylijskich źródeł na 10 osób — 7—8 jest na nią chorych. Wywołana jest ona przez specjalnego pasorzyta t. z. «tęgoryjca dwunastnicy»; dostaje się on do ciała dziwną drogą: zazwyczaj przez pory skóry bosych nóg, następnie — z krwią dostaje się do płuc, potem do serca a wreszcie do kiszek «dwunastnicy», gdzie dokonywa swego niszczycielskiego dzieła. Nośiciel takiego «bicho» rozpowszechnia go zarazem przez swój kał.

Choroba ta objawia się w zupełnym upadku sił, apatii, senności i wyczerpaniu. Często odbija się na nerwach, prowadząc do samobójstwa. Na szczęście istnieje lekarstwo na tę piekielną chorobę i władze usilnie je propagują. Dopóki jednak nie nastąpi zrozumienie konieczności zachowywania przepisów higienicznych — trudno liczyć na stałą poprawę. Głównymi przyczynami zachorzenia są: chodzenie boso, picie surowej wody i brak odpowiednich ustępów.

Poza temi chorobami — w niektórych okolicach i w pewnych okresach zjawia się malarja i febra, przenoszone, jak wiadomo, przez moskity; tyfus brzuszny i dysenterja zjawiają się sporadycznie, co roku bywa zwykle kilka wypadków dżumy, która jednak się nie rozszerza jakoś, wreszcie jest nieco gruźlicy.

Choroby te dziesiątkują głównie Brazylijan z prowincji, owych «kabokłów», zapewne dlatego, że znajdują podłoże w źle odżywianym organizmie, już koloniści Niemcy i Polacy wyglądają o wiele zdrowiej, a w miastach stan zdrowotny przedstawia się zupełnie znośnie (nb. poza syfilisem).

Bardzo przykłą, choć niebezpieczną plagą jest pchła ziemna, t. z. «bicho da pé» (t. j. «robak nogi»). Jest to owad nieco mniejszy od naszej pchły, który wkręca się pod paznog-

cie nóg i składa tam jajka. Wylęganie się larw może przypisać o długotrwałe i niesłychanie dotkliwe ropienia. Można jednak temu zapobiec, nie chodząc boso, myjąc codziennie nogi w gorącej wodzie i wreszcie oglądając starannie palce, co pozwala dojrzeć i wyjąć owo «bicho», zanim zdąży złożyć jajka. Wreszcie i po złożeniu można się zwolnić od dalszych skutków, wyjmując igłą kulkę z jajkami i dezynfekując ranę.

Moskity — o ile w okolicy nie panuje malarja — nie są niebezpieczne, ani zbyt dotkliwe, na niektóre osoby nawet wogóle nie robią wrażenia. Osoby bardziej wrażliwe dostają dość silnie swędzących bąbli, które ani alkoholem, ani amoniakiem, ani jodyną wyleczyć się nie dają. Są jednak i na moskity sposoby: rozpylanie «Flitu» i — moskiterja.

Z innych przykrych owadów można wspomnieć o «bernach» — muchach, które składają jaja pod skórą zwierzętom, a czasem i ludziom w postaci dużego, jak groch, wrzodu, (jakby nasz «giez») i o drobnych muszkach, które dostają się do oczu, uszu i dróg oddechowych.

Te ostatnie grożą jednak zwykle tylko w pewnych okolicach i w pewnych porach roku, mianowicie latem, nad brzegami rzek (nazywają je «Pjum»).

Istnieje też bardzo nieprzyjemny pluskwiak lotny «barbeiro», który lata zupełnie cicho, a ciąć potrafi nawet przez watowaną kołdrę.

Ukąszenie jego wywołuje wielki i silnie swędzący bąbel, a częste ukąszenia — chorobę wola.

Kiedy wymienimy jeszcze szarańczę, która co kilka lat pustoszy pola, dwa gatunki kleszcza leśnego oraz miniaturowego kleszcza «migui», skorpjona, pajaka ptasznika (ukąszenie może być śmiertelne), «pierwowiję» — owady, wyglądające jak robaki, których ukąszenie jest b. bolesne, złośliwe mrówki, napadające nieraz osiedla całymi stadami, bardzo boleśnie tnące osy, zagryzające nieraz na śmierć konie — trzmielę, które kąsa kilka razy, raz po raz i sprawiają ból podobny do ukąszenia żmii i wreszcie robaka «Filaria medinensis», długości kilku stóp nieraz, który lokuje się w mięśniach — to zdaje się, że wyczerpiemy zgrubsza nasze «menu».

Zebrane razem wygląda to «okropnie strasznie», ale w praktyce spotkanie się z tymi miłymi przedstawicielami egzotyki nie jest tak częste, ani nieuchronne.

To też klimat i warunki przyrodnicze południa Brazylii są raczej przyjemne, a przede wszystkim cieszy słońce, którego jest tak znacznie więcej niż u nas. Szkoda, że słońce to nie daje ciekawych efektów fotograficznych, świecąc stale «zenitowo».

Daje jednak miłe objawy psychiczne w postaci optymizmu i pewnej leniwej filozoficzności. (U niektórych — chorobliwego podniecenia «politycznego»).



FOT. FRANK

TAPIR AMERYKAŃSKI, ZWANY W BRAZYLII — «ANTA»

VIII. POLOWANIE. ZWIERZOSTAN.

Fauna Brazylii charakteryzuje się wielką liczebnością gatunków, natomiast niewielką (w stosunku do obszaru) ilością okazów, oraz małą ilością zwierząt silnych i niebezpiecznych.

I tu znowu musi się rozczarować ten, kto — na podstawie bogatej wyobraźni lub sensacyjnej literatury — wyrobił sobie pojęcie o Brazylii, jako o jednolitej, dziewiczej puszczy z «zatrzęsieniem» zwierzyny.

Zwierzyna jest tu rozmieszczona rzadko, a polowanie niepewne i drogie.

W numerze 3-im «Świata Parańskiego», czasopisma, które tu jakiś czas wychodziło, znajduje się artykuł w tej sprawie ks. R. Wierzejewskiego, przyrodnika, który badał te sprawy w Brazylii. Píše on:

«Stary to i znany błąd ludzki: wyobrażamy sobie, że dopiero tam daleko, gdzie nas niema, musi być naprawdę dobrze. Myśliwy z za oceanu, który z konieczności musi porzucić na kurapatwach, kaczkach i zajęcach, wyobraża sobie, że taki kraj, jak Brazylija, to istny raj dla strzelca. To coś nakształt owej krainy wiecznych a szczęśliwych łowów, jaką sobie po śmierci obiecywali niegdyś mężni wojownicy czerwonoskórzy. Bo czyż nie wszystkie warunki na to się składają: ciepło przez rok cały, wieczna zieloność, bory nietknięte, strumieni mnóstwo, a zaludnienie ubogie. Jakże się tam niema roić od wszelakiego zwierza?

Roi się też rzeczywiście, ale tylko w wyobraźni.

Mało kto o tem przekonać się może z doświadczenia, ale

komu los uśmiechnął się w tym względzie, szybko pozbywa się złudzeń i nabiera przekonania, że o zwierzynę w Brazylii nie tak łatwo.

Nie dziwnego; zwierzyna ma do rozporządzenia olbrzymie obszary ziemi, gąszcze, parowy, kryjówki i pastwiska bez liku, ma gdzie bujać swobodnie, może zmieniać miejsce pobytu według upodobania.

Wobec tego łowy w Brazylii są czemś wielce kapryśnem, powodzenie całkiem niepewne; niejednen po dziesięciodniowej wyprawie umyślnej, wracał z niczem do domu. Zaspokojenia pragnień myśliwy obiecywać sobie z góry nie może, idąc na polowanie. Dobry polów najczęściej bywa rzeczą przypadku.

Ktoby szukał zwierzyny drapieżnej, niebezpiecznej, tem bardziej jeszcze spodziewać się winien zawodu».

Opinię ks. Wierzejewskiego poświadcza Affonso Celso w książce «Porque me ufano de meu paiz» w rozdziale «A floresta virgem». Mówi on tam: «Cechuje jeszcze dziewiczy las brazylijski względny brak dzikich zwierząt. Jest on o wiele mniej niebezpieczny, niż w Indjach». To też dla czytelników nieco sensacyjnej lektury podróżniczej niezrozumiałe wyda się pytanie, które zadał mi dzielny myśliwy, Janek Kałużny, gdyśmy nocowali w lasach za Itayo (Tayo): «W Europie nie możnaby tak spokojnie nocować w lesie, co?» Coprawda była to konsekwencja wyczytanej przez niego w pismach wiadomości o rozmnożeniu się wilków w Polsce i Rosji, ale z drugiej strony niema w Brazylii zwierzęcia, któreby rzucało się na człowieka, a i z polowań jedynie niebezpieczne czasem jest polowanie na dzikie świny. Ów brak zwierząt wielkich i wogóle rzadkość zwierzyny w Brazylii potwierdza choćby w pierwszym rozdziale umieszczona opinia Fr. Dybowicza, zdanie Aleksego Kurcyusza, autora dobrej, a mało znanej książki o Brazylii, i innych poważnych autorów, np. Niemców, no i wreszcie twierdzenia starych Parańczyków-mierników, kupców ziemi i myśliwych, których opinię w tej sprawie sondowałem; pomijając już moje skromne zdanie.

Blisko kolonji nawet ptaków jest mało. Większe zaś polowanie może mieć miejsce jedynie na dalekiej północy i za-



NAJWIĘKSZY Z ISTNIEJĄCYCH GRYZONIÓW
T. Z. «CAPIWAR», ZWANY CZASEM «ŚWINIĄ
RZECZNĄ»

chodzie Parany (Apuarana, Candido de Abreu) oraz w St. Catharinie, w lasach za Tayo, o 4—5 dni drogi konnej od kolei. A i to — podkreślam — wynik jest zawsze niepewny i można chodzić kilka dni, nie literalnie nie spotykając. Wynik polowania przedewszystkiem prawie wyłącznie zależy od posiadania psów. Bez nich można nie tylko godzinami, ale całymi dniami błądzić po lasach i nie nie upolować.

I to jest zrozumiałe: przedzierając się przez krzaki, człowiek daje o sobie znać hałasem tak daleko,

że wystrasza zwierzynę, zwłaszcza gdy musi wycinać sobie drogę; następnie obszary, które ma do rozporządzenia zwierzyna, są olbrzymie, i gonić ją po nich niepodobna. Myśliwy musi czekać na «picadach» czy «careirach» — ścieżkach (zazwyczaj przy wodzie), dopóki mu psy zwierzyny nie nagonią, lub — znając las — może przedrzeć się naukos, kierując się głosem goniących psów.

A więc psy, znajomość terenu i znajomość zwyczajów zwierzyny są czynnikami najważniejszymi. Można by nawet zaryzykować zdanie, że celność strzału jest nawet mniej decydująca, gdyż strzela się zwykle do zwierza zatrzymanego i zajętego przez psy i na bardzo bliski dystans, inaczej — w gęstym lesie — zwierzyny się wogóle nie widzi. To też «cabocle» często polują... z pistoletami dwururkowymi t. z. «picapau».

Psy chowane są często całymi pomiotami i tworzą sforę, której przewodzi niejako jeden osobnik, często stara suka.

Mówiąc nawiasem, psy w tutejszym klimacie podlegają bardzo wielu chorobom oraz pasożytom i nie chowają się dobrze, zwykle też są pokaleczone.

Cenione są przez osadników bardzo, zwłaszcza duże, podobne do przegrywanych dogów oraz te, które istotnie obdarzone są dobrym węchem i wytrzymałością. Chowanie pod nogi przez zwierzynę uważane jest za największą wadę psa.

W polowaniu na antytapira zadaniem psów jest zapędzić zwierzynę do wody, gdzie zwykle pije i kąpie się. Myśliwy zasadza się albo w pobliżu tego punktu, albo na ścieżkach, któremi tapir chodzi, gdyż jest on dość konserwatywny. Tapiry są może częstsze, niż inne większe zwierzęta, ale polowanie na nie specjalnie wymaga znajomości terenu i posiadania psów. (Psy dobre na anty nazywają «anteiro»).

Ślad «anty» przypomina nieco ślad łosia, jednak racice są krótsze i bardziej strome, uzębienie zbliżone jest do końskiego, łeb przypomina bodaj owo słoniątko Kiplinga przed rozmową z krokodylem. Na strzał anta jest dość twarda, najlepszy strzał jest na komorę lub w łeb, ale nie z przodu, gdyż kość czołowa jest b. twarda. Głos, który wydaje anta, można by nazwać fukaniem. Psom broni się tylko w wodzie. Mięso jej jest b. smaczne, choć nieco włókniste. Skóra — poszukiwana. Można ją spotkać jednak tylko głęboko w lesie.

Widziałem raz skórę świeżo zabitej anty, podartą formalnie przez jaguara; widocznie skoczył jej na grzbiet, a ona dopóty gnała gęstwiną, dopóki go gdzieś drzewa i krzaki nie zmiotły z grzbietu.

Jaguar («onça» — po braz.) zapędzany jest zazwyczaj przez psy na drzewo, gdzie siedzi spokojnie, nie reagując na zbliżanie się myśliwego.

Ponieważ jednak jaguar niezmiernie długo i daleko ucieka przed psami, gonić go po niezupełnie świeżym śladzie nie opłaca się, gdyż polowanie takie trzeba liczyć na 3 dni nieraz a i to skutek niepewny. Chyba, że spotka go się wypadkiem lub ślad jest bezwzględnie świeży. Ślady jaguara częściej spotyka się, niż jego samego, mianowicie tropy na ziemi i ślady drapania pazurami drzew. Poza tem, że jest

rzadki, jaguar (jak zresztą i inna zwierzyna) nie trzyma się jednych okolic, lecz żyje życiem wędrownym, co jeszcze bardziej utrudnia upolowanie go.

Jak wyraźna jest rzadkość jaguara, świadczy fakt, że w nowych osadach polskich za Tayo, w «sercu sertonu» — mówiąc językiem mistrzów, gdzie są myśliwi, mający na sumieniu po setce tapirów, został zabity dotychczas jeden tylko jaguar i to spotkany wypadkiem.

Jeżeli jaguar nie jest specjalnie głodny, albo nie jest to samica, znajdująca się w pobliżu siedziby małych — polowanie to jest może mniej niebezpieczne, niżby się mogło здаwać. (Potwierdza to C. M. S. Rondon, który ogłosił wyniki swych urzędowych «misji» w specjalnym dziele.) W wypadkach wyżej wymienionych jednak jaguar rozdziera psy a czasami nawet zdecydować się zaatakować człowieka. Normalnie jednak ucieka zarówno przed psami, jak przed przygodnie spotkanym człowiekiem.

Ślad jego jest dość wyraźny i ma postać 3 wgłębień — od poduszek łapy.

Z innej zwierzyny wymienić jeszcze warto następujące gatunki:

Paca i capivara — gryzonie nadrzeczne. Capivarę nazywają «świnia rzeczna», istotnie przypomina ją szorstkością włosa i nawet ogólnym pokrojem. Żyją w jamach nad rzekami. Polować można z łodzi (przy nagance), lub brodząc — z psem. Mięso paki delikatne i tłuste, a capivary cuchnące i gumiate.

Porco do matto (większy) i tatetú — dzikie świny, trzymają się gromadami. Myśliwi tutejsi uważają porco do matto za najniebezpieczniejszą zwierzynę, ponieważ chodzi w stadach do kilkuset sztuk i otacza psa lub myśliwego półkolem, atakując stanowczo. Jedyne ratunek wówczas jest na drzewie lub pniaku.

Na kolonjach często są plagą, bo niszczą pola kukurydzy i trzeba dobrze pilnować ich, nieraz całe noce. Robią też na nie specjalne pułapki. «Tatetú» często chowają się do jam, z których się je wykurza. Mięso obu gatunków jest doskonałe, zwłaszcza w postaci «churasco» t. j. pieczeni z rożna, na ognisku.

Sarna przypomina naszą, jest jednak mniejsza. Nieraz zimą zapędza się bliżej siedzib, naogół jednak — gdy się specjalnie wybiera na polowanie — można nie spotkać jej tygodniami, podobnie zresztą, jak i inną zwierzynę.

Często, goniona przez psy, sarna wpada do zagród lub wprost na myśliwego, a gdy niespodzianie krzyknąć na nią — staje osłupiała. Młode mają jasne, b. ładne centki na skórze, z której też wyrabiają buciki damskie, torebki i t. p. Skórka jednak jest bardzo maleńka.

Z kotów istnieje, poza jaguarem, puma jasna i puma czarna, jaguatirika i gatto do matto — dzikie koty, nieco mniejsze od naszego rysia.

Czasem udaje się je oswoić i wówczas — rzecz dziwna — atakują przede wszystkim koty domowe.

Z drobniejszych zwierząt, jako zwierzynę traktuje się — w ostateczności — pancernika, którego mięso jest jadalne; mrówkojada — ze względu na skórę, szopa «kuati», który



FOT. K. LECH
MYŚLIWY, NA TLE SKÓR Z DZIKÓW T. Z. «PORCO DO MATTO». NA RĘKU
TRZYMA WARCHŁAKA, SCHWYTANEGO ŻYWCEM
Ziemia Św. Krzyża

dzielnie walczy z psami, i wydrę rzeczną «lontre» o bardzo ładnym futerku.

Zaznaczyć trzeba, że poza zwyczajnym mrówkojadem wielkości foksterjera jest mrówkojad wielkości sporego wyżła «Tamandua Bandeira», niezmiernie zresztą rzadki, który — broniąc się — staje na tylnych łapach i zadaje porządne ciosy pazurami przednich łap.

Z płazów zaliczyć można do zwierzyny — krokodyla, który trzyma się niektórych większych rzek i wybrzeża morskiego. Strzał na wodzie do krokodyla jest niesłychanie trudny, wobec tego, że widzi się nad wodą tylko trzy punkty: koniec pyska i wyniosłości koło oczu.

O żywotności tej bestji świadczy wypadek, który miał jeden z najstarszych Parańczyków: upolowawszy krokodyla, wyciągnął go z pomocą towarzysza na brzeg i chciał zdjąć z niego skórę. Ponieważ jednak cielsko, a zwłaszcza łapy były pokryte cuchnącym mułem, obmyli mu je starannie. Kiedy skończyli ten mały zabieg toaletowy, krokodyl się zerwał, machnął ogonem i znikł pod wodą. A miał w sobie dwie dobre kule z Winchestera.

Z ptactwa spotyka się czaple (niewiele), czerwonaki, jacú — indyki, papugi (większe okazy coraz trudniej spotkać). Jacú — jest twardy na strzał, mięso ma ciemne.

Ptactwa błotnego mimo ogromnych obszarów wodnych i błotnych — minimalne ilości. Jeden z moich znajomych zrobił raz łodzią przeszło 100 km. i nie miał do czego strzelić.

W porównaniu z chmarami ptactwa błotnego u nas panuje tu kompletna «bryndza». Podobnie zresztą jest z kuropatwami «perdizes».

Pozostałe zwierzęta rzadko są uważane za zdobycz godną myśliwego, chyba skusi się na nie przyrodnik dla samego poznania tej niesłychanej ilości gatunków.

Życie myśliwych warte jest poznania. Ich znajomość danego terenu, orjentacja i umiejętność chodzenia po lesie — są godne podziwu. W bylejakich chodakach na bosych nogach (t. zw. «szynelach»), a często nawet boso, z zawiniętymi powyżej kolan spodniami i zawiniętymi również rękami

wami koszuli, z nieodstępnym «fakiem» i często z rewolwerem tylko (strzały zwykle są bliskie) idą szybko, nie zwracając uwagi na kolące rośliny, a w potrzebie pobiegną ledwie widoczną «careirą» (ścieżką) anty.

Zwykle, wybierając się na polowanie, biorą pożywienie, składające się z grubej mąki (kaszy?) mandjokowej i suszonego mięsa — «szarki»; nazywa się to «farofa» lub «pasoha». Jedzenie to wytrzymuje długo i jest dość pożywne, ale nieprzyzwyczajony może się udławić suchą «fariną» (mąką). Oczywiście bierze się też ze sobą mieloną herwę na «szimaron» i naczynia.

W odpowiednim miejscu w lesie zakłada się prymitywny obóz («campamento») w jakimś «rancho» lub buduje się je na poczekaniu. Jest to szałas o szkieletcie z drzewa, a pokryciu z takuary (trzciny), której używa się na krokwie daszku (łodygi) i łączenia (łyko), poszycie zaś i tapczan pokrywa się «putingą» (cieńsza trzcina), którą jednak trzeba przedtem «sapekować» t. j. przeciągnąć przez ogień, aby pozbawić różnych drobnych owadów. Tapczan zajmuje zwykle $\frac{3}{4}$ powierzchni «ransza», dach sięga tylko do tapczanu, ściany zaś niema.

Ognisko rozpala się przed «ranszem». Za siedzenie służą zwykle kawałki paproci drzewnej.

Wychodzi się na polowanie rano, przyczem myśliwi dzieli się na 2 grupy: jedna idzie z psami, druga zaś czeka przy wodzie, gdzie znajduje się wylot «carreiry» tapira. Ponieważ «anta» jest pierwszym pionierem puszczy i toruje wyraźne ścieżki do wody — chodzą niemi i inne zwierzęta, a więc oczywiście i myśliwi.

Czekanie przy wodzie, zwykle szybkim strumieniu, szumiącym po skalistym dnie — obfituje w szereg złudzeń akustycznych: bełkot wody wydaje się to szczekaniem psów, to tętentem anty, to nawoływaniem towarzyszków. Również brzęk (bliski) komarów wydaje się nawoływaniem (dalekiem) ludzi.

A nawoływanie to jest piękne w swej dzikości u osadników-myśliwych: przypomina coś jakby daleki poryk jaguara lub wycie «graszai».



FOT. P. KIETLIŃSKI

UPOLOWANY «KUATI» (RODZAJ «SZOPA»
CZY OPOSSUM)

Zaradność tych synów puszczy jest zdumiewająca, z takuary np. robią czerpak do wody w ten sposób, że najniższe kolanko zacinają u góry, jak świstawkę i, nie potrzebując schodzić do samej wody, zanurzają, trzymając za drugi koniec. Trochę bulgotania i kolanko jest pełne wody, którą pije się, jakby się grało na flecie. Potrafią też zagotować wodę w takuarze, zatykając jedno kolanko w środek ogniska.

Jako najlepszą broń na takie polowanie, poradzić można bardzo krótki, 8 strzałowy winchester, który też jest najczęściej używany. Europejczycy

przydadzą się także buty lub sztylpy tak od kolących roślin, jak dla uspokojenia się co do niebezpieczeństwa grożącego od żmij. Jako nakrycie głowy — najlepszy jest mały kapełusik lub czapka. Porą najodpowiedniejszą do polowania (dla Europejczyka) jest zima t. j. od kwietnia do września. Grożą wtedy naprawdę więcej deszcze, ale jest mniej «biszów» i żmije śpią.

Co do innych zwierząt, to z małp są przeważnie szerokonose, człekokształtnych brak zupełny. Małpy tutejsze możnaby podzielić na dwie grupy: opatrzone ogonem chwytym lub pozbawione tej «piątej ręki». Do pierwszej grupy należą: wyjec rudy — «bujiu», czarny — karajá, miko i niektóre inne, ogon zwykły mają między innymi: szataniec, zwany kuszjo (Pithecia satanas) i wdowa (Calthrix lugens).

Naogół nie poluje się na małpy w Brazylii, gdyż za nadto przypominają one człowieka. Wreszcie i nie jest to zbyt łatwe polowanie, gdyż kryją się one w gęstych i wysoko umieszczonych koronach drzew. Ze strachu wypróżniają się, często oblewając myśliwego straszliwie cuchnącym kałem. Oryginalne zwyczaje posiadają wyjec: przed deszczem zbierają się w spore gromadki i urządzają formalne koncerty, w których słychać najbardziej niepodobne do siebie głosy. Jedna z małp odgrywa nawet jakby rolę solisty czy «zapięwały», chór zaś od czasu do czasu nagle milknie i potem znowu, jakby na komendę, rozpoczyna swój «śpiew».

W każdym stadzie znajduje się stary samiec — prowodyr, zwany często sułtanem. Ten daje hasło do ucieczki, a czasem do ataku, który wyraża się zwykle w bombardowaniu kawałkami gałęzi. W niebezpieczeństwie «sułtan» czasami zostaje wtyle i obserwuje napastnika, jakby chcąc go powstrzymać.

Cabocle opowiadają, że małpy często proszą o życie, składając ręce. Nie jest to całkiem bez podstaw. Jeden ze starych mierników opowiadał mi podobny wypadek. Zobaczywszy raz stado wyjcow, strzelił i ranił «sułtana», który jednak zdołał uciec, a za nim zerwało się stado. Jedna samiczka z małym na grzbiecie nie mogła podążyć za innymi, być może zresztą, że strach ją sparaliżował. Zatrzymała się tedy na gałęzi i spoglądała ze strachem na człowieka. Ten — nie chcąc do niej strzelać — krzyknął tylko na nią groźnie, wówczas małpka zaczęła coś do niego skrzeczeć żałośnie i gestykulować rękami, jakby coś przekładała i tłumaczyła.

Rozbawiony i wzruszony, machnął ręką i odwrócił się, małpka skoczyła, ale po kilku jej susach ów człowiek znowu krzyknął groźnie, chcąc przyjrzeć się dziwnemu zachowaniu się zwierzęcia, i — scena powtórzyła się.

Oczywiście w tak zabobonnym środowisku, jak wśród kabokli i Indjan nie obeszło się bez różnych bajek o małpach. Botokudzi wprost przyznają się, że są to ich przodkowie, kabokle opowiadają, że są to ludzie, ukarani za to, że gdy Bóg przyszedł raz w gościnę podczas obiadu, oni po-

chowali za siebie łyżki; łyżki te im przyrosły i stały się ogonami.

O kotach wspominaliśmy wyżej, tu zaznaczymy tylko, że jest ich bardzo wiele odmian, i niektóre nie są wcale znane, inne zaś bardzo mało, jak np. kolo-kolo biały, centkowany, szati i inne.

Z kunowatych można wymienić wyżej wspomnianą lontre, ariranję, rosomaka, irarę (b. podobna do kuny), śmierdziela (wydziela niesłychanie silny smród, żyje na stepach). Indianie nazywają go «Jaguaré» t. j. «śmierdzący pies».

Drapieżność irary jest wprost zadziwiająca: kupiłem kiedyś dość młody okaz na kolonji za kilka milrejsów. Mimo że była od małego wychowana wśród ludzi i nawet nie gryzła «poważnie» — na wszelkie małe stworzenia rzuciła z wściekłością. A więc naprzód przegryzła sznur i rzuciła się do kurnika; nim dobiegliśmy na powstały hałas, już zdążyła uśmiercić sześć kur, przyczem wyjadła im mózg i wypila krew. Do ostatniego — koguta — tak się przypięła, że mimo ciągnięcia z całej siły za ogon i bicia grubym kijem — nie puszczała go.

Przewieziona do Kurytyby — załatwiła się z rodziną świnek morskich, wygryzając im naprzód oczy; potem złapała za łeb ukochaną papugę moich gospodarzy i również pozbawiła ją oka. Skończyła zresztą smutnie, bo wściekła się i musieliśmy ją zastrzelić.

Rodzina psów jest tu reprezentowana dość skromnie: «Grachahi» (czyt.: graszai), rodzaj liso-szakala (*Canis Azarae*), i mały czerwony wilk — Lobo, niezmiernie rzadki.

Na graszai często się poluje, gdyż ma niebrzydką skórę, przypomina budową lisa, barwą «wolfhundy», daje się oswajać.

Z rodziny niedźwiedziej są: «Aguará» — rodzaj szopa-pracza, który w razie schwytania udaje nieżywego, «kuati» — ostronos i niedźwiadek-kuna «kinkažu».

Najliczniejsze są gryzonie, poza wyżej wspomnianą paką i kapiwarą (największy gryzoń) znajduje się jeszcze: kutia (aguti) — mały złotawy zajęczek, szczur wodny (kopju), jeżałki drzewne, świnka morska — aparea, która często straszy konie, śmigając w nocy z pod nóg, i inne.

Najoryginalniejsza może jest rodzina szczerbaków, której przedstawicielami są: leniwiec, mrówkojad i pancernik.

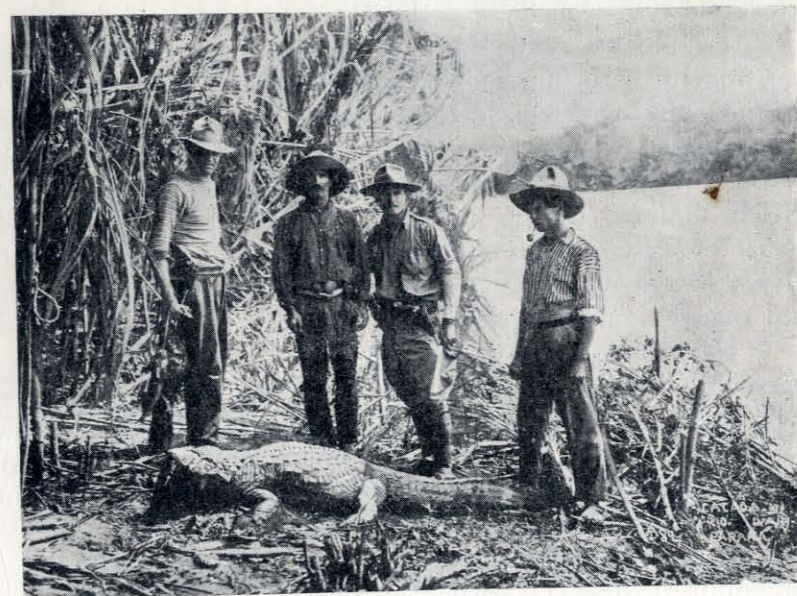
Leniwiec jest dość rzadki i spotyka się głównie na północy; w dwóch gatunkach: «aj» o 3 palcach i «unau» o 2.

Obroną jego jest nieruchomość, a stąd trudność dostrzeżenia go, oraz mała wrażliwość na rany. Być może, że ta jego apatia ma przyczynę w zblazowaniu błękitnej krwi: wszak rodzina jego wywodzi się z czasów przedpotopowych.

Podobnie arystokratycznym pochodzeniem może się pochwycić pancernik (tatú), potomek *Hiptodontusa*, chodzący dotąd w średniowiecznym pancerzu.

Spotyka się różnej wielkości tatú: od drobiazgu wielkości pięści do wzrostu kota. Jest dość częsty, nawet w pobliżu siedzib ludzkich; goniony — stara się szybko zaryć w ziemię. Mięso jego jest jadalne i nawet dość smaczne.

Trzeci z tej rodziny, mrówkojad, zachwycić może swym «futurystycznym» kształtem. Polują często na niego dla skóry,



FOT. A. LINZMEYER

KROKODYL UPOLOWANY NA RZECE IVAHY

zwłaszcza większy gatunek «tamandua-bandeira» jest ceniony, ale też dość rzadki.

Mało znana a ciekawa jest rodzina workowatych, do której należą wszystkożerne szczury workowate (bardzo różnej wielkości), «szupati», żywiący się rakami, «japote» — amator ryb, «mikuré» — inaczej mysz Eneasza, wreszcie «rapoza» — workowata kuna.

Ptaki przedstawiają tak ogromną ilość gatunków, iż nie są znane nawet w części. Duże zasługi na polu ornitologii brazylijskiej położył ś. p. Tadeusz Chrostowski, który odbył (jak się zdaje pierwszy) olbrzymią podróż rzeką Ivahy do rzeki Parany i Parana do ujścia Iguassú. W drodze powrotnej o 72 km. od For do Iguassú, w małym osiedlu Pinheirinhos, zapadł na febrę i umarł, z wielką stratą dla nauki. Tam też został pochowany. (Sprawa przyzwoitego pomnika dla niego jakoś nie rusza z miejsca).

Przed nim zaś na tem samym polu pracował Józef Warszawicz (1843 r.), którego imieniem nazwane nawet są niektóre okazy. i Konstanty Jelski (1865 r.).

Trudno tu wymienić nawet zgrubsza gatunki spotykane w Brazylii, już sama rodzina drapieżników jest tak bogata, że możnaby o niej pisać tomy. Przejezdnemu rzuca się jednak naprzód w oczy sępo-kondor «corvo» czyli «gavião» lub «galinaco»: ptaki te siedzą gromadami a raczej rzędami na dachach domów, czarne, pónure i ciężkie. Są to czysciciele miast i wsi, to też nie strzela się do nich, chociaż ostatnio słyszy się głosy, że przyczyniają się one raczej do roznoszenia różnych zaraźliwych nieczystości.

Największym drapieżnikiem jest «Harpia destructor», ogromny jastrząb, którego pióra chętnie są kupowane. Poza tem cała moc jastrzębi, mysołowów, puszczyków i sów. Z papug spotyka się «ary» czerwone, zielone (najczęściej), błękitne, małe «perequitos» (również zielone), bajtaki niszczące pola kukurydzy, i wiele innych.

Bardzo charakterystyczny dla Brazylii jest «tukan» z olbrzymim dziobem i barwnymi piórkami. Nazwa jego pochodzi od ind. słowa «pióro», gdyż taki jest kształt jego ję-

zyka. Na południu (Rio Grande) spotyka się strusie, które nie są zabijane, ponieważ mają rzekomo niszczyć węże.

Z ogromnej ilości gatunków kurowatych, brodzących, pływających i wróblowatych, chciałbym tu wymienić jedynie dwa ptaki: czerwonaka i kolibra.

Czerwonaka widziałem po raz pierwszy w Rio Grande do Sul. Dopóki brodził w jakimś strumyku — nie robił jeszcze nadzwyczajnego wrażenia, ale skoro się zerwał, a do niego przyłączyły się jeszcze dwa inne — widok był zachwycający!... Były to trzy olbrzymie, różowe (nie czerwone) motyle, odcinające się tak pięknie od tła, że patrzyliśmy na nie nienasyceni. Leżały potem długi czas przed naszym autem, i ciągle nie mieliśmy dosyć patrzenia na nie.

Drugim takim cudem natury, o którym chciałoby się mówić, śpiewając — jest koliber.

Brazyłjanie nazywają kolibra pięknie — «beija-flor» (bejża-flor) t. j. całujący kwiaty, i rzeczywiście koliber rzadko siada na kwiatach — choć może sobie na to pozwolić, bez obawy złamania ich — częściej stoi w powietrzu, jak się wydaje, prawie nieruchomo i pije sok.

Lot jego jest błyskawiczny: to stoi w powietrzu, to mignie się, jak smuga, to rzuci w bok i znowu stanie, a lecąc burczy, jak wrzecziono. To też koloniści nazywają go «burczyk».



MURZYN Z ZABITYM KROKODYLEM

Jego małeńkie rozmiary mają w sobie coś wzruszającego, jest on bodaj mniejszy od śliwki-węgierki, a piskłeta są tak małeńkie, że trudno sobie zdać sprawę, że to wogóle jest ptak. Nie wiem, czy ciało ich ma więcej, niż centymetr sześcienny. A i dorosłego ptaka czasem się uda złapać — w kwiatku. Jest bardzo wiele motyli większych dwu i trzykrotnie od tego olbrzyma.

Mimo to są bardzo wojownicze i czupurne, a złapane dziobią zaciekle w ręce.

Każdy gatunek jest inaczej ubarwiony, a w obrębie gatunku jeszcze są odmiany; wszystkie zaś mają jedwabny połysk piórek, dzięki czemu robią wrażenie klejnotów i kamieni szlachetnych. (Jubilerzy istotnie robią z wypchanych okazów różne kombinacje artystyczne.)

Od tych fruwających kwiatów musimy przejść teraz do płazów: przedstawicielami ich są: «jacaré» — kajmany, «lagarta» — duża jaszczurka, dość pospolita (wielkości do 2 metr. z ogonem), zielony bazyliszek nadrzewny, żółwie leśne «jabuti» — około łokcia długości, i rzeczne — «arrau», wreszcie węże i żmije, o których mówimy osobno, w następnym rozdziale.

Z ryb — ciekawymi okazami są: «piranja», która napada stadem na przechodzące przez wodę bydło lub ludzi i błyskawicznie pożera ciało, «candiru» — wielkości palca, które przenika do odbytnicy brodzących, «trigon pastinaca» — obdarzona trującym kolcem, i węgorz elektryczny, porażający i unieruchamiający swoje ofiary. Ryby większe, jadalne odznaczają się możliwem względnie mięsem, lecz ani tak delikatnem, ani obfitem, jak gatunki europejskie.

Motyle brazylijskie są nieraz równie piękne, jak kolibry, bardzo często od nich większe i w niezliczonych gatunkach. Tom atlasu motyli Seitza, zawierający motyle brazylijskie, jest orgją kształtów i barw, jakimś albumem raczej, niż dziełem naukowem.

VIII. ŻMIJE I WĘŻE

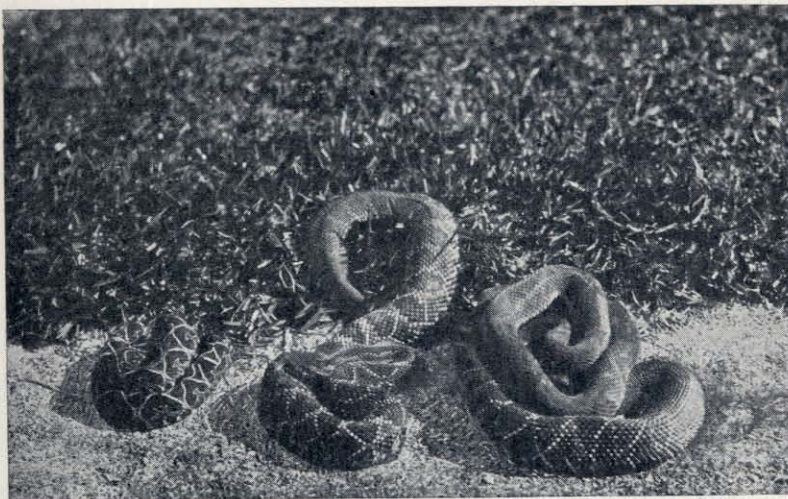
Corocznie w Brazylii ginie około 4.800 osób od ukąszenia jadowitych żmij, liczba zaś wszystkich wypadków — wraz z nie śmiertelnymi — dochodzi do 19.000.

Jak widzimy, jest to poważna plaga, i obrona przeciw niej stanowi poważne zagadnienie. Najlepiej zorganizowany jest pod tym względem stan Sao Paulo, gdzie znajduje się jedyny w Brazylii instytut naukowy «Butantan».

Instytut ten wytwarza serum, neutralizujące jad żmij, i przeprowadza badania nad życiem żmij. Serum nie jest sprzedawane, lecz wymieniane na żmije żywe, dostarczane do instytutu: za każdą żmiję — tubę serum, za sześć egzemplarzy — sześć tub i szprykę. Wreszcie dostarcza też Butantan specjalnych stryków do łapania żmij i skrzynek do transportu.

Chwywanie żmij — jak zapewniają kierownicy Instytutu — nie jest wcale tak niebezpieczne, gdyż (wbrew rozpowszechnionym przekonaniom) żmija jadowita nie goni i nie skacze. Aby atakować lub bronić się, żmija musi zwinąć się i znaleźć punkt oparcia tylną połową ciała, aby mieć swobodną przednią. W ten sposób żmija nie może sięgnąć dalej, niż wynosi odległość równa połowie jej ciała.

Ilość żmij, przysyłanych rocznie do instytutu Butantan, wynosi obecnie przeszło dwa tysiące. Daje to możność nie tylko wytworzenia odpowiedniej ilości serum, ale i dokładnego poznania tak klasyfikacji, jak biologji żmij. A znajomość ta jest konieczna wobec rozpowszechnienia wielkiej ilości przesądów na ten temat.



ŻMIJE JADOWITE Z GATUNKU «JARARACA» (CZYT. ŻARARAKA)

Najbardziej interesują (i niepokoją oczywiście) zęby żmii. Otóż nie są one przeznaczone zupełnie do przerabiania pokarmu, gdyż żmija jedzenie połyka całkowicie, posiada ona jedynie zęby trujące i małe, niewykształcone — służące raczej do przytrzymywania. Zęby trujące są dwójakiego rodzaju: albo umieszczone są na przodzie paszczy, albo (u żmij mniej niebezpiecznych) w głębi. Ten drugi gatunek wtedy tylko może zatruć, jeżeli schwyci całą paszczą. Wreszcie trzeci typ użębienia ma wszystkie zęby równe — są to węże niejadowite.

Zmysły u żmij są bardzo niedoskonałe, wbrew częstym przesądom w tej dziedzinie. Rozmnażanie odbywa się w sposób żyworodny, u węży niejadowitych drogą składania jaj. Jeden pomiot wynosi około 20 egzemplarzy a dochodzi i do 40-tu.

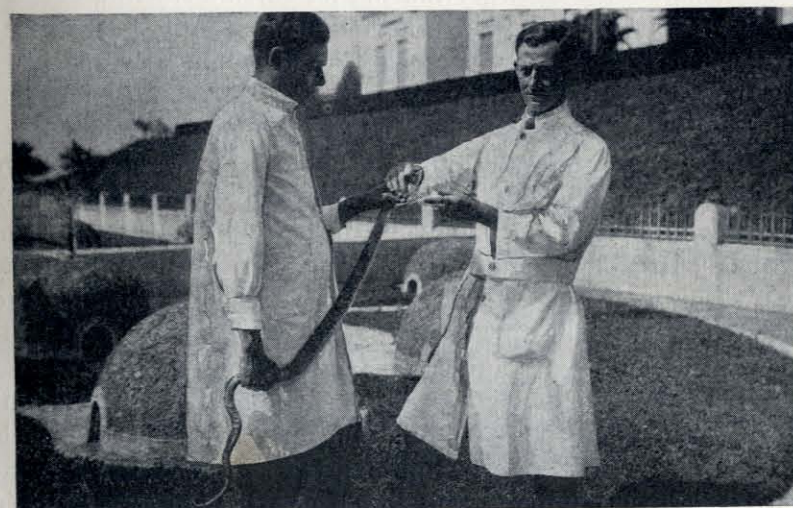
Ruchy żmij jadowitych są niezwykle powolne, w razie niebezpieczeństwa nie przyspieszają «kroku», lecz przeciwnie — zatrzymują się. To też powiedzenie kaboklerskie brzmi: «żmii uciekającej — daj spokój, żmiję, która nie ucieka — zabij!» Gdyż istotnie węże niejadowite ruszają się bardzo szybko i nawet atakują dość energicznie.

Wszystkie węże pływają dość dobrze, trzymając głowę nad wodą, atakować jednak wówczas nie mogą, nie mając punktu oparcia. Umieją również wspinać się na drzewa.

Aby żmija nie mogła «uderzyć» — wystarczy ją podnieść z ziemi kijem, nie mając niezbędnego punktu oparcia — nie zdoła zaatakować. Węże niejadowite przeważnie nie związają się, lecz rzucają się w postaci litery «S», niektóre zaś nie próbują gryźć, nawet brane ręką.

Żywią się żmije przeważnie drobnymi ssakami, czatując na nie blisko jakiejś ścieżki, najchętniej pożerają szczury. Pościć mogą długo, bo od 6 miesięcy do roku. Zdobywają swą żywność jedynie dzięki morderczemu aparatowi jadu, gdyż ich powolność nie pozwoliłaby im dogonić zwierzyny. Węże niejadowite — przeciwnie: właśnie dzięki swej ruchliwości zdobywają pożywienie.

Wreszcie trzeci typ zabija zdobycz dzięki swej sile, mianowicie dusząc skrętami ciała. Są to boa constrictory — «Sucuri» lub «Sucuriú», które dochodzą nawet do 10 m. długości



WYCISKANIE JADU ŻMII W CELU PRZYZRZĄDZENIA SERUM, KTÓRE WYRABIANE JEST W INSTYTUCIE BUTANTAN, W SÃO PAULO

Jeżeli chodzi o przesady, istniejące co do żmij — to jest ich wystarczająca obfitość i nieraz utrudniają one racjonalną obronę, lub nawet są przyczyną śmierci wielu osób.

A więc: nieprawdą jest, jak twierdzi dyr. Butantanu, Vital Bresil, że żmije gonią człowieka susami, nieprawdą są wszelkie opowiadania o hipnotyzowaniu przez żmije bądź zwierząt, bądź człowieka, nieprawdą jest — głoszona przez niektórych szarlatanów — niewrażliwość na jad żmij i wreszcie zupełnie bez wartości są wszelkie inne środki lecznicze poza serum. (Dla ścisłości zaznaczyć muszę, że od kilku Polaków-Parańczyków słyszałem o hipnotyzowaniu przez żmije. Mam jednak raczej ochotę wierzyć panu Vital Bresil.)

Przesądność sięga nieraz tak daleko, że nie wymawia się samego słowa «żmija», i caboclo woli powiedzieć zamiast: «X. zagryzła żmija» — «X. foi offendido por um bicho» — «X. został dotknięty (obrażony) przez zwierzę».

Spotkałem się nawet na polskiej kolonii Nas Pavao z przesądem, że aby zabić węża, który ukąsił, trzeba pójść na trzeci dzień w to samo miejsce — to go się na pewno spotka; jednak zabicie go źle wpływać ma na gojenie się ran.

Słyszysz się też czasem opowiadanie, że żmija przed przepłynięciem rzeki pozbywa się części trucizny na brzegu — być może przesąd ten związany jest z faktem, o którym wspominaliśmy, że żmija nie może atakować w wodzie.

Co do «zaklinaczy żmij», to albo wyrrywają oni zęby jadowne swoim okazom (względnie wycinają gruczoł jadowy), albo przed występowaniem pozbawiają je jadu lub wreszcie kończą swoją karierę od ukąszenia, jeśli tych ostrożności zaniedbają. Oczywiście o jakichś siłach nadzwyczajnych nie może tu być mowy, gdyż nie tylko zwierzęta, ale nawet osoby niedorozwinięte nie poddają się hipnozie.

Wszelkie «zamawiania» (t. zw. «sympatia») są bardzo popularne w Brazylii i, jeżeli ofiara nie jest ugryziona śmiertelnie i wyleczy się — przypisuje się to znachorowi («curandeiro»), jeśli zaś umrze — no to się spędza na niedokładność wykonania ceremoniału, który jest zresztą zwykle bardzo skomplikowany.

Żmije brazylijskie podzielić można na trzy wielkie rodziny, które różnią się od siebie tak wyglądem, jak rodzajem jadu: «jararaca», grzechotnik («cascavel») i koralówka. Samej «jararaki» jest 10 gatunków w Brazylii, wogóle zaś 41, koralówki — 12 gatunków w Brazylii, wogóle zaś 28. Grzechotnik występuje tylko w jednym gatunku. Najsilniejszy jest jad grzechotnika, po grzechotniku — idzie «surucucú» (jararaca), na którego jad niema dotychczas lekarstwa.

Objawy działania jadu są różne, zależnie od gatunku żmii: czasem silniejsze są objawy i bóle miejscowe, czasem — bez bólów obwodowych — objawy ogólne. Zawsze jednak są one straszne i rozpoczynają się dość szybko po ukąszeniu (zależnie od ilości jadu i wieku ofiary; u dzieci szybciej).

Zwykle przebieg bywa następujący: ból w miejscu ukąszenia, nadzwyczaj silny, jakby wyłamywanie kości; uczucie gorąca, rozchodzące się od rany, wymioty, silne poty zimne, zmiany pulsu i temperatury, senność i osłabienie mięśni, krwotoki z nosa, ust i uszu, a czasem przez skórę, zaburzenia



«MIASTO ŻMIJ» — DOMKI I OGRODZENIE DLA JADOWITYCH WĘŻÓW W INSTYTUCIE BUTANTAN W SÃO PAULO

oddechowe, wzrokowe i mózgowe, utrata świadomości, a wreszcie śmierć wskutek paraliżu serca.

Jeżeli żmija przed ukąszeniem człowieka utraciła część truciźny na zabicie jednego lub kilku zwierząt — objawy te są słabsze, następują powoli i wypadek może skończyć się samoczynnem wyzdrowieniem; jeśli żmija była wypoczęta i zdołała wpuścić znaczną ilość jadu — symptomy następują po sobie bardzo szybko i śmierć następuje w przeciągu kilku godzin. Normalnie jednak rzadko się zdarza śmierć przed upływem 24—48 godzin.

Ciekawy, choć przerażający opis symptomatów zatrucia jadem żmii znajduje się w książce dr. J. Sigaud'a «*Maladies du Brésil*». Obserwacja dokonana była na jakimś Mariano José Machado, który, od sześciu lat będąc trędowatym — postanowił spróbować wyleczyć się przez ukąszenie żmii (również jeden z przesądów) i w obecności szeregu osób dobrowolnie dał się ukąsić grzechotnikowi. Stało się to o 12 godz. w południe i drugiego dnia o godz. 11-tej przed poł. umarł.

Ze zwierząt najmniej podatne na truciznę są zimnokrwiste, następnie mięsożerne, potem trawożerne, najbardziej zaś — ptaki.

Same żmije są niesłychanie odporne na jad swych sióstr: trzeba dziesięć porcyj, z których każda równa jest zawartości jadu u jednej żmii tego gatunku, aby je doprowadzić do śmierci.

Różne gatunki mogą się już zabić połową zawartości jadu jednego tylko osobnika. Jeden jest tylko wyjątek: wąż Mussurana, na którego wogóle jad nie działa, a który zabija i pożera wszelkie węże jadowite, stając się w ten sposób wielkim sojusznikiem człowieka.

Jeżeli chodzi o miejsce ukąszenia — to najczęściej jest wypadków ukąszenia w nogę, bo 75 %, w rękę — 22 %. Oczywiście rolnicy są klasą, która najczęściej wykazuje ofiar, do czego przyczynia się w znacznej mierze zwyczaj chodzenia boso, przy robotach polnych.

Walki systematycznej (jak np. w Indjach) nie prowadzi się ze żmijami, ani przez wyznaczanie nagród, ani specjalne polowania, ani wreszcie przez rozmnażanie wrogów żmij.

Wśród tych ostatnich wyliczyć można: dziką świnię, ichneumona (kilka gatunków) i jeża oraz kilka gatunków ptaków, żywiących się jednak tylko przygodnie żmijami (np. «*Macagua*» — święty ptak Indjan, rodzaj sępa), z gadów — wąż Mussurana (*Rhachidelus brazili*), o którym wspominaliśmy wyżej.

Jako jeden z ważniejszych środków zapobiegawczych należy podnieść tępienie szczurów, ponieważ są one ulubionym pokarmem żmij i ściągają je w pobliże domów, walka zaś ze szczurami (zresztą także roznosicielami dżumy, za pośrednictwem pcheł) — polega przede wszystkim na zachowaniu czystości, urządzeniu śmietników i t. d.

Wspomnieliśmy wyżej, że wszelkie środki, poza serum, nie przedstawiają żadnej wartości, tu podkreślić jeszcze należy, że niektóre z nich są nawet szkodliwe, jak np. picie alkoholu, który tylko potęguje zatrucie. Nie pomaga też żadne przykładanie świeżo zabitych zwierząt, czy samej żmii (jak w to wierzą w «*interjorze*»), żadne przykładanie tytoniu, nacieranie amonjakiem, a nawet nic albo niewiele pomaga podwiązanie zranionej kończyny i wysysanie krwi, przede wszystkim ze względu na błyskawiczną szybkość, z jaką jad się rozchodzi po ciele. Przypalanie rozpalonem żelazem dałoby rezultat tylko w tym wypadku, gdyby się to stało natychmiast po ukąszeniu, co jest niemożliwe, gdyż ostatecznie trudno chodzić po lesie czy polu z rozpalonem żelazem w oczekiwaniu ukąszenia.

Medycyna — *sit venia verbo* — chemiczna ograniczyć się tu może do dawania środków czyszczących, ułatwiających wymioty, a i to jeszcze jest pod znakiem zapytania.

Pozostaje jedyny, ale zato niezawodny środek — serum.

Serum przyrządza się zapomocą zdobywania jadu od żmij, przez wyciskanie gruczołów i następnie zastrzykiwanie go koniom (mającym najpodobniejszą wrażliwość do człowieka) w zwiększającej się coraz ilości, podobnie jak się to robi np. przy dyfteryście. Serum przyrządza się w czterech gatunkach: przeciw grzechotnikowi, przeciw jararace, przeciw

korallówce i ogólne, jeżeli niewiadomo, jaka żmija zadała ranę.

Normalnie wystarcza 15 do 20 cm² serum i to w kilka godzin po ukąszeniu. W ten sposób zdobyto nareszcie sposób przeciw temu niebezpieczeństwu bardziej istotnemu niż jaguar lub krokodyl. Instytut Butantan jest w Brazylii potężnym bastjonem w tej wojnie.



KURUGU KAMBEZUE, STARY KACYK PLEMENIA BOTOKUDÓW VEL BUGRÓW, Z ST. CATHARINY. W DOLNEJ WARDZE DREWNIANY KOLECZEK, PO PORTUGALSKU «BOTOQUE», SKĄD NAZWA PLEMENIA

IX. INDJANIE.

W Ameryce Południowej istniały trzy wielkie monarchje indyjskie, zatrzymane w okresie kamiennym: Chibchasów czyli Muiscasów w Kolumbji, Inkasów w Peru i Azteków w Meksyku. Ustrój wewnętrzny tych państw przedstawiał coś w rodzaju socjalizmu państwowego i doprowadził ludność do swoistego automatyzmu, konserwatyzmu i bezmyślności: obywatel był przyzwyczajony do tego, że państwo za niego myślało i regulowało wszystkie jego potrzeby.

Znamienne jest, że jezuici, tworząc potem swoje quasi państwka teokratyczne — «redukcje» — również przyjęli ten system państwowego socjalizmu i otrzymali podobne wyniki. Niewolniczość, wyrobiona przez ten system, występuje jeszcze dotychczas np. u Paragwajczyków. Podobno życie czekoladowych owieczek tak było uregulowane głosem dzwonu, że nawet dawano specjalny sygnał na czas... miłości małżeńskich.

Po wyrznięciu padrów przez «paulistów» (nazywano ich akże «mamelukami», zdaje się głównie z powodu dużej ilości metysów, jako reminiscencja z Hiszpanji) poddani ich byli zupełnie bezradni (czy i w ostatniej dziedzinie — trudno doćiec), straciwszy odrazu podporę całego systemu.

Co jednak ciekawe, to fakt, że ojcowie jezuici ten stan socjalistyczny uważali za najniższe stadjum, z którego społeczeństwo indyjskie miało być prowadzone do wyższego — do stanu swobody osobistej i własności prywatnej.

Ciekawy to moment dla socjologów i pouczający dla sympatyków socjalizmu, zwłaszcza że socjalizm dochodził tu



INDJANIE—BOTOKUDZI ZE STANU ST. CATHARINA, SĄSIADUJĄCY TAM
Z KOLONJAMI POLSKIEMI. NA PRAWO ICH OBECNY «KACYK» — BIAŁY CZŁO-
WIEK — EDWARD LIMA E SILVA DE HOERHANN

do ideału: do doboru małżeństw przez państwo (oo. jezuici chcieli podobno wytworzyć dobrą rasę przez racjonalne krzyżowanie). Czegóż można chcieć więcej?

Owe socjalistyczne monarchje padły pod naciskiem «conquistadorów», przyciągniętych siłą magnetyczną złota.

Meksykańscy Aztekowie, z królem Montezumą — byli zawojowani przez Corteza, Inkasowie peruwiańscy z królem Atahualpa — przez Pizarra, a Columbia podbita była przez Jimenez de Quesada i Beneleazara.

Złoto, które było główną atrakcją w tych prowincjach, wywołało dzikość, która wypaliła swoje piętno na strukturze powstających tam państw hiszpańskich. Kraje biedniejsze, jak Chili, Argentyna i Brazylja — tworzyły się spokojniej i nie znały tak surowego rygoru państwowego, jak twory powstałe na złocie i krwi.

Indjanie, zamieszkujący Brazylię, stali o wiele niżej od zorganizowanych w państwa braci swoich. Znajdowali się oni — w okresie zdobywania Brazylii — w stanie mało co różnym

od obecnego, t. zn. na bardzo niskim poziomie społecznym i kulturalnym.

Kwestja pochodzenia Indjan brazylijskich nie jest dostatecznie wyjaśniona, jak również nie jest poważnie zbadany ich podział szczepowy. W chaosie najcudaczniejszych nazw plemion (często jedno plemię ma kilka nazw, lub kilka plemion — jedną) można zrobić zgrubsza podział na cztery wielkie rodziny szczepów.

Podział ich następujący: Tupi (Guarany), Gê (Tapuya), Arnak i Caráhiba. Siedziba pierwotna wszystkich tych plemion znajdowała się prawdopodobnie na środkowej wyżynie Brazylii, skąd rozeszli się i zróżniczkowali dopiero następnie.

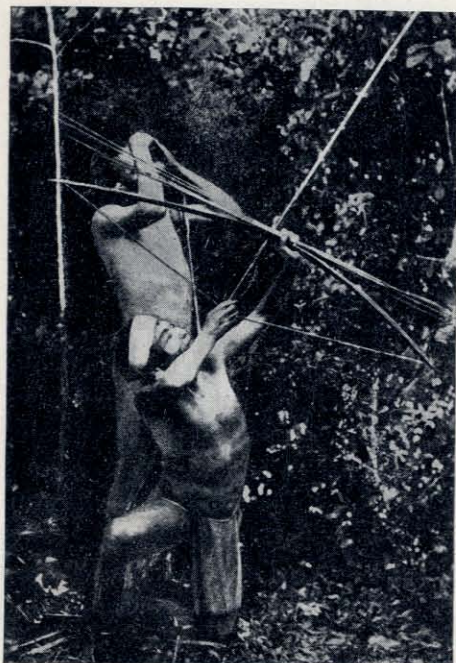
Tupi mieli dość ładny język, posiadali nawet poezje, znali uprawę produktów i garncarstwo. Narzecze ich (guarany) panuje do dziś w Paragwaju, z nich też powstało tam państwo misyjne (Misiones).

Gêsowie są mniej znacznie inteligentni. Tupisowie nazywali ich «tapuya» co znaczy «obcy» (podobne znaczenie ma w języku innych plemion słowo «Gê»). Charakter ich był okrutny i przewrotny, słynęli też, jako złodzieje. Ponieważ byli niszczeni usilnie przez inne plemiona — zostało ich względnie niewiele. Znane jest plemię: Botokudów, czyli Bugrów.

Z tych plemion znajdują się: w Paranie Coroadzi i Caingansowie ze szczepu Guarany, w St. Catharinie Botokudzi czyli Bugrzy.

Plemiona te stoją na najniższym poziomie cywilizacyjnym i nie przedstawiają ciekawego («egzotycznego») tematu do badań. Znajdujące się na północy i północo-zachodzie Brazylii plemiona Guarany mają swoje zdobnictwo, tańce symboliczne, specjalne narzędzia i ozdoby (jak o tem ciekawie pisze Theodos Koch-Grünberg w swej książce «Zwei Jahre bei den Indianern Nordwest-Brasilien» i kilku jeszcze niemieckich podróżników).

Natomiast Gêsowie południa Brazylii nie mogą niczem podobnem się pochwalić. Nie znają oni uprawy, żadnych rzemiosł poza prymitywnym plecieniem koszyków, mają b.



MŁODY INDIANIN Z ESPIRITO SANTO, STRZELAJĄCY Z ŁUKU. — CHARAKTERYSTYCZNY UKŁAD RĄK I PALCÓW

prymitywne pojęcia religijne, a nawet w dziedzinie najbardziej im właściwej — myślistwa — nie znają zatruwania strzał, wskutek czego łuki ich i strzały muszą być znacznie większe i mocniejsze, niż u plemion północnych.

Botokudzi odgrywają jakby do pewnego stopnia rolę cyganów wśród innych plemion: koczują rozbici na małe gromadki, a języka ich nie rozumieją inne plemiona.

Dotychczas znajdują się oni w okresie kamienia gładzonego (lecz nie umieją dziurawić narzędzi). Nazywa ich, obecnie używana, jest pochodzenia portugalskiego, mianowicie od «botoque» — czopek, który

umieszczają sobie w dolnej wardze. Dawni osadnicy nazywali ich Guaymores lub Aimores, sami zaś nazywają się Enge-
rekung lub Awejkoma.

Istnieje przypuszczenie, że Botokudzi są właśnie najstarszymi mieszkańcami Brazylii, ponieważ wykopaliska z t. z. «sambaqui» (grobowce nadmorskie z muszel) wykazywały podobieństwa antropologiczne z żyjącymi Botokudami.

Przypuszcza się również, że szczep Tupi przyszedł później (być może z Peru) i znalazł już tutaj szczep Gê, który został przez Tupi podbity. Wskazuje na to wspólność niektórych przejawów kulturalnych szczepu Tupi i peruwjańskich Quielmá, oraz sama nazwa «Tapuaja» oznaczająca nie tylko «obcy», ale też «barbarzyńca» i «autochton».

Według niektórych autorów, główną siedzibą Botokudów jest stan Espirito Santo, szczep zaś Bugrów, znajdujący się w St. Catharinie, jest tylko pokrewny Botokudom.

Bugrzy santkataryńscy zjawili się na widowni dziejowej bardzo niedawno, bo zaledwie około dwudziestu paru lat temu, i zapisali się krwawo w historii tamtejszego osadnictwa. Walka, która rozwinęła się tam, przybrała cechy wzajemnego polowania na ludzi. Tamtejsi osadnicy (głównie Niemcy) najmowali specjalnych «łowców na Bugrów» — «bugreiros», którzy robili wyprawy na Indian dla utrzymania ich w respekcie przed osadami białych intruzów. Nie próżnowali i Bugrzy, o czym świadczą liczne krzyże, a do niedawna można było zobaczyć całe opuszczone siedziby kolonistów, wyrzuconych przez Bugrów.

Mieli oni zwyczaj naprzód straszyć i dawać znaki nocami stukaniem i innemi hałasami, następnie dopiero napadać i mordować całe rodziny. Ciekawy objaw, że nigdy nie napadali w nocy, tylko o wschodzie i w południe.

W walkach tych zdarzało się nieraz schwytanie dzieci Bugrów przez białych, którzy je potem wychowywali. I tak



ROZNIECANIE OGNIA ZAPOMOCĄ TARCIA DREWIEŃEK PRZEZ INDIAN ZE STANU ESPIRITO SANTO. (ZJAWISKO OBECNIE ZNIKAJĄCE OCZYWIŚCIE)



TYP INDIJANINA GUARANY ZE WSCHOD-
NIEJ CZĘŚCI STANU SÃO PAULO

np. dr. H. Gensch z Blumenau wychował dziewczynkę, córkę kacyka bugrskiego, który miał niezbyt krótkie imię Kusógma-Kanjaháma-Gaklang-Sambetsùje. Sama zaś panienka nazywała się Korikrá-Láksi-Lajondesi-Ungró-Wajmúsi. Z drugą Botokudką, porwaną jako dziecko i adoptowaną przez Niemca, ożenił się Polak. Obie wykazały duże zdolności językowe i muzyczne oraz ogólną inteligencję.

Obecnie Bugrzy trzymają się w granicach wyznaczonych im rezerwatów, koło góry Tayo (zdaje się czczonej przez nich); w St. Catharina, mając za kacyka białego «mansadora» («ułaskawacza»)

rządowego, który zresztą dostał się na to stanowisko sam, a następnie dopiero został przez rząd «uznany».

Ze względu choćby na udział Botokudów w historii żywiołu polskiego w Brazylii, warto im się przyjrzeć bliżej.

Nie są obce Botokudom pojęcia religijne, jakkolwiek prymitywne i naiwne. Wierzą zatem w trzech bogów, największy z nich nosi nazwę Pa ta e ma (Pa — ojciec, taema — niebo), który stworzył niebo, ziemię i człowieka. Kiedy zmęczył się stwarzaniem — kazał się zastąpić niższemu bogu, imieniem Sza e ma. Ten stworzył jaguara, tapira, mrówkojada i inne spore zwierzęta, żeby Botokud miał na co polować. Ale i ten bóg zniechęcił się do swego zajęcia i oddał pracę w ręce boga, imieniem Gry n d o m a. Ten zaś — mówiąc stylem Makuszyńskiego — sfuszerował wspaniałą repertuar stworzenia, stworzył bowiem żmije, pająki, osy i inne «bicho».

Istnieje również djabeł, który nosi imię Bugre. Stąd wielką jest obrazą nazwanie Botokuda Bugrem, a często jednej nazwy używają właśnie zamiast drugiej.

Przechowała się u Botokudów legenda o potopie, podczas którego mieli siedzieć wszyscy na drzewach. Następnie część Botokudów — odważniejszych i mądrzejszych — zeszła z drzew i zaczęła polować, jak dawniej, głupszy zaś pozostali na drzewach: są to małpy. Małpa jest zatem — według wyznania zainteresowanych — tylko głupszym nieco Botokudem. Przyznanie się do pokrewieństwa jest tu więc niejako darwinizmem à rebours.

Z obrzędów najważniejsze jest święto «botoka», od którego otrzymali swą nazwę od Portugalczyków («botoque» po port. — czopek, kliniek).

«Botok» jest albo w kształcie kółka i przypomina podobne ozdoby murzynów z Afryki, albo jest to drewnienko w kształcie litery «T» której krótsze, poprzeczne ramię znajduje się od strony wewnętrznej wargi dolnej, dłuższy zaś koniec wystaje nazewnątrz przebitej wargi, na podobieństwo jakby bródki «hiszpanki». «Botok» bywa zazwyczaj rzeźbiony i ozdobiany, a im większych jest rozmiarów, tem więcej zasług oznacza. Dostanie «botoka» jest niezmiernie trudne, gdyż jest on jakby symbolem religijnym i oznaką przynależności do plemienia. Otrzymują go tylko chłopcy, około 7—10-go roku życia, a jest to całą uroczystością. Chłopiec



FOT. GROFF

TYP MŁODEJ INDIJANKI—COROADKI ZE
STANU PARANÁ

bywa zazwyczaj bity przez mężczyzn prawie do utraty przytomności i wtedy dopiero przebijają mu wargę i zakładają botok. W późniejszym życiu botok bywa zamieniany na większy i ozdobniejszy.

Dziewczętom botoków nie dają, natomiast w tym samym mniej więcej wieku robią trzy nacięcia na prawej nodze: dwa nad, a jedno pod kolanem.

Pogrzeb jest u Botokudów ciałopalny, przyczem popiół przechowuje się albo w garnku, albo w koszyku drewnianym. Istnieją też osobne cmentarze. Tak np. rodzina Przybylskich na linii Paraguassu (Itayopolis) była wymordowana przez Botokudów zato, że osiedliła się i pobudowała na ich cmentarzu. Mówiąc nawiasem, miejsce to jest jednak obecnie we władaniu polskim i pokryte jest polem uprawnym.

Po pogrzebie, w namiocie właściciela, zwłaszcza o ile był to człowiek złego charakteru, siada grupa mężczyzn i stara się odstraszyć ducha biciem maczugami w ziemię i krzykami. Świadczy to — bądź co bądź — o wierze w życie pozagrobowe i istnienie ducha.

Świadczy o tem i inny obrzęd, wskazujący na wiarę w metempsychozę, związany z pogrzebem dziecka. Dziecka przed otrzymaniem «hotoka», względnie nacięć, nie palą, lecz grzebią w ziemi, na grób zaś kładą naprzemian warstwy ziemi i kwiatów. Na grobie tym kładzie się matka i wzywa krążącą nad grobem duszę dziecka, aby powróciła do ciała. Dusza ta, chcąc dostać się do swego ciała, musi przejść «po drodze» przez ciało matki i tam zostaje zatrzymana, jako nowy płód. Dziecko następnie urodzone będzie więc mieć duszę poprzednio zmarłego.

Ślub odbywa się w ten sposób, że młody człowiek zwraca się do ojca panny z propozycją udania się razem na upolowanie małpy («koniąrabą»). Jeżeli ojciec odmawia — sprawa upada, jeżeli jednak godzi się — idą razem i po upolowaniu pan młody przyrządza małpę, a następnie razem ze swą ukochaną jedzą ją i małżeństwo uważa się za zawarte.

Poligamja istnieje, ale legalność związków miłosnych

jest ściśle zachowywana. Również chorób wenerycznych wśród Botokudów niema.

Tatuowania nie znają, zrzadka tylko rysują sobie twarze węglem. Nie znają również żadnych rzemiosł, prócz plecenia koszyków i kapeluszy. Zatracili nawet sztukę obrabiania kamieni. Zresztą zawsze drzewo, jako materiał na narzędzia, odgrywało u nich ważniejszą rolę, niż kamień, co jest zrozumiałe, skoro się weźmie pod uwagę niesłychaną twardość niektórych tutejszych drzew.

Często Botokudzi spiliowują sobie zęby, jak to robią niektóre plemiona ludożercze, ludożercami jednak nie są.

Oryginalnym zwyczajem jest oglądanie piersi ob-

cym, przybywającym do obozu, aby stwierdzić, czy nie są obrośnięte. Jeżeli nie są — przybysz uważany jest za przyjaciela («kakén»), jeśli jednak są — Botokudzi odnoszą się do niego niechętnie i może być nawet uznany za wroga («kokolé»).

Znają Botokudzi wyrób wódki z kukurydzy i miodu dzikich pszczół, która po fermentacji jest nawet dość mocna. Dawniej wyrabiali też jakiś napój wyskokowy z dzikich roślin.

Budowę ciała mają silną i krępa, nogi w stosunku do tułowia dość krótkie, ręce jednak nie są przesadnie długie. Twarze mają kwadratowe o typie dość zbliżonym do mongolskiego, nos jednak jest dłuższy i węższy, a i oczy ani tak wąskie, ani tak skośne, jak Mongołów.

Odnaczają się długowiecznością (jeden Botokud doszedł do 130 lat) oraz niezmierną odpornością i siłą organizmu.



TYPOWY DLA INDIAN SPOSÓB NOSZENIA WSZELKICH CIĘŻARÓW. INDIJANKA ZE SZCZEPU CAINGANG

Śpią nago na gołej ziemi, latem czy zimą, nago również i boso biegają po lesie, gdzie Europejczyk nawet w ubraniu cierpi od kolców i sęków. Opowiadano mi nawet o wypadku zabicia przez Botokuda gołymi rękami jaguara. Mianowicie jaguar porwał żonę pewnemu Botokudowi, ten dogonił go i uderzył w łeb swoją przeraźliwą maczugą z twardego drzewa tak, że maczuga złamała się i Botokud został bez broni. Wówczas schwycili się — zwierz i człowiek — wpół i w rezultacie Botokud, mimo że dobrze poraniony, zadusił kota. Biorąc pod uwagę senność jaguara po spożyciu à la fourchette Botokudki i lekką dezorientację umysłu, którą musiał wywołać cios maczugi, a wreszcie siłę Botokuda — można przypuścić prawdopodobieństwo tego zdarzenia, które zresztą opowiadało mi kilka osób poinformowanych i wiarogodnych.

Probierzem ich siły jest również naciąganie swych wielkich łuków. Koloniści, którzy byli z ks. Kominkiem w obozie Botokudów, przekonali się, że mogli naciągnąć cięciwę ledwie na połowę tej odległości, co Botokud, który naciągał ją aż do ramienia tej ręki, której palcami trzymał cięciwę.

Siła takiego strzału jest wielka, skoro z odległości 50 metrów może przebić nawylot krowę. O celności zaś świadczy fakt trafiania ptaków w locie, stwierdzony przez białych, oraz umiejętność trafienia we wskazane miejsce na ziemi przez wypuszczenie strzały do góry.

Ciężary noszą zwykle na taśmie, opierającej się na czole, tak np. noszą matki swoje dzieci, a co zabawne, że często dziecko jest na plecach, a przy piersi — szczenięta...

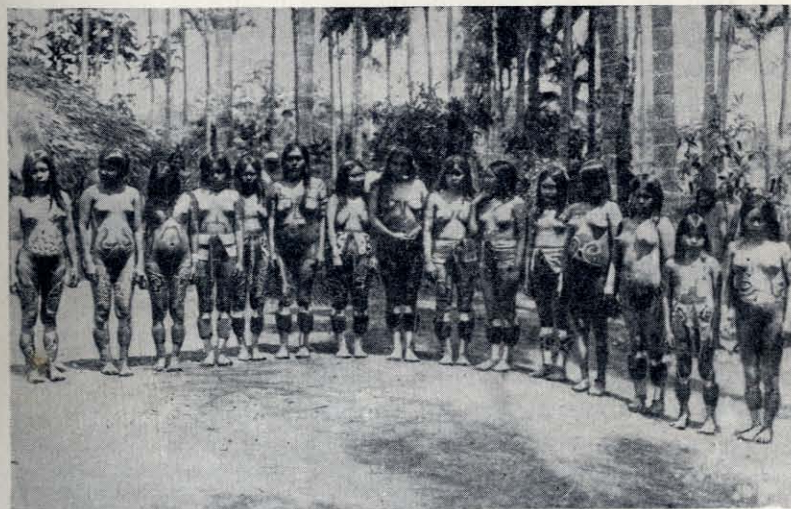
W podchodzeniu, śledzeniu i tropieniu są poprostu nieuchwytni: znają wszystkich kolonistów «z widzenia», gdy tymczasem żaden z nich Botokuda nie widział. Często biegną gęstemi zaroślami równoległe z jeźdźcem, jadącym drogą, ale gdy ten tymczasem się zatrzyma — śledzący staje natychmiast również i niepodobna go odkryć.

Jeden z kolonistów z pod góry Tayo (także «Itayo») spotkał koło chaty Botokuda i próbował z nim rozmawiać (obecnie panuje «pokój»), a gdy na chwilę odwrócił się — ten znikł poprostu jak duch.

Ponieważ «pinjong» (owoc pinjora) jest poważną pożywką w jadłospisie Botokuda — robią oni po niego wyprawy i tu znowu dowodzą swojej zręczności. Stają koło pnia i plotą linkę, obejmującą pień i ciało, następnie, odpychając się nogami i opierając na lince, wylazą na najwyższe drzewa. Podobno, dostrzeżeni na pinjorze, umieją uchwycić się jednej gałęzi, obłamać ją i spaść z nią tak umiejętnie w zarośla, że żadnej krzywdy sobie nie robią.

W charakterze mają mściwość i okrucieństwo, jakiego nie spotyka się u żadnego innego plemienia. W napadach swoich na kolonistów często łamali w kilku miejscach ofiarom maczugami ręce i nogi i pozostawiali okaleczonych, lub kładli w ognisko. Są jednak odważni i nie znają uniżoności, trafiającej się wśród innych plemion.

Język ich jest niezmiernie dziwny i przykry w brzmieniu, wygląda na bardzo niewykształcony i wobec swej prymitywności niebardzo daje się wyrazić literami łacińskimi. Mówią silnie przez nos, głosem zdławionym, z prawie zamkniętymi



FOT. GROFF

TATUOWANIE KOBIEC INDYJSKICH Z PLEMENIA COROADOÓW

ustami, co przypomina raczej jakieś mruczenie czy chrząkanie, niż język ludzki. Końcowy dźwięk słowa ciągną długo, co przypomina jakby dźwięk gongu. Typowym wyrazem, jeżeli chodzi o wymowę jest «to-ko-to-ng» — deszcz.

Kilka jeszcze poniższych wyrazów botokudzkich wziętych jest ze słownika, spisane przez niemieckiego doktora, wychowawcę porwanej córki kacyka, Korikry:

Niebo — Taéma.

Ranek — La-yn-ka-kutadégma.

Błyskawica — Todo-weddu-weddu-weddu-káama.

Owoc — Udedkonamá.

Świnia — Ugm.

Indjanin (Botokud człowiek) — Awejkoma.

Biały człowiek (Najeźdźca) — Ingme.

Tak — Dednoma.

Nie — Ndéya.

Precz — Tenglo.

Ja — Iháma.

Ty — Aháma.

Bać się — Augmomóngma.

Jeść — Iauma.

Patrz — Angnéma.

Śmierć (zabić) — Depinú.

Imiona nie są pozbawione pewnego wdzięku, przytaczam kilka z nich, według dokumentu chrztu, udzielonego im przez księdza Kominka:

«Pópò, Waicüri, Coracã, Crendò, Ndiri, Vanhêcü, Jácfa, Coricran, Cáesü, Coingang-cò, Schátagu, Mongconan, Cusugu».

Jako broń posiadają przede wszystkim łuki, broń kamienna jest już rzadkością, zarzucają również maczugi, które dały się nawet we znaki polskiemu osadnikom.

Maczuga ta z b. twardego drzewa była prawie wysokości człowieka; koniec trzymany w rękach był węższy i okrągły, następnie była coraz grubsza i kształt jej stawał się kanciasty, tworząc w przecięciu romb. Uderzając, starali się zadać cios kątem ostrym rombu. O ile wiem, jedna taka



FOT. GROFF

MALOWANIE SIĘ ODŚWIĘTNE INDJANEK-COROADEK Z PÓŁNOCY STANU PARANÁ

maczuga jest w Polsce: dostała się, za pośrednictwem X. Kominka, w posiadanie XX. Misjonarzy.

Cios takiej maczugi był straszny, dotychczas pokazując w domu Martinsów na Moemie (Itayopolis) głęboki ślad w futrynie od ciosu chybionego maczugi, przeznaczonego dla Martinsowej.

Łuki Botokudów są znacznie grubsze i większe, a strzały dłuższe, niż innych plemion z północy. Pochodzi to stąd, że nie znają oni zatrutowania strzał i muszą liczyć jedynie na siłę strzału. Drzewo na łuki biorą przeważnie z drzewa Ipé, strzały robią z trzciny, a cięciwę plotą z łyka drzewnego, innych łuków używają do bitwy, a innych do polowania (mniejszych).

Strzały są zazwyczaj trzech typów: zakończone tępym ciężarkiem z drzewa, służące tylko do ogłuszania np. ptaków, strzały z długim ostrzem drewnianym gładkim, lub ząbionym i strzały współczesne — z grotem żelaznym większym lub mniejszym. Z drugiej strony strzały są dwie chorągiewki (połówki) pióra, zazwyczaj jacú (dz. indyka).

Osobny typ strzał stanowią zatrute strzały z północy: mają one kawałek kości umocowanej na końcu strzały, w wydrążeniu zaś po szpiku umieszczona jest masa trująca, składająca się prawdopodobnie z kurary i jadu żmij.

Centrum «przemysłu» zatrutowania strzał znajduje się nad Amazonką, skąd rozchodzi się przez handel w inne strony. Zresztą obawiam się mocno, że zatrute strzały, dostające się do naszych «białych» rąk drogą różnych wymiennych operacji — nie są znów tak strasznie zatrute...

Jak wspominałem wyżej kilkakrotnie, Botokudzi z Itayopolis zapisali się w historii naszego osadnictwa. O nich też prawdopodobnie wspomina Konopnicka w «Panu Balcerze», gdyż — o ile można przypuszczać — teren akcji «Pana Balcera» znajduje się na Sandwegu pod Indayalem a blisko Blumenau (St. Catharina), drugiej z kolei — historycznie biorąc — kolonii polskiej w Brazylii.

Główne jednak walki odbyły się w municypjum Itayopolis, w pobliżu linii Moemy, od której obecny rezerwat indyjski już jest odległy o 3—4 dni drogi konnej. Z drugiej zaś strony ścierali się Botokudzi z Niemcami z kolonii Hammonji i innymi z mun. Blumenau.

Początkowo Botokudzi nie atakowali jakoś emigrantów. Z czasem jednak zaczęli objawiać swe niezadowolenie, robiąc różne znaki ostrzegawcze jak np. związywanie traw na ścieżce do wody lub składanie nakrzyż patyków. Zdarzało się też, że, podkradłszy się pod prymitywną chatę osadników, krzyczeli lub nawet trzęśli całą chatą, a wystraszone rodziny kolonistów płakały, nie wiedząc, jak się bronić. Nigdy jednak Botokudzi nie napadali w nocy.

Przyszła jednak następnie okres nieubłaganej wojny. Kto do niej dał początek — jak zwykle, — niewiadomo. Wzięli w niej jednak udział — ze strony białych — i Brazylijanie, i Niemcy, i nawet Polacy. Tworzyły się grupy «bugreiros», znających ich zwyczaje i tępiących ich bez miłosierdzia. Okrucieństwem odpowiadano na okrucieństwo, Indian odsuwano coraz dalej, kolonie się rozrastały, aż wreszcie uspokojono ich i umiejscowiono na niewielkiej względnie prze-

strzeni, gdzie zresztą szybko wymierają. Stało się to, jednak zaledwie kilka lat temu, dokonano tego nie wojną, lecz sprytem i energią jednego białego człowieka.

Człowiekiem tym był Eduardo Lima e Silva Hoerhann, zwany potem przez Indian «Catanghara» t. j. Pantera, z pochodzenia Niemiec, ale uważający się za Brazylijanina i nienawidzący Niemców. Jako student coś przeskrobał i włóczył się z miejsca na miejsce. Dowiedziawszy się, że rząd St. Cathariny chce utworzyć dwa «posto» ze świeckimi katechetami, zgłosił się i jakiś czas był na jednym z tych posterunków. Widząc jednak, że nie daje to żadnych wyników, że nawet kontaktu z Indianami nie nawiązano, spowodował zniesienie postów i samowtór z pomocnikiem swoim Indianinem z plemienia Coroadów, imieniem Preiê, udał się sam do nich. Schwytany, spędził u Botokudów w niewoli 3 straszne lata, wreszcie uzyskał wpływy i wreszcie stary kacyk Kurugu-Kambeczuje zrzekł się władzy na jego korzyść. Obecnie Eduardo — bo, zwyczajem brazylijskim, tak go nazywają wszyscy — uznany jest za «mansadora» i otrzymuje jaką taką pomoc ze strony rządu.



INDJANIE BRAZYLJSKY Z PLEMENIA CAYUAS.
Ziemia Św. Krzyża

Jednak te burzliwe przejścia nie pozostały bez wpływu na jego usposobienie: zdziwaczał, mimo że jest jeszcze młodym człowiekiem, kiedy wybierze się do miasta, robi dzikie awantury, nie wpuszcza też ostatnio nikogo obcego do obozu i zakopał się całkiem w tem życiu.

Praca jego wydaje owoce o tyle, że Botokudzi zaczęli się nieco zajmować uprawą małych poletek w lecie, niecierpią tak głodu i t. d., nie napadają też kolonistów, choć osiedla ich podchodzą tuż do granicy rezerwatu, o parę zaledwie kilometrów od «posto». Czują się jednak skrepowani i w razie śmierci «Catanghary» mogą się jeszcze raz zerwać. Jest i inne niebezpieczeństwo: ze strony niemieckiej czynione są ostatnio projekty usunięcia ich do dalszych rezerwatów i wcale nie jest wyłączone, że rozpęta to nową burzę, gdyż i tak Bugrzy czują się skrepowani w swej wolności koczowniczej. Siły ich jednak są teraz bardzo a bardzo niewielkie.

Ciekawe są niektóre wierzenia religijne plemion Tupi (lub «Tupy Guarany»).

A więc wierzą w istnienie dobrego boga, którego nazywają «Tupan». Istnieje tu pewne pokrewieństwo językowe z nazwą samego plemienia i przypuszczać można, że jest to reminiscencja jakiegoś legendarnego przodka wszystkich plemion Tupy, który stał się bogiem «narodowym». Jest to tem bardziej prawdopodobne, że nazwy poszczególnych plemion Tupy oznaczają stosunki pokrewieństwa, a więc: Tupys — znaczy wujowie, Tupymínós — siostrzeńcy, podobne znaczenia mają Tupynambás i Tupyniquins.

Znają też Tupisowie pojęcie szatana, który się nazywa Anhangá. Poza tem istnieją duchy dobre, pomagające wojownikom, «Macacheras», i złe, chwytające samotnie pozostawione dzieci — «Caapóras», a wreszcie «Curupiras», zajmujące się pułapkami na zwierzynę.

«Caapóra» przybierał zwykle postać chłopca i zamieszkiwał dziuple drzewne (małpy?) i nory pod wykrotami, skąd wyjeżdżał na tatetú (dzikiej świni).

Kto zobaczył «Caapóre», mógł być pewnym, że odtąd będzie go prześladował pech. Stąd też pochodzą wyrazy, uży-



FOT. A. LINZMEYER

MIESZKANIE NAPÓLCYWILIZOWANEGO INDIANINA ZE STANU PARANÁ

wane w języku brazylijskim «caipóra» i «caiporismo» — pech, pechowość.

Tupisowie mają pewne pojęcie o niebie, dokąd idą dusze dobrych; dusze zaś złych blakają się po ziemi, w postaci upiórów.

Istnieje też u nich rodzaj fetysyzmo-totemizmu; każde plemię, rodzina i osoba mają swoje «manitó», bądź wieszane przy wejściu do szałas, bądź noszone w postaci jakby szkaplerza. Są to kości pewnych zwierząt, ptaków, kamienie, kawałki drzew i t. p.

Posiadają wreszcie lub posiadali swoich kapłanów (caraibos) i pustelników, umartwiających ciało, a nawet sui generis misjonarzy (caraibebês). Kapłani ci byli — jak zazwyczaj — zarazem lekarzami.

Co trzy lata odbywało się wielkie święto «canim», podczas którego zabijano jeńców na ofiarę Tupanowi, a ciała ich zjadano. «Caraibebês» błogosławili podczas tej uroczystości młodych wojowników, zlewając na nich «ducha odwagi».

Małżeństwa zawierano zarówno w obrębie swego plemienia, jak przez porywanie kobiet z innych plemion. W Matto Grosso jest oryginalne zjawisko z tej dziedziny: u Indjan «Guaycurús», zwanych «Indjanie-kawalerzyści», kobiety plemienia mówią innym językiem, niż mężczyźni, rozumiejąc zresztą wzajemnie swoje narzecza. Wynikło to prawdopodobnie na skutek podboju i wytrzebienia wszystkich mężczyzn pobitego plemienia. Fakt ten, że kobieta mówi innym językiem, niż mężczyzna — jest niepozbowiony symbolizmu.

Poligamja istniała i istnieje u Indjan, posiadanie kilku żon zależy tylko od tego, czy kogo na to stać.

Grzebanie umarłych odbywa się z pewnym ceremonjałem: trup jest malowany i chowany razem z bronią, odbywa się rodzaj stypy i oplakiwania umarłego, a na grobie stawia się naczynia z jedzeniem, aby Anhangá — skuszony łakomstwem — zapomniał zrobić duszy zmarłego jakiegoś psikusa.

Osiedle («tabo») budowali zwykle w kształcie półokrągłym i ochraniali częstokołem, na środku płonął ogień.

Wodzowie byli obieralni, i autorytet ich ograniczał się do czasów wojennych.

Za jedną z największych sztuk rękodzielniczych uważane było wyrabianie kajaków («canoa-igará»).

Plemię Tupy, oprócz malowania, używało też tatuowania, czego Botokudzi nie umieją robić. Obecnie nawet te nieliczne odrębności etnograficzne Indjan giną w zetknięciu się z białą kolonizacją. Na niektórych kolonjach, jak Candido de Abreu, mającej spory procent Polaków, Indjanie nieraz dokuczają żebractwem, poznali «cachas»¹⁾ i przyjęli strój niby-europejski.

Raz nawet jakaś cnotliwa Niemka na tej kolonji odziała nagiego młodzieńca indyjskiego w swoją nocną koszulę, w której oczywiście wyglądał niemożliwie komicznie. O cywilizacji!

W drugiej połowie XVI-go stulecia powstały republiki teokratyczne a raczej «redukcje» jezuickie — klasztory, mające obszerną autonomję. Było ich do 30, głównie w Paraguaju

¹⁾ Wódka z trzciny cukrowej.

i na zachodzie Rio Gr. do Sul, o których wspominaliśmy wyżej, a które składały się właśnie z Indjan, prawie wyłącznie Tupisów (Guarany).

Ojcowie jezuici odegrali przytem piękną rolę, ponieważ z jednej strony nieśli cywilizację Indjanom, z drugiej strony nie chcieli być przednią strażą zaborców i sprzeciwiali się ostro niewolnictwu, decydując się nieraz na poważne zatargi z chciwą władzą świecką, potrzebującą rąk roboczych.

System katechizacyjny jezuitów był nadzwyczaj mądry i pedagogiczny: szli oni do Indjan z muzyką i piosnkami, ułożonemi we własnym języku Indjan.

Mniej szczęśliwe były pomysły owych socjalistycznych państw, być może jednak, że charakter Indjan wymagał takiego systemu, skoro z ich łona powstałe monarchje miały taki właśnie ustrój.

W Paranie istniał rodzaj takiej republiki teokratyczno-socjalistycznej pod nazwą «Prowincji Guayara» (z 13 «redukcji»), położonej — rzecz oryginalna — właśnie na zachodzie Parany, gdzie obecnie jest dziewicza puszcza, prawie niemoż-



FOT. X. KOMANDER

GRUPA NAPÓLCYWILIZOWANYCH INDJAN-COROADÓW, W STANIE PARANÁ



JEDYNE W SWOIM RODZAJU MAŁŻEŃSTWO:
POLAKA I INDJANKI-BOTOKUDKI, WYCHO-
WANEJ PRZEZ NIEMCA

nad rzeką Pirapo, São Francisco Xavier nad Tibagy, Nossa Senhora de Copacabana nad Piquiry, i São Ignacuo nad Paranapanemą.

Dziś — zostały z nich tylko ruiny. Od 1629—1632-go roku trwała walka «paulistów» pod wodzą Antonia Raposa i innych z temi oryginalnymi twórcami państwami. Wreszcie republiki upadły, Indianie zaś zostali rozprzedani. Część tylko ocalała i uciekła wdół rzeki Parany.

Redukcje były dobrze gospodarowane, a podstawą gospodarstwa i prawie jednostką płatniczą była herwa. Indianie znali herwę, ale żuli ją tylko i nie umieli konserwować; jezuici doprowadzili przyrządzenie herwy do perfekcji, a na-

liwa do przebycia. Nie pozostało nawet żadnych arterij komunikacyjnych, łączących miasta owej prowincji z obecnie zaludnionymi połaciami.

A istniało przecie kilka sporych miasteczek, fortów i kościołów: naj słynniejsza Villa Rica (Bogate Miasto) nad środkowym brzegiem Ivuhy, dokąd się dziś może dostać tylko bardzo śmiały podróżnik, Outiveros — nad rzeką Parana, na północ od wodospadu Salto de Sete Quedas, Ciudad Real de Guayara o kilkanaście kilometrów od rzeki Parany na wschód, Santa Maria przy ujściu Iguassú do Parany (Fow do Iguassú), Nossa Senhora do Loreto

wet znali sposób jej sadzenia z nasion, ale trzymali go w sekrecie tak, że do dziś to się nie udaje. Podobno dawali nasiona herwy papugom i dopiero po przejściu przez przewód pokarmowy ptaków, zmiękczała się twarda otoczka nasienia i mogła być sadzona w ziemię. Konkurencja władz świeckich paragwajskich z jezuitami o herwę była powodem wielu szykan ze strony pierwszych i doprowadziła wreszcie — po handlu 7-oma redukcjami stanu Rio Grande między rządami — do upadku całej struktury, przymusowej imigracji Indian i t.d. Obecnie tylko wspaniałe ruiny świadczą, na jak wielką skalę było to zakrojone i jak sprężysta była organizacja redukcji.

Oczywiście działanie na prymitywną psychikę Indian było również prymitywne, tak więc np. w S. Miguel widziałem drewnianą figurę M. Boskiej, której prawa ręka osadzona była w ten sposób, że mogła się podnosić jakby do błogosławieństwa. Śmiały pomysł — trzeba przyznać.

Nie można jednak widocznie było stworzyć z nich dość pokażnej armji roboczej, skoro zaczęto przywozić murzynów-niewolników z Afryki.

Dziś proces mieszania się tych trzech tak odmiennych ras postępuje szybko naprzód, metysów jednak mniej się dostrzega, niż mulatów, zwłaszcza na południu.



FOT. J. O.

RUINY KOŚCIOŁA JEZUICKIEGO W ST. MIGUEL (RIO GRANDE DO SUL), Z CZASÓW
TEOKRATYCZNYCH REPUBLIK KATOLICKICH
WŚRÓD INDIAN

Najlichniesi są metysi w stanie Ceará, gdzie Indjanie byli wygrywani przez walczących ze sobą białych: Holendrów, Francuzów i Portugalczyków. Metysi ci są bardzo mnożni, a uciekając ze swej pustynnej ojczyzny — tworzą wewnętrzną emigrację dla północy Brazylii, która europejskiej emigracji — nie otrzymała.

Czy postęp cywilizacji wchłonie pozostałych jeszcze we względnej wolności Indjan, a następnie czy Brazylijanie zdołają stworzyć jakiś amalgamat z tych obcych sobie ras i wreszcie czy amalgamat ten będzie pożyteczny, czy też obniży jeszcze genjusz rasy białej — trudno przewidzieć.

«Inferno Verde» dopiero ząbkuje w dziedzinie cywilizacji i ma jeszcze przed sobą długą i ciekawą historję.



FOT. WEISS

TYPOWO SMUTNY KRAJOBRAZ POLUDNIA BRAZYLJI. W GŁĘBI — PINJORY ROSNĄCE «SCHODAMI», BLIŻEJ — GRUNTOWA DROGA, NIEDAWNO PRZEBITA. (SERRA DO ESPERANCA, DROGA DO CRUZ MACHADO).

X. INTERIOR. KOŃ.

«Interior» — dosłownie — «wnętrze» ma to znaczenie mniej więcej, co u nas wyraz «prowincja». Jest to jednak na tutejszym gruncie określenie o tyle szerokie, że interiorem nazywa się równie dobrze, względnie gęsto zaludnione, okolice wschodu Parany, jak jej prawie pusty zachód. Stopień «interioru» mierzyć możnaby jego odległością od centrów i kolei: dzień, dwa, 3, lub 4 jazdy konnej, oraz stanem dróg.

Interior bliższy miast traci swoje cechy charakterystyczne, zabobony, samosady i stroje, interior zaś dalszy przedstawia nieraz stosunki zupełnie prymitywne, prawie — obozowe.

Ów interior bliższy jest mocno nieciekawym: wąskie drogi, wijące się wśród szarego krajobrazu, od czasu do czasu «venda» (sklep — karczma), parę bezstylowych domków i kryte «corrossy» tłukące się z grzechotem dzwonków — oto wszystko.

Ani na domach, ani na ludziach nie widać najmniejszej patynki tradycji czy romantyzmu, wszystko tu się do rabia i gorączkowo dostraja do miasta.

Nie mając żadnych uroków, ów bliski interior pozbawiony jest też wygód miasta, a zwłaszcza kiedy przeraźliwe, fatalne błoto zapanuje i więzi nogi oraz koła — marzy się poprostu o tem, aby stanąć na twardych kamieniach miasta. Miasto odczuwa się wówczas, jako uwolnienie od wszechwładnego błota.

Zarówno jednak w bliższym, jak dalszym interiorze istotą, która odgrywa poważną rolę — jest koń. I kto nie ma pociągu do konia — nie potrafi zrozumieć interioru i nie znajdzie w nim literalnie nic.



FOT. WEISS

WODOSPAD NA RIO DOS PATOS. (BARÃO RIO BRANCO). NA DRUGIEJ
STRONIE — PINJORY

Koń brazylijski pochodzi — jak wiadomo — z Europy; dzikich koni w Ameryce nie było. Przodkiem jego był koń andaluzyjski, jeden z najszlachetniejszych w Europie, mający przeważającą część gorącej krwi orjentalnej.

Pod wpływem niewdzięcznego dla koni klimatu i nieracjonalnej hodowli zmarniał niezmiernie, jednak kształtne naogół łebki i suche pęciny, nawet u dość marnych szkapia, świadczą o szlachetnym pochodzeniu.

Obecny koń brazylijski ma pokrój żrebaka ze zbyt rozepchanym — paszą ilościową — brzuchem. Maść przeważa jasna, bułana (może wpływ «izabelowatej» maści, częstej u andaluzów).

Zmarniały wygląd przypisać należy — jak wspomniałem — nieracjonalnej hodowli, a raczej brakowi wszelkiej hodowli. Właściciel t. z. fazendy ogradza koleczastym drutem ogromne granice swej posiadłości, gdzie znajdują się lasy pinjorowe i hervale, na drogach półpublicznych a półprywatnych stawia bramy («portão») i wpuszcza do środka pewną ilość bydła oraz koni, i nie troszczy się zupełnie o swój inwentarz poza tem, że co jakiś czas urządza «znaczenie» t. j. wypalanie żelazem znaków.

Pozostawione sobie zwierzęta dziczej, a człowieka znają tylko z owego «znaczenia», co oczywiście nie łączy się w ich umyśle z wrażeniami zbyt przyjemnymi.

Również ich stan zdrowotny w tych warunkach cierpi ogromnie: żarte przez tysiączne pasorzyty, podległe częstym zmianom pogody, a zwłaszcza długotrwałym deszczom i ograniczone tylko do marnej paszy zielonej — ani nie rozwijają się dostatecznie, ani nie cieszą się zbyt silnem zdrowiem. (Intensywne żywienie konia opiera się tu na kukurydzy, zastępującej owies).

Dodać też należy, że nie wszyscy fazenderzy troszczą się dostatecznie o odseparowanie ogierów, wskutek czego następuje wycieńczenie się ich i pokrywanie w nieodpowiedniej, zbyt zbliżonej pokrewieństwem krzyżówce.

Od czasu do czasu fazender spędza część stada (zwykle w R. Gr. d. S.) i ową «trope» wysyła na sprzedaż, pod strażą



FOT. WEISS

NA TLE SPOREGO WODOSPADU, ORYGINALNY TYP BRAZYLJSKI: T. Z. «CURANDEIRO» CZYLI ZNACHOR I WIESZCZBIARZ. PODOBNE TYPY WYKRYWAJĄ CZĘSTO PODZIEMNĄ WODĘ ZAPOMOCĄ «RÓŻDŹKI»

kilku ludzi. Koń z tropy kosztuje niedrogo — (od 100 do 200 mrs.) i czasem trafi się niezły okaz.

Jednak amator-kupiec musi poświęcić dużo troski, zanim doprowadzi go do normy, obłaskawi i ujeździ dostatecznie.

«Mansowanie» czyli obłaskawianie na sposób brazylijski różni się zupełnie od tego, co w Europie się przez to rozumie. W Europie hodowca i jeździec stara się wzbudzić u konia zaufanie do siebie i spokojne posłuszeństwo konia, w Brazylii chodzi o — zastraszenie.

Konia, schwytanego na lasso, czy zapędzonego w jakiś kąt — nieco się przydusza i unieruchamia.

Drugim aktem jest osiodłanie go specjalnem siodłem, związanie dolnej szczęki rzemieniem (bez wędzidla) i dosiadananie przez specjalistę «mansadora», który często istotnie dokonywa cudów odwagi i zręczności.

«Mansador» ów obejmuje konia całemi nogami i znowu bije, co wlezie, ściągając zarazem i szarpiąc rzemień.

Po paru, a czasem nawet jednej takiej próbie koń jest dostatecznie zastraszony, a więc — umansowany. To też na każde poprawienie się na siodle lub nagły ruch reaguje nerwowym skokiem. Ujeżdżanie jest, ale o prawidłowym wyjeźdżeniu takiego konia trudno mówić; trzeba by naprzed odrobić wszystko, co zdołano z nim zrobić do tej pory.

Niema mowy, aby koń tak potraktowany uważał wędzidło za punkt oparcia przy skoku, lub potknięciu się: ponieważ używa się tylko mundsztuków i to ogromnej nieraz wielkości, koń uważa je tylko za hamulec i karę. Przeniesienie «ramienia siły» z nóg przednich na tylne za pośrednictwem wodzy i rąk jeźdźcy i podtrzymanie przodu, co jest jedną z podstawowych zasad europejskiej szkoły — tu nie ma miejsca.

Niema też marzenia, aby jeździec mógł piętą lub ostrogą odrzucić zad konia bądź przy galopie z jednej nogi, bądź przy trawersowaniu — pięta i ostroga to znowu tylko kara dla tego konia. Zaś punkt oparcia kolan i działanie łydek są zupełnie wyłączone wobec struktury siodła.

Siodło brazylijskie zachowało się prawdopodobnie w nie-



FOT. WEISS

DROGA ŚWIEŻO PRZECIĘTA PRZEZ LAS. (DUŻA ILOŚĆ MOSTKÓW — WYWOŁANA LICZNEMI W BRAZYLII POTOCZKAMI). IRATY — ITAPARA

zmienionej, lub mało zmienionej formie od czasów «conquistadorskich», a nawet rycerskiego średniowiecza. Jest ono niezmiernie długie i oczywiście zupełnie nieelastyczne; grzbiet koński w tym pancerzu jest unieruchomiony na znacznej długości i traci wszelką giętkość. Popręguje się dwoma popręgami, z których tylny ściska brzuch, nie pozwalając koniowi oddychać prawidłowo — jeżeli jest zaciągnięty silnie. Jeżeli zaś spopręgowany jest słabo (co się widzi bardzo często) — obciera konia i nie daje pewności siodłu.

Wysokie łęki siodła pochylone są silnie do środka, uniemożliwiając jeźdźcowi prawidłową pozycję, wskutek czego następuje wsiad «widłowy». Na siodło to kładzie się jedną lub kilka skór baranich — «peleg» (barwionych na czerwono lub żółto), wskutek czego jeździec siada szeroko, otwierając stopy nazewnątrz i tracąc nawet ten punkt oparcia, jakim jest trójkąt, utworzony z kości siedzeniowych i kości ogonowej przy wsiadzie prawidłowym. Kolana również są rozwarte i nie trzymają się konia, a łydki nie czują konia poprzez grube pelegi.

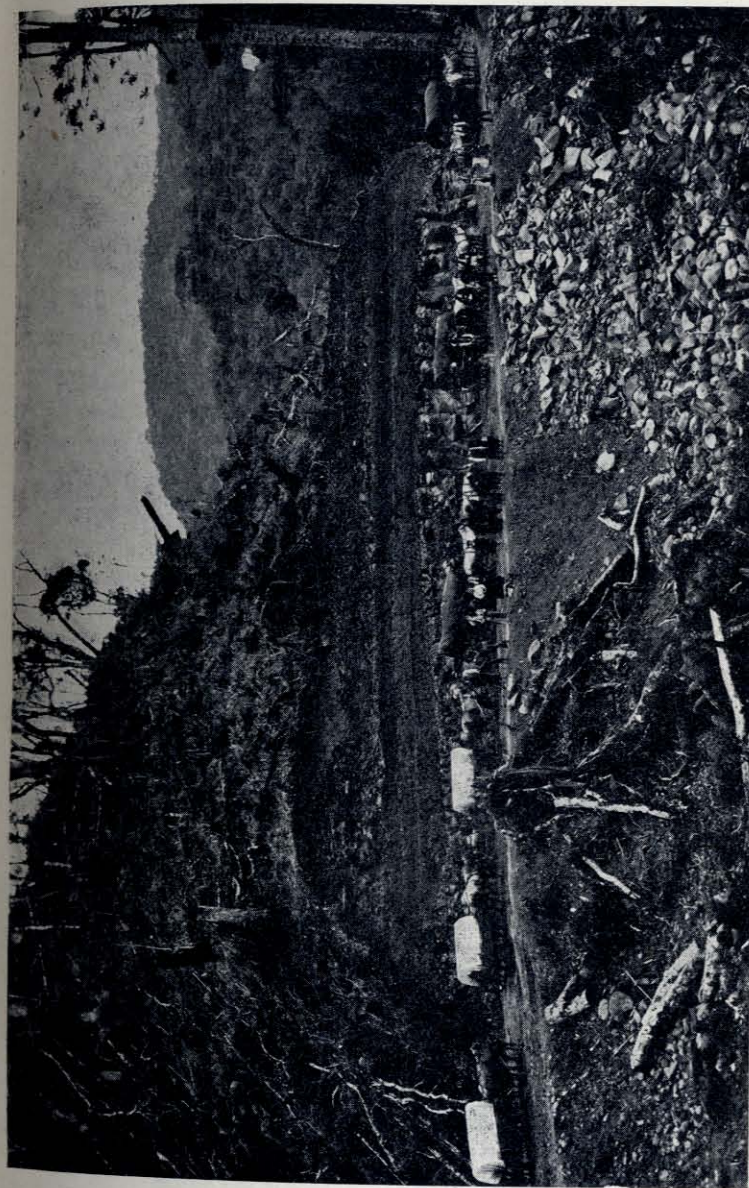
Jeżeli czem mógłby się trzymać tak siedzący jeździec — to chyba piętami, gdyby te nie były zaopatrzone w olbrzymie ostrogi.

Oczywiście o anglezowaniu w tych warunkach niema mowy, ale też nie jest to potrzebne, wobec nowego zjawiska, wywołanego przez mundsztuk. Polega ono na ściągnięciu pyska końskiego i zmuszeniu konia do drobnego przebiegania nogami, przyczem każda noga staje oddzielnie. Nadaje to ciału konia drobny i częsty ruch, który pozwala jeźdźcowi nie odrywać siedzenia od siodła. Oczywiście, może to być wygodne dla jeźdźcy, ale męczy konia i wygląda bardzo nieładnie. Poza tem koń tak nauczony nigdy nie potrafi rozpuścić nóg w klusie, wyrzucając je daleko do przodu.

Koń taki nazywa się «marchador», a jego allury — «marcha trotiada» i «marcha galopiada». Marcha trotiada — co do szybkości posuwania się — leży między stępem i klusem, a galopiada — między klusem i galopem. Przypomina to nieco nasze konie, chodzące «skrocza» (ale nie t. z. «inochodźce»).

Cały ten system — jak widzimy — jest zaprzeczeniem wszystkiego, co do tej pory zostało wypracowane w sztuce hipicznej; z drugiej strony koń w Brazylii jest używany pod wierzch znacznie więcej, niż w Europie. W niedzielę, koło kościoła, widzi się dziesiątki osiodłanych koni, ba! widzi się kobiety na specjalnych siodłach z balustradką (często pod parasolem i z dzieckiem na ręku). Zresztą odległość i stan dróg, które często nie pozwalają na przejazd wozu, zmuszają wprost do jazdy wierzchem.

Długi czas nie mogłem pogodzić tych dwóch pozornych sprzeczności: powszechności jazdy wierzchem i jej niedoskonałości (rozumując, że dobre wyczyny opierają się właśnie na powszechności jakiegoś sportu), dopóki nie zrozumiałem, że właśnie te dwa zjawiska są ze sobą ściśle związane. Powszechność używania konia pod wierzch musiała wywołać ustalenie się systemu, który pozwoliłby każdemu, bez specjalnych zdolności i nauki, odbyć konieczną podróż wierzchem. Na brazylijskiego konia i brazylijskie siodło może się od-



Ziemia Św. Krzyża

FOT. WEISS
PO ŚWIEŻO PRZEBITEJ DRODZE CIĄGNIE TABOR EMIGRANTÓW DO KOLONJI CRUZ-MACHADO (ZNACZY TO
W TLUM. «KRZYŻ-SIEKIERA»)



FOT. J. O.

ZAPRZĄG WOŁÓW PRZY DWUKÓLCE, KRYTEJ LUBEM, W STANIE RIO GRANDE. (POPEŁDZA WOŁY I KIERUJE NIEMI ZAPOMOCĄ PIKI JADĄCY ZWYKLE OBOK KONNY)

razu każdy, nie mający o jeździe konnej pojęcia i jakoś tam pojedzie.

Jest i druga przyczyna: umiejętność «zażycia» konia niezbędna jest na stepie, gdzie w każdym kierunku można i trzeba się poruszać, napotykając przeszkody, które wymagają dobrej jazdy.

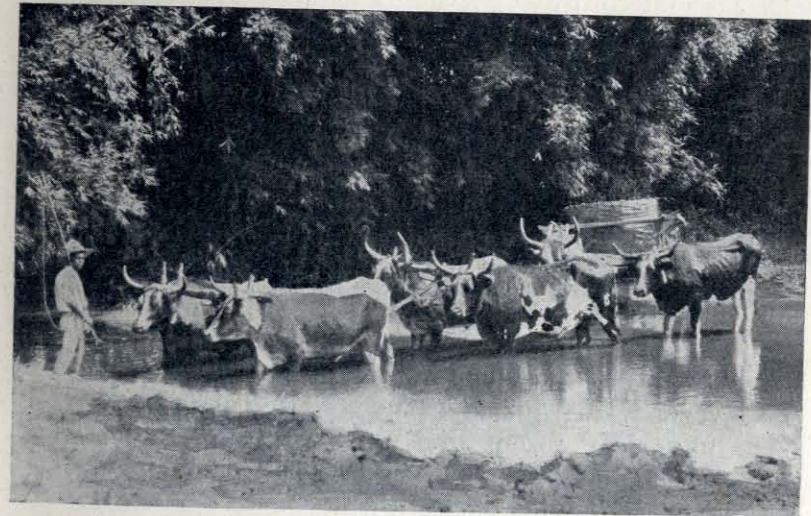
W Brazylii zaś konno można się puszczać tylko po drodze, gdzie umiejętność ta nie jest niezbędna. I wreszcie to, że dalekie podróże skłaniają do obrania możliwie najwygodniejszego systemu; np. «pelegi» są odrazu posłaniem w dalszej drodze.

Dziwić się można tylko temu, że w sferach zamożniejszych oraz w armii nie powstało zamiłowanie i dążenie do osiągnięcia doskonałej jazdy. Gdyż mimo dość licznej klasy zamożnej w Brazylii, jeździec cywilny jest rzadkością, a kawalerja jeździ bardzo źle: galopowanie po bruku z wyciągnię-

temi do przodu nogami, padanie na asfalcie z koniem lub spadanie z konia i nieumiejętność poruszania się w szyku — jest zjawiskiem powszechnym. Zdarza się nawet, że podczas reprezentacyjnej defilady oficer spada z konia na równym terenie, lub jeźdźni od armaty splączą swoje pary; padanie zaś żołnierzy z uroczystej eskorty na bruku obserwuje się do prawdy zbyt często.

To ostatnie zrozumiałe jest wobec tego, że ani koń ani jeździec nie są przyzwyczajeni do znajdowania lub dawania oparcia w wędzidle. Nieumiejętność zaś formowania szyków wynika bezpośrednio z nieumiejętności używania łydek i pięt. Zamiłowanie do pewnej okazałości i pompy wyraziło się w dziedzinie konnej jazdy tem, że rząd koński w interiorze jest zazwyczaj bardzo bogato zdobiony, nabijany białym metalem lub nawet srebrem. Również baty i szpicruty są ozdobne i nieraz istotnie ładne.

Sklepy rymarskie są najbardziej ciekawe i «egzotyczne»; nie tylko spotyka się tam najróżniejsze przybory do jazdy konnej, ale też skóry zwierząt, lassa, pelegi i t. p. Często spotyka się



ZAPRZĄG WOŁÓW PRZY WOZIE DWUKÓLOWYM, TYPOWYM DLA BRAZYLII, PRÓCZ STANÓW ZAMIESZKANYCH PRZEZ POLAKÓW

piękne uzdeczki, całe plecione na kant z drobnych rzemyków lub znowu białe, ze skóry anty (tapira). Mundsztuki, ostrogi, strzemiona i same lęki, siodła są nieraz aż przeładowane ozdobami. Wykazuje to jednak pewne zamiłowanie w tym zakresie i gdyby władze rozwinęły bacniejszą opiekę nad hodowlą i poparły tak bardzo wychowawczy sport konny, możnaby mieć nadzieję osiągnięcia pięknych rezultatów.

Jak dotychczas, jedynie w Rio Grande do Sul sprawa przedstawia się lepiej, dzięki rozwiniętej hodowli, dużym obszarom stepowym i wpływowi bliskiej Argentyny. To też «gaucha» (pastuch riograndeński) lepiej się prezentuje na koniu, w swych wysokich butach, niż «caboclo» w długich spodniach i miejskich trzewikach lub chodakach.

Argentyna bije do tej pory Brazylię na turfie: rozgrywki «polo» dają kompromitujące nieraz rezultaty dla tej ostatniej (np. 21:1).

Po miastach istnieją naprawdę Jockey-Cluby, ale biegów dżentelmeńskich niema, jeżdżą tylko dżokeje. Wyścigi zaś «interiorowe» — caboclerskie są zjawiskiem zupełnie specyficznym i nie przyczyniają się ani do wyrobienia prawidłowej jazdy, ani do selekcji koni. Tor jest niesłychanie krótki — około 100 metrów lub nawet mniej. Na tej przestrzeni są dwie ścieżki, gdyż w biegu tym biorą udział tylko dwa konie naraz. Cały dowcip polega na szybkim startowaniu i raczej denerwuje konia, niż wyrabia, zwłaszcza, że hałas i strzelanina ogłupia go zupełnie. Wszystko to razem nie jest pozbawione swoistego kolorytu, jeżeli jednak chodzi o wartość sportową — nie można się systemem tym zachwycić. Większą rolę odgrywa tu hazard licznych i wysokich zakładów, a następnie handel, niż zamiłowanie w samej sztuce.

W zaprzęgu widzi się konia w «carossie», zwykle po sześć lub osiem razem, lub w małym wózku krakowskim, rozpowszechnionym tu przez naszych kolonistów, (ale nie w «drabiniastym», jak gdzieś o tem pisano). Dawniejsza dwukołowa «arba» spotyka się tylko w Rio Grande (lub na północy Brazylii) i to zaprzężona w woły.

Koń odgrywa też często specyficzną rolę w «tropie» mułów, mianowicie t. z. «madrinhi» t. j. mateczki. Taka «madrinha» trzyma się blisko ludzi i nie oddala się, kiedy się na noclegu puszcza wszystkie zwierzęta luzem; madrinhi zaś trzyma się reszty tropy czy zaprzęgu. Madrinha ma zwykle zawieszony na szyi dzwonek, po którego głosie odszukuje się rano całe stado.

Szukanie to nieraz się nie udaje, a wtedy... no, cóż? — «paciencia!» jeden dzień podróży stracony, pojedzie się na-
zajutrz, i koniec.

Skoro wspomnieliśmy o mułach, to musimy tu zaznaczyć, że muł nie tylko nie jest tu niżej ceniony od konia, ale nawet wyżej; wyraża się to także w cenie.

Maść mułów waha się silnie od prawie karego do jasno bułanego, który jest zresztą najczęstszy. Wzrost przeważnie niski, znacznie niższy od konia.



FOT. J. O.
TYPOWY WIERZCHOWIEC I SIODŁO «INTERIORU» (Z CHWILĄ, GDY LEJCE
LUB POWÓD LEŻĄ NA ZIEMI — KOŃ «UWAŻA SIĘ ZA PRZYWIĄZANEGO»
I STOI SPOKOJNIE)



FOT. GROFF. KURYTYBA
TYPOWY POSTÓJ KONI WIERZCHOWYCH
PRZED «VENDĄ» T.J. SKLEPEM-KARCZMĄ

Muł do dalekich podróży jest niezastąpiony: je dwa razy mniej, niż koń, a robi dwa razy więcej; taka jest o nim powszechna opinia. Istotnie podziwiać można, ile siły kryje się w tych sarnich nóżkach. Nieoceniony jest na drogach trochę niepewnych, śliskich, górzystych i t. p., gdyż również ostrożność jego jest zadziwiająca: nim wejdzie na trudne przejście, przyjrzy mu się dokładnie, zniżając łeb do ziemi, a następnie krok za krokiem, uważnie przejdzie. Jeżeli idzie z jukami na t. z. «cangaje» (specjalnem siodle), to oceni zawsze, czy przejście nie jest za wąskie dla niego i dla juków. Ciekawe jest widzieć całą «tropeę» jucznych mułów, które rozważnie wybierają najlepszą drogę i nawet skoro jeden przejdzie — inny nie pójdzie bezmyślnie jego śladem, lecz często nawet wybierze inną drogę, lepszą. To też «tropeiro» jedzie spokojnie ztyłu, zostawiając im samodzielność. A już jadąc na mule w nocy, lub trudnem miejscu — najlepiej puścić mu lejce i dać zupełną swobodę.

Często setki kilometrów idzie muł z dwoma koszami na swem prymitywnem siodle, z kawą czy kukurydzą, i jest istotnie doskonałym środkiem transportu tam, gdzie inny jest nie do pomyslenia.

Zato charakter ma bardzo nieprzyjemny: jest uparty, kapryśny i wyraźnie złośliwy. Potrafi się nieraz przestraszyć — wtedy, gdy mu to właśnie jest wygodnie, zrzuci jeźdźca i połamać siodło, ale nigdy przytem nic sobie nie robi. Potrafi

kopnąć nagle i bez wyraźnej przyczyny swego pana, lub uciec na postoju o kilka kilometrów. Nigdy też nie dorówna wiernemu koniowi, który — gdy pan spadnie, a lejce zwisną (są one rozdzielone i opatrzone ciężarkami) — staje natychmiast i nie rusza się z miejsca.

Jeźdźcem, dosiadającym owego muła czy konia, jest «caboclo». Pod nazwą «caboclo» lub «kabukier» (z polską rozumie się Brazylijanina (najczęściej ze sporą domieszką krwi ciemnej), mieszkańca dość zapadłej prowincji — «interioru»). Caboclo jest wyraźnym i zdecydowanym typem: [ma swój żargon, swoje zwyczaje, ubranie i sposób życia.

Władysław Fedorowicz, autor zbioru opowiadań p. t. «Z biegiem rzeki Tocantins», znawca życia brazylijskiego, tak charakteryzuje cabocla: «... kabokl to średniego wzrostu mężczyzna, chudy, o ciemnej, brunatnej cerze. Włosy ma czarne, twarde, oczy przenikliwe, bystre, w spojrzeniu łagodne, często nieufne. Kabokl chodzi boso lub w sandałach, stąpa cicho, przezornie.

Nie entuzjazmuje się niczem, apatyczny, mówi spokojnie, wolno, półgłosem, jest dyskretny i zrezygnowany.

Obcy wygórowanym ambicjom, nie dba o majątek i nie zużywa się przy pracy; lubi ciszę i spokój przyrody, której wybryki znosi z zadróści godnym stoicyzmem. Zabobonny, wierzy we wszystko potrosze».

Główną cechą charakterystyczną kabokla jest



FOT. WEISS. KURYTYBA
NIEMIEC KOLONISTA Z «INTERIORU» NA
MULE, W «PALLI» T.J. CHUŚCIE Z DZIURĄ
NA GŁOWĘ, ODGRYWAJĄCEJ ROLĘ PŁASZCZA

jego apatja, jakiś nieokreślony smutek, który patrzy mu z oczu, jakgdyby patrzyły stamtąd niewypowiedziane skargi ras podbitych i niewolniczych, połączonych w jednym osobniku z rasą zwycięzców.

Apatja ta w znacznej mierze wynika ze złego odżywiania się i niehigienicznych warunków życia, ale przede wszystkim wywołana jest powszechną chorobą anchylostomy, która wyniszcza organizm ogromnie.

Wskutek tej apatji, caboclo nie stara się o polepszenie swych warunków życiowych: mieszka w byle jak sklejonej chacie, która jest prawie szałasem, sady zaledwie kilka metrów kwadratowych kukurydzy, a za cały inwentarz ma kilka kur i zdziczałych prosiąt.

Nie jest jednak caboclo pozbawiony pewnej subtelnej ironji w stosunku do mieszczuchów i cudzoziemców. Tak np. dwóch Włochów nabiera cabocla, że we Włoszech są auta, które przez błoto — skaczą. Caboclo powiada na to, że to istotnie bardzo dziwne, ale jego sąsiad ma b. inteligentnego muła. Kiedyś w nocy, jadąc na nim, przyjechał nad błoto; muł zobaczył je i stanął; jeździec zaś, nie widząc, kłuf go ostrogami i popędzał. Wreszcie znecierpliwiony muł odwraca głowę i powiada: «Cóżto? myślisz, że ja jestem autem Włochów?»

Jego pozycja życiowa bywa różna: albo siedzi na swojej ziemi, otrzymanej z podziału dużej rodziny, albo całą rodziną włada danym obszarem, albo jest rodzajem służącego — wasala większego fazendera.

Zdarza się też czasami, ale to już znacznie głębiej w lasach, że caboclo siedzi w lesie, czy na jakiejś «capoerze» (lasek, zasiewający się na miejscu spalonej «rossy»), nie wiedząc nawet, do kogo należy ta ziemia.

Wnętrze jego chaty uraga najprostszym wymaganiom już nie tylko higieny, ale wygody: jakiś tapczan, pokryty brudnawymi szmatami, kociołek, parę skór baranich i oto wszystko. On sam jest brudny i chudy, tak samo chude są jego dzieci, chudy jest jego pies i chudy koń.

W zimie marznie w swojej źle zaopatrzonej chacie, albo



FOT. J. O.

TYPOWY RZĄD JUCZNYCH MUŁÓW

siedzi przy dymiącym ognisku, a rano niewyspany — wylega na słońce i nawpół drzemie.

Ubrany jest zwykle w jakąś koszulę z deseniem w kratkę, długie spodnie i chodaki na bosą nogę; na szyi ma czarną lub czerwoną chustkę, za pasem mniejszy lub większy nóż, na głowie czarny kapelusz typu kolonjalnego i wreszcie w zimny czas narzuca «poncho» lub «pallę». Palla jest to prostokątny kawał materji, zazwyczaj obszyty frendzlą ze szparą w środku — na głowę. Jest to palto, kołdra lub koc, zależnie od potrzeby, i nie można powiedzieć, aby było to niepraktyczne. No a poza tem daje przecie możliwość pięknego drapowania się lub odrzucania fałd, co tak leży we krwi ras łacińskich.

Palla używana jest jednak bardziej w Rio Grande do Sul i — jeśli się nie mylę, w Argentynie. W Hiszpanji noszą ją nawet żołnierze.

Więcej w użyciu jest «poncho» t.j. peleryna siwego koloru, sięgająca do pięt, którą można zakryć także konia i siodło. Tendencją b. zdecydowaną jest jednak upodobnienie się w stroju

do «miejskości», co wygląda niesmacznie. W każdym zaś razie o «malowniczości» stroju kaboklerskiego trudno mówić, wygląda on raczej jak podmiejski oberwus.

Kiedy caboclo idzie w las, lub wybiera się w dalszą drogę — bierze «fakon» t. j. szeroki nóż w pochwie, służący do przecinania sobie «picady» — ścieżki, łupania drew na ogień i t. p.

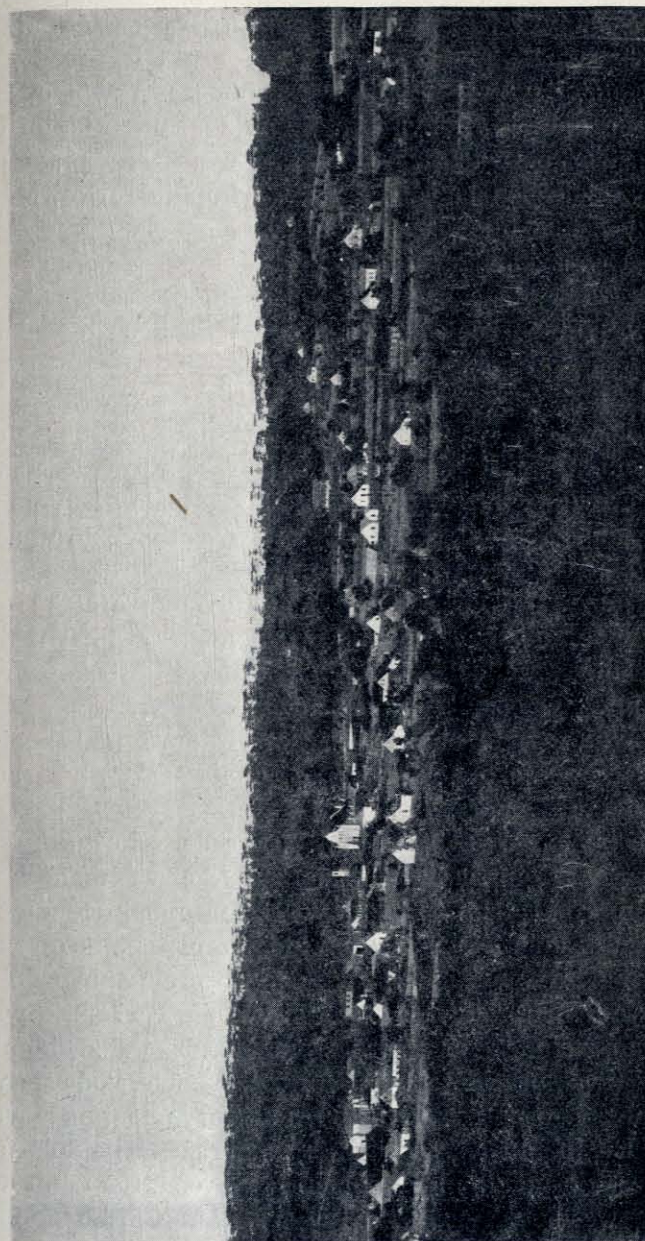
Nieco zamożniejsi lub młodszy, a więc pretensjonalniejsi «cabocle» mają na wybijanym pasie pochwę a w niej rewolwer bębinkowy, z przesadnie nieraz długą lufą. Kiedy czasy są niespokojne, znajdzie się i winchesterek przy siodle.

Młody zawadjaka, którego siodło aż błyszczy się od niklu, a fakon i «Schmidt» siedzą w ozdobnych pochwach — nazywa się «valentão» t. j. waleczny. Często zuchowatość wyraża się tylko w samym wyglądzie, często zaś typ taki — zwłaszcza po kilku kieliszkach «cachasu» — sprząta czło-



FOT. WEISS

POCZĄTEK KOLONJI: LAS PRZETRZEBIONY, ROZPOCZYNA SIĘ UPRAWA
(KOLONJA CRUZ MACHADO, PRZEWAŻNIE POLSKA)



FOT. A. LINZMAYER

SZYBKO ROZWIJAJĄCA SIĘ KOLONJA WŚRÓD LASÓW (YPIRANGA, PARANÁ)

wieka bez żenady, zwłaszcza, jeśli mu się wyda, że dotknął jego honoru.

Szczególniej typy takie mnożą się podczas rewolucji. Pewien komisarz policji, Brazylijanin, opowiadał mi o takim wypadku: miasteczko zostaje zajęte przez «wojska rewolucyjne». «Do wendy» zajeżdża taki «valentão» i kupuje rewolwer.

— Czy celnie bije? — pyta kupca.

Kupiec go zapewnia, że tak.

— Nie zdaje mi się jakoś — mówi klient — ale zaraz zobaczymy, wyjdę na ulicę i spróbuję: jeżeli trafię człowieka — kupuję, jeśli nie trafię — nie kupię.

Wyszedł, strzelił, trafił i zapłacił.

Oczywiście, niekażdy spotkany w interiorze uzbrojony caboclo na koniu jest taki krwiożerczy, jest to raczej wyjątek, niż правило, ale wyjątki z taką «fantazją» istnieją.

Inny, jadąc konno, spotkał swego wroga nieuzbrojonego, nie zabił go jednak, tylko kazał mu klęknąć na dosyć uczęszczanej drodze i prosić o życie w dyktowanej oracji.

Ten żywioł, niezwiązany silnie z ziemią, jest doskonałym materiałem dla wszelkich ruchawek, których ostrze zwraca się często przeciw osiadłym «estrangeiros».

Koczowniczość ta powoduje częsty dosyć fakt znajdowania w lesie opuszczonych «rancho» (chata, szałas) lub «paio-lów» — stodoł.

Żyje caboclo głównie fiżonem z «szarką» («Xarque» — suszone mięso) i ryżem, za napój zaś używa herwa - maté w postaci t. z. szimaronu («chimarão»). Do «szimaronu, bierze się zieloną herwę, ususzoną i startą, i wsypuje się prawie pełno do «kui» (t. j. naczynia z tykwy, nieraz okutego srebrem lub ozdobionego malowidłem) i zalewa się gorącą wodą. Następnie wstawia się rurkę, zakończoną dziurkowaną łyżeczką, t. z. «bombę» i ciągnie się ową gorącą esencję. W kilku łykach wodę się wypija i oddaje się gospodarzowi naczynie, który napełnia je wodą i oddaje następnemu gościowi. Robi to wrażenie jakiejś fajki pokoju i jest doskonałym sposobem zdobycia trądu lub czegoś równie wesołego, wymówić się zaś nieraz jest trudno.

Smak szimaronu przypomina jakieś babćcine ziółko, co

zaś do błogosławionych rzekomo skutków usuwania zmęczenia fizycznego i t. p. — to osobiście nie odczuwałem tego. Pożytek szimaronu jest raczej ten, że wobec braku zdrowej wody do picia — pije się przynajmniej wodę gotowaną, z jakim takim smakiem. Być może też, że ułatwia on trawienie mięsa, którego się tu je za dużo.

Kuchnia brazylijska jest wogóle dość niedbała, a w dodatku zwyczaj podawania wszystkiego naraz i brania na talerz wszystkiego naraz — sprawia, że potrawy są zwykle zimne.

Bardzo smaczną potrawą (właściwsza jest ona stanowi Rio Grande) jest «churasco» t. j. mięso smażone nad ogniem na długich kijach, które przypomina rostbef i jest istotnie doskonałe. Bez «szuraska» nie obejdzie się żadna uroczystość ani zabawa: pod specjalnym namiotem czy szałasem kopie się długi rowek w ziemi, gdzie żarzą się węgle, a wpoprzek leżą kije z nabitem na nie mięsem, które się obraca co jakiś czas. Gotowe zaś — wbija się w ziemię nasztore i zaraz znajduje się nabywca, który odcina nożem po kawałku i je.



FOT. X. KOMANDER

OSIEDLE «CABOCLA» W GŁĘBI KRAJU

Papierosy «caboclerskie» też są specjalne: tytoń nosi się skręcony, w postaci cienkiej, długiej kielbasy i w potrzebie tnie się drobno nożem. Bibulkę zastępuje suchy liść kukurydzy (z tych, które otaczają kaczan). Papierosy te są mocne, ale wcale niezłe, zacząwszy raz je palić — zarzuciłem papierosy z jasnego tytoniu w bibulkach, które zostawiały mi pewien niesmak w ustach.

Jeśli się jest w gościnie, a pani domu albo córka wyjdzie do gości, to któraś z nich skręca papierosa, sama zapala i zapalony podaje gościowi.

Życie «cabocla» jest monotonne, bo nawet nieozdobione uroczystościami kościelnymi.

Kościółów jest mało i zresztą religja nie odgrywa w życiu «interioru» żadnej roli, a jak to często bywa w podobnych wypadkach — miejsce jej zajęła zabobonność, dość silna u kabokłów. To też duże znaczenie mają w interiorze «curandeiros» — znachorzy i co dziwniejsze — dość rozpowszechniony jest spirytyzm «nogo-stołowy».

Poziom «wiedzy» curandeirosów jest bardzo różny: jedni istotnie znają wiele leczniczych ziół, inni działają sugestją, a bardzo znaczna liczba ucieka się poprostu do szarlatanerii, skomplikowanego ceremonjału, zażegnowań, czarów i t. p. czyli t. z. «symphatia».

Niektóre z tych sposobów mają być mimo wszystko — skuteczne, np. opowiadano mi, że pewien «curandeiro» «zamówił», i to na odległość, robaki zaległe w skórze bydłęcia, na które żadne lekarstwo nie pomagało. Po trzech dniach robaki całkiem zniknęły. Istnieje też wiele przepisów i przepisów rozpowszechnionych wśród kabokli. Np. niedobrze jest podobno wyjmować «bicho da pé» podczas nocy księżycowej, natomiast dobrze jest pokazać «kończącemu się» księżycowi wrzód, który się nie chce goić, proponując mu zabranie go ze sobą i apelując do «lua nova», aby przyniosła zdrowie.

Na mrówki, które wyrządzają tak wielkie nieraz szkody rolnikowi brazylijskiemu, jest również niezawodny środek: trzeba wziąć część odkrytego mrowiska na łopatę i wynieść za rzekę, nawołując następnie resztę: «Kumy, chodźcie tutaj». Naiwne

stworzonka, złudzone słodkim głosem człowieka, biegną natychmiast i toną setkami w wodzie, o ile... wszystko się uda.

Na odwrócenie gradu dobrze jest skrzyżować dwie siekiery nakrzyż, obuchami w stronę gradowej chmury.

Popularne też są t. z. «oraçao forte» (mocna modlitwa) — jest to rodzaj modlitw — zaklęć na różne okazje życia.

Jeżeli zaś «symphatia» nie skutkuje, to zawsze znajdzie się jakieś wytłumaczenie. Tak np. pewnego cabocla, podczas «rosowania» «capoeiry» napadły osy; drugi radzi mu mówić przez tydzień «Wierzę...» i w niedzielę, przy «wstąpił do piekieł», rzucić w osy kamieniem. Caboclo zrobił tak, ale osy pogryzły go jeszcze bardziej. Idzie więc z pretensją do doradcy. Ten zamyślił się głęboko i wreszcie odgadł przyczynę niepowodzenia: «Wiesz — powiada — to musiały być osy... protestanckie».

Pewien kolonista na kolonji Nas Pavão opowiadał mi, jak taki «curandeiro» wypędzał mu z żyta jakieś żuki, które się rzuciły na dojrzewające zboże. Na każdym z trzech rogów położył dwa żuki nakrzyż i przebił je drewnianym krzyżem z patyków, a czwarty róg — zwrócony do lasu — pozostawiony był, jako jedyna droga ucieczki dla nieszczęsnych żuków.

— A, no — cóż? — spokojnie opowiadał mi ów kolonista, gryząc jakąś słomkę. — Pięć milów (milrejsów) miało i no kosztować — tom myślał, że nie zaszkodzi spróbować:



FOT. P. KIETLIŃSKI.
«RANCHO» — MIESZKAŁNE DUŻEJ RODZINY
«CABOCLÓW»

a nuż poradzi. Chodził ten zamawiacz coś musi z godzinę, i furt coś tam mamrotał a rękami machał.

— No, i pomogło?

— Pomogło, ale jemu na kieszeń — sceptycznie skończył opowiadający.

Doświadczenia z szukaniem wody zapomocą «różdżki czarodziejskiej» są również praktykowane i udają się często, co zresztą zdarza się i w Europie.

O ile «curandeirzy», jako cudotwórcy, nie są ciekawi, o tyle ich medycyna ziołowa wartaby była może zbadania, gdyż mogą się wśród nich tulać jakieś resztki dawnej znajomości tutejszej przyrody, przekazane przez autochtonów.

Wobec pewnej ilości specjalnych chorób brazylijskich, można z niejakim prawdopodobieństwem przypuszczać, że w przyrodzie miejscowej, a nie gdzie indziej, znaleźć można i środki zaradcze. Tak np. wiadomo, że Herva de Santa Maria pomocna jest na anchylostomę, poza tem używane są: Passiflora — środek uśmierzający na nerwy, Canella de Sassafrá — na reumatyzm, Avenca — na bóle w piersiach, Sambaia — na reumatyzm, Morcegueira — ma zwalczać malarję i w. i.

Oczywiście zabobony w swoim rozkwicie nie mogły nie stworzyć różnych nadzwyczajnych postaci; jest więc wilkołak zwany «lobishomem» lub «libishomem» (lobo — wilk), mający te same cechy, co i europejski, jest «capora» «capoira»), — (duch leśny, który pali wielką fajkę i może w nią chwytać psy, dzieci, a nawet dorosłych, jest wreszcie czarownica — «bajtata» lub «bojtata», która ukazuje się wieczorami, jako wielki ogień zielonkawy, unoszący się powyżej drzew. (Ognie takie istotnie widuje się). Można ją przywołać gwizdaniem i jeżeli się zna zaklęcie — będzie służyć człowiekowi.

Prawdopodobnie do dziedziny przesądów należy stawianie czaszki bydłowej na wysokim kiju przed domem — nasuwa to pewne reminiscencje totemów indyjskich; nie znam jednak dokładnie znaczenia tego zjawiska.

Ciekawem zdarzeniem w interiorze jest przemarsz «tropy» bydła lub koni. Kilku ludzi wierzchem, najczęściej na małych



FOT. X. CHYLASZEK

«RANCHO» STARE, W LESIE, SŁUŻĄCE DO NOCLEGÓW W CZASIE POŁOWAŃ,
POMIARÓW I T. P.

mułach, kilka mułów jucznych i spore stado bydła długorogiego, jasnego, przypominającego nasze woły ukraińskie, a mającego dużą domieszkę zebu, a często nawet i czyste okazy tego gatunku.

Kierownik tropy ma kilku pomocników, którzy tu się nazywają — jak wogóle służący — «camarada» — towarzysz. Każdy z nich ma mocny harap, z metalową gałką, krótkim drzewcem i długim rzemiennym batem. Na zadzie zaś muła, podłożone pod ogon, znajduje się lasso, plecione na okrągło z surowego rzemienia.

Lasso, nieużywane wcale na drobnych kolonjach, w dużych fazendach interioru jest poważnym narzędziem. Technika rzutu wymaga dużej wprawy, a niektórzy «camaradas» władają niem świetnie. W stanie Rio Grande do Sul znalazłem inny typ, pochodzący — jeśli się nie mylę — z Patagonji argentyńskiej, mianowicie t. z. «bolasso» albo «boladeira» (także «bozadeira»). Są to trzy plecione rzemienie, dłu-

Ziemia Św. Krzyża

gości około metra, połączone w jednym miejscu, drugi zaś koniec każdego z nich zakończony jest gałką ołowianą.

Używa się go w ten sposób, że bierze się jedną z tych kul pomiędzy wskazujący i średni palec prawej ręki i ściska w dłoni, pozostawiając dwiema kulami nadając całości ruch obrotowy nad głową. Rzuca się w ten sposób, aby środek wyciągniętego rzemienia uderzył w nogi bydłęcia i owinał się koło nich. Czasem rzuca się też i w ten sposób, aby trafić samymi gałkami, wówczas chodzi o ogłuszenie lub zabicie.

Z innych przyborów «tropera» ciekawy jest róg bydłęcia oprawny w metal, używany do picia.

«Tropa» taka odbywa nieraz bardzo długie marsze po ledwie widocznych drogach, coraz otwiera się i zamyka — wedle interiorowego zwyczaju — «portão» czyjejs nieznanej własności i jedzie się dalej.

Tropa bydła dla człowieka pieszego przedstawia poważne niebezpieczeństwo, natomiast człowiek konny, do którego widoku bydło jest przyzwyczajone — jest bezwzględnie bezpieczny.

Odmiernym nieco typem jest «gaúcho» riograndeński: jest roślejszy, zdrowszy, gdyż lepiej żywiony i w zdrowszym żyjący klimacie, lepiej również ubrany.

Regułą są wysokie, żółte buty, bądź mięte i obcisłe, do kolan, bądź ruchome — pozwalające podciągnąć wyżej kolan, lub opuścić do połowy łydki. Spodnie bufiaste, szeroki pas, dość krótka marynarka i «palla» — dopełniają stroju. Czuć tu już hiszpański wpływ Argentyny, skąd pochodzi nawet sama nazwa «gaúcha». Gaúcho zaś argentyński jest ubrany jeszcze znacznie strojniej i ma więcej fantazji.

Gaúcho jest najemnikiem wielkiego fazendera, ale ma godność i wzięcie się człowieka niezależnego. Służba jego jest ciężka: prowadzenie bydła do «Xarqueady» — fabryki suszonego mięsa, wymaga nieraz torreadorskich popisów, zwłaszcza gdy bydło opanuje nagła panika. Wówczas nawet strzelanie z pistoletu nie zapobiega strатовaniu. «Gausca», jak przezywają riograndeńczyków cabocle, musi mieć bardzo dużo odwagi i zimnej krwi.

W smutnem życiu cabocla jedyną atrakcją jest «wenda» lub jakaś «festa» — uroczystość.

«Wenda» jest to sklep, posiadający wszystko, co potrzebne jest koloniście i kaboklowi, a więc: fakony, fojsy, uzdy, baty, pelegi, naczynia, ubrania i t. p. «Wenda» nie tylko sprzedaje, ale i kupuje, obdzierając oczywiście w obu tych procesach wytwórcę i konsumenta, którego zależność od wendzisty, wobec braku transportu i nieorientowania się w rynku — jest zupełna.

Ale «wenda» jest także swojego rodzaju barem i klubem. Panuje tam wszechwładny «cachas», czyniący spustoszenia nie tylko wśród kabokli, ale i wśród kolonij polskich. (Nadużycie cachasu nieraz doprowadza do tego, że życie Towarzystwa Szkolnego na kolonji ogniskuje się nie koło szkoły, lecz koło bufetu. Alkoholizm wyrządza nieobliczalne i wszechstronne szkody w żywiole polskim).

W interesie «wendzisty» leży jednak, aby transakcje odbywały się przy cachasie i popiera jego konsumpcję.

W «wendzie» zatrzymują się «karośnicy», wiozący towar nieraz setki kilometrów, i tam też się schodzą mężczyźni na rozmowę i politykowanie. Słowem «wenda» jest jedynym miejscem rozrywki dla kabokla, który nieraz spędza tam całe dni.

Jeżeli się zaś zdarza jakaś «festa» — zjawia się «churasco», piwo, cachas i niezbędne «fogety» — rakiety, działające podobnie do szrapneli, które z sykiem wyrywają się z ręki i kilkakrotnie strzelają w powietrzu.

Podczas objazdu stanu Rio Grande z p. posłem T. Gra-



FOT. J. O.

«RANCHO» (CZYT. «RANSZO») — SZALAS MIESZKALNY, W MUNICYPIUM ITAYOPOLIS

bowskim byliśmy stale przyjmowani bukietem rakiet i w ten też sposób dawano znać okolicy o naszym zbliżaniu się.

Podczas takich «fest» śpiewa się dużo narodowych «can-son» (niektóre są bardzo wdzięczne) i tańczy się fandango lub macicza — narodowe tańce brazylijskie.

Przy takich okazjach, jak również przy wyborach, zdarzy się czasem jakieś drobne nieporozumienie, zlikwidowane nożem lub kulą, a potem znowu następuje szare życie interioru.

W wielkich fazendach riograndeńskich życie jest bardziej intensywne, gdyż niebezpieczna praca wyrabia tężyznę i dziarskość, caboclo zaś godzi się — po hindusku nieco — z przyrodą i nie wyrabia się w walce z nią.

Stara się raczej — jeżeli jest energiczniejszy — zająć się handlem lub polityką i uciec do miasta. Tam dopiero czuje się szczęśliwy.

XII. ZWIEDZANIE BRAZYLJI.

Dziwnie jeszcze nieco brzmi określenie «zwiedzanie» Brazylii, a przecież co roku bodaj kilku młodych ludzi z Polski udaje się tam, tą myślą przedewszystkiem opanowanych. Poza tem zdarzają się wyjazdy urzędowe kierowników tych organizacyj i urzędów, które mają taką czy inną styczność z emigracją. A wreszcie nie jest wyłączone, że ludzie zamożni, którzy poznali już najbliższe tury wycieczkowe na południu Europy i na wybrzeżach morza Śródziemnego, zechcą zetknąć się z jakąś krainą «bardziej egzotyczną». Dla sporej już liczby osób Brazylja przestaje być fantastyczną krainą z książek podróźniczych.

Dla użytku tych wszystkich chcę dorzucić kilka słów o tem, na co należy zwrócić większą uwagę podczas krótkiego pobytu w Brazylii i co można i warto wywieźć stamtąd, jako pamiątki, czy «curiosités», co wbrew utartym kpinom na ten temat uważam za bardzo niewinną i ładną manję.

Przedewszystkiem trzeba by doradzić podróżującemu do Brazylii wybór okrętu, który zajeżdża do możliwie największej ilości portów. W ten sposób coprawda jedzie się nieco dłużej, ale widzi się bezporównania więcej. Przejazd z Europy do Brazylii okrętem, który nie zajeżdża do żadnych portów, trwa mniej więcej około dwóch tygodni, a nawet może ograniczyć się do dziesięciu dni. Okręt, który odwiedza kilka portów, idzie około trzech tygodni.

Odwiedzane są zazwyczaj te same porty na tej linii. A więc jeden port hiszpański (Barcelona przy wyjeździe z Marsylii, a Vigo przy wyjeździe z portów oceanicznych) oraz

jeden port portugalski (Lizbona). Przyjrzenie się bodaj pobieżne życiu i typom krajów macierzystych tych państw, które mamy zamiar odwiedzić za Oceanem, jest niezmiernie pouczające.

W Lizbonie pozatem bardzo warto zobaczyć klasztor «Belem» (t. j. Betleem) w stylu maurytańskim, z białego marmuru.

Następne stacje to zazwyczaj wyspy Kanaryjskie, z najmiłszym pono klimatem na całym świecie, oraz Dakar — port francuski w Afryce. Tu już można, zwłaszcza w drodze powrotnej, kupić po zupełnie taniej cenie istotnie ciekawe «curiosités», jak poduszki i puffy z kolorowej skóry, szyte złotem, podobne pantofle «babosze», szabelki senegalskie, tace miedziane, z wytłaczanym deseniem, amulety «gri-gri», słonie z hebanu, skóry węzów boa (trzykrotnie tańsze, niż w Brazylii; mniej więcej po 40—50 zł.), oryginalne tkaniny, podobne do naszych kilimów podhalańskich i t. p.

Następują zazwyczaj porty północnej Brazylii: Bahia dos Todos os Santos, zwana krótko Bahia (czyt. Baija - Zatoka) oraz Pernambuco vel Recife. Są one o tyle ciekawe, że północ Brazylii różni się krańcowo od jej południa, zamieszkanego w części przez Polaków i jest — sit venia verbo — o wiele bardziej «egzotyczna». Więcej jest palm, bananów, słońca i murzynów. Bahia, dawna stolica Brazylii, nazywana jest «miastem murzynów i kościołów» i warta jest obejrzenia choćby z samochodu dla uchwycenia jej nastroju, odmiennego od miast południowych. Oczywiście śródmieścia będą mniej więcej wszędzie jednakowe, ze względu na manję Brazylijan upodobniania się jak najbardziej do Europy, względnie Ameryki Północnej, ale stare części miasta lub przedmieścia mają jeszcze swoją charakterystykę.

W pobliżu Bahii jest forteczka Olinda, ciekawa dla nas już choćby z tego względu, że pod nią walczył nasz Arciszewski przeciwko Portugalczykom, a w służbie holenderskiej. Poza tem windy, łączące «górne miasto» z dolnem, stare uliczki dawnego śródmieścia i ciekawa droga linii tramwajowej, dzięki której w parę minut można się wydostać z mia-

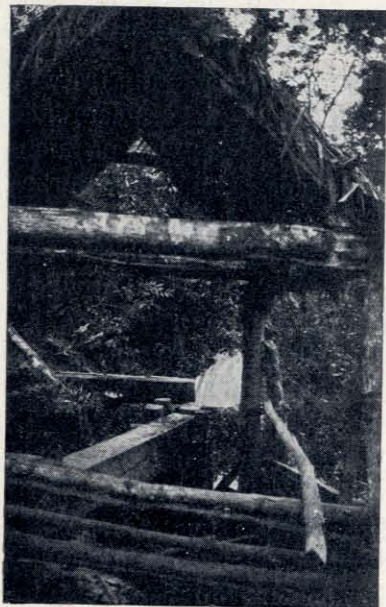
sta w gąszcz drzew i na brzeg morza, gdzie jest coś w rodzaju plaży.

Główną «egzotycznością» Pernambuco są małe tratwy-lodzie, zbite z kilku lekkich pali i chodzące pod żaglem nawet bardzo daleko w morze. Fala je zalewa i spływa po nich, nic im nie szkodząc. Nazywają je «jangada» (żangada). Sprzedają na bazarze miejskim bardzo wiernie odrobione modele tych tratewek, a kosztuje to około dziesięciu złotych. Można też nabyć tam gustowne dywaniki z włókien palmowych. Ktoby chciał kupić małpkę lub papugę, będzie miał w Pernambuco wybór; ceny obracają się w obrębie 10 do 20 zł., mało jest jednak amatorów wobec wielkiego kłopotu z przewozem.

Kilka dni należy poświęcić na Rio de Janeiro, gdzie znowu śródmieście nie zachwyci Europejczyka, ale niezapomniane wrażenie zostawi wielka «avenida» nadmorska, widok otaczających gór, a zwłaszcza widok miasta w nocy, w powodzi światła elektrycznego. Nuży nieco ogromny ruch automobilowy i silny zapach benzyny, unoszący się nad ulicami, a wrażenie wzrokowe psuje nagromadzenie bogatych domków w różnych stylach, stojących obok siebie wzdłuż główniejszych ulic. Warto się wybrać na którą z bliskich wysepek np. Paquetá. Piękny jest ogród Botaniczny, Zoologiczny — mniej ciekawy. Z okazji muzealnych warto zobaczyć wyroby indyjskie z barwnych piórek.

W Rio sprzedają jako «curiosités»: skóry węzów (od 100 do 300 milrejsów t. j. tyleż prawie złotych), łuki indyjskie lub «prawie indyjskie», strzały (nawet «bardzo zatrute»), dość gustowne wyroby ze skrzydeł motyli w postaci puderniczek, pudełek, popielniczek i t. p. (od 10 do 40 zł.), zasuszone skarabeusze, bardzo efektowne a niedrogie, wypchane koliberki a wreszcie dość gustowne fotografie widoków miasta i okolicy. Łatwiej też w Rio, niż gdzie indziej, dostać nuty ewent. płyty ludowych pieśni brazylijskich t. z. «cansonów».

Z Rio zwykle trzeba się przesiąść na mały statek brazylijski przybrzeżnej żeglugi, który po dwóch i pół dobach dostaje się do Paranaguá — portu stanu Paraná. Po drodze statek



FOT. J. O.

«MONJOLA» — STEPA DO KUKURY-
DZY, PORUSZANA WODĄ, ZAPOMOCĄ
BARDZO POMYSŁOWEGO URZĄDZENIA

zajeżdża do Santos, największego portu eksportowego dla kawy. Jediną rzeczą, wartą widzenia w Santos, jest plaża, na której spędzić można sporo czasu, ponieważ postój okrętu w tym porcie trwa zwykle około 8 godzin. Na jednej z bocznych uliczek, niedaleko głównego placu, jest niemiecki sklepik, w którym można dostać nieraz coś ciekawego, z zakresu przyrody brazylijskiej. A więc znowu skarabeusze, kolibry, motyle i t. p.

Paranaguá jest niezmiernie smutnem, ale też dość pięknem w swej melancholji miasteczkiem. Jest tam parę skromnych, ale posiadających pewną patynkę (której nie ma np. Kurytyba) uliczek oraz stary kościół pojezuicki.

Droga kolejowa z Paranaguá do Kurytyby, którą przebywa się mniej więcej w ciągu 5 godzin, może zachwycić nawet bardzo zblazowanego podróżnika. W ciągu tego krótkiego czasu pociąg wspina się od poziomu morza do wysokości 900 metrów nad jego poziom: poprzez góry Nadmorskie na płaskowyż Parany. Tunele, serpentyny, mosty wiszące, śmiałe spirale i ciekawa roślinność wśród skał — wszystko to przykuwa uwagę i wywołuje zachwyt. Z chwilą, gdy wyjeżdża się na płaskowyż Parany, oddycha się naprawdę lżej, ale widok staje się bardziej monotony i nieciekawym. Zjawiają się bezstylowe, czysto użytkowe domki kolonistów, szara roślinność, powiśnięta chorobliwie, kręte drogi, słowem, ów «interior», w którym będziemy odtąd przebywać.

Sama Kurytyba jest dość czystym i sporem miastem,

ale jest raczej «nijaka». Dwa są tylko miejsca, które mogą uradować duszę Europejczyka: to Praca (plac) Ozorio, gdzie jest kilka ładnych palm i ogród miejski «Passeio Publico».

Dopiero rozsmakowawszy się nieco w życiu «interioru», które poznaje się naprzód z celowo lub nieświadomie koloryzowanych opowieści tutejszych bywalców, zaczyna się i w tej Kurytybie widzieć rzeczy ciekawe. Ogniskami «egzotyczności» tutejszych są sklepy rymarskie. Znajdziecie tam typowe tutejsze siodła z barjerką z przodu i z tyłu, obitą srebrem lub jego imitacją, siodła damskie z «balustradą» — ogromne, jak arki Noego; baty i szpicruty plecione ze skóry, często z ciężką galką przy ręczce «na wszelki wypadek», ogromne «fakony» t. j. noże do cięcia drogi w lesie, lassa, skóry jaguarów, wydr, pum; tykwy («kuje») do picia herwy, oraz srebrne rurki-łyżeczki («bomby»), ogromne ostrogi, używane przez kabokłów, ciekawe strzemiona i mundsztuki, oraz barwione skóry baranie, które kładzie się na siodło t. z. «pelegi».

Na wystawach sklepów żelaznych zobaczyć można olbrzymie rewolwery bębnekowe, będące w powszechnym użyciu, dwururkowe pistolety t. z. picapau, karabinki Winchester — najpopularniejsza broń myśliwska tutejsza, a wreszcie wszelkiego rodzaju sztyleciki, które nosi się często skromnie pod kamizelką.

W ostatnich czasach zjawily się sklepy, które specjalnie sprzedają różne dziwa miejscowe. Najpopularniejsze są wyroby z sęka pinjorowego, który jest pięknej czerwonej barwy, gładki w przekroju i ciężki, jak metal lub minerał. Robią z niego popielniczki, pudełka, wazoniki, a nawet klosze do lamp. Niestety, wyroby te mają skłonność do pęknięcia i nie są zbyt trwałe. W podobnych sklepach można też kupić wazoniki, toczzone z pnia paproci drzewiastej «caxim», które są bardzo ładne i trwałe. Czasami trafi się ładna grupa ametystów, skryształizowana wewnątrz sporego głazu, jakaś kamienna siekierka indyjska lub nawet dzida, łuk lub strzały, mające już więcej cech autentyczności, niż wyroby rioskie, skorupa pancernika, skórka żmii i t. p. Naogół jednak tego rodzaju okazy przyrodnicze rzadko się spotykają, ponieważ nikt prawie nie

bawi się w to, żeby po zabiciu żmii ściągać z niej skórę, lub, ugotowawszy zupę z pancernika, przechowywać jego skorupę. Pobywszy nieco dłużej na jakiejś kolonii, można te rzeczy zebrać samemu lub za parę groszy kupić przygodnie od kolonisty, czy nauczyciela, który zajmuje się nieco przyrodą.

Za mojego tam pobytu był w północnej kolonii Apucaranie nauczyciel, P. Borecki, uczestnik częściowy wyprawy ś. p. Chrostowskiego, który miał nieco zbiorów.

W każdym razie warto się postarać o skórę jaguara (200 do 400 zł.), wydry («lontry») około 40 zł., jaszczura («lagarty»), mrówkojada («tamandua»), jadowitej żmii, oraz skorupę pancernika.

Oczywiście, że namiętny poszukiwacz «egzotyki» nie uspokoi się, dopóki nie wyjedzie do «prawdziwego interioru», gdzie oczekuje napadów Indian, sprzymierzonych z jaguarami. Otóż trzeba się przygotować na to, że zarówno polowanie, jak dostanie się do Indian jest nie tylko trudne, ale i kosztowne. «Bliski interior» t. z. życie kolonij jest szare, przeciętne i nieciekawe. Z początku oczywiście zajmować będą przybysza wozy kryte budami i muły z zawieszonymi dzwonkami na pierśsiach, konni i zbrojni «cabocle», nastrój «vendy» przydrożnej, czerwony kolor ziemi na drogach, sylwetka pinjora i t. d. Ale prędzej, niżby się każdy sam spodziewał, przyzwyczai się do tego i zacznie szukać czegoś ciekawszego. Są na to dwie drogi: jeżeli się ma czas i ochotę — zakopać się na rok — dwa na odludnej kolonii i rozglądać się powoli dokoła siebie, trochę fotografując, trochę polując i rozpytując się bywalców (wiarogodnych) o zdarzenia, nazwy i właściwości różnych zjawisk «interiorowych». W takim życiu zdarzy się od czasu do czasu coś istotnie ciekawego na tle długiej nieraz nudy, zwłaszcza deszczowych miesięcy, kiedy człowiek inteligentny nie będzie sobie mógł znaleźć miejsca i bardzo często ucieknie się do... «cachasu», jak bywały tego przykłady.

Jeżeli ktoś nie ma czasu, a ma natomiast nieco więcej pieniędzy, może udać się w głąb stanu na dwa — trzy tygodnie polowania, trzymając się trasy kolonij polskich; tak dla łatwiejszego porozumienia się w swoim języku, jak też dlatego,

że Polacy zazwyczaj siedzą najgłębiej w lasach. Dwa są tylko właściwie miejsca, gdzie można liczyć (i to niezawsze) na poważne polowanie: kolonie polskie koło Apucarany, na północy stanu Parana, i za górą Tayo, w stanie Santa Catharina. Obie te okolice są dość daleko od Kurytyby. Do Apucarany jedzie się kilka godzin koleją do Ponta Grossa, a stamtąd około 200 km samochodem lub końmi. Do kolonij za Tayo jedzie się dobrych kilka godzin koleją do Mafry (Rio Negro) a stamtąd około 5 dni końmi. Blisko od kolonij za Tayo jest rezerwat Botokudów, jednak dostać się do nich niełatwo, bo obecny ich «ułaskawiacz» i kacyk w jednej osobie niechętnie okiem patrzy na przybyszów.

Bardzo i bardzo warto zobaczyć wodospady na rzece Paranie i przy ujściu Iguassú (Foz do Iguassú) do Parany. Jest to jednak droga olbrzymia i podróż samochodem trzeba liczyć na parę tysięcy złotych. Końmi jest oczywiście taniej, ale jedzie się wówczas około miesiąca. Łatwiej się już dostać do tych ciekawych miejsc (są tam i ruiny starej «redukcji» jezuicko-indyjskiej) przez São Paulo i stateczkiem w dół



FOT. A. LINZMEYER

DOM Z TRZCINY, W PASIE NADMORSKIM

po Paranie. Trzeba się jednak wystarać o listy polecające do wszechwładnej w tamtych okolicach kompanji herwowej, której własnością jest kolejka, omijająca wodospady Sete Quedas.

Bliżej już znacznie Kurytyby, na północ, jest kilka ciekawych grot i wodospadów, jak: Tapirussú (6 mil drogi od Assungui), w municypjum Bocayuva mamy: Campninhos, Pedra Preta i Ermida, w mun. Largo: S. Luiz do Porunã, koło Lapy rodzaj balkonu skalnego i grotą rzekomo ongi zamieszкана przez jakiegoś cudotwórcę, 6 mil od Castro, w ser-tonie Ribeira-Grota Santa, w mun. Pirahy — «Puxa nervos».

Z ruin republik teokratycznych wymienilem kilka wyżej: najbardziej dostępne z nich są: Guayara, (nad Parana, powyżej Sete Quedas), Santa Maria (przy Foz do Iguassú) i St. Miguel (w stanie Rio Grande do Sul).

W stanie St. Catharina warto przejechać się drogą żelazną od Rio Negro (a właściwie od Rio Vermelho) do Hanzy. Droga ta niewiele ustępuje drodze Paranaguá-Kurytyba, a jest mało znana ze swej piękności. Piękna jest również szosa, prowadząca do Blumenau.

Z trzech stanów, zamieszkanych przez Polaków, Paraná i St. Catharina mają mniej więcej jednakowy typ krajobrazu. Dla pełności obrazu warto zwiedzić jeszcze stan Rio Grande do Sul, który bardzo różni się od poprzednich. Duże obszary stepowe, odmienna flora i fauna (czerwonaki, kazuary), oraz wpływy argentyńskie (strój odmienny, wysokie buty, «palla» z dziurą na głowę, innego typu łąso t. z. «boladeira») nadają mu ciekawy charakter, dla tego, kto zna już bardziej północne okolice.

Wreszcie wszystkim, wybierającym się do Brazylii, radzę uzbroić się w aparat fotograficzny, bardzo «portable» i z doskonałym szkłem, oraz w hermetyczne, żelazne pudełka do klisz.

Tematów bądź co bądź nie zabraknie.



310959

SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
I. Rozczarowania	7
II. Charakter narodu	16
III. Życie towarzyskie i rodzinne	45
IV. Życie społeczno-polityczne	60
V. Stan ekonomiczny	69
VI. Polacy w Brazylii	81
VII. Przyroda.	90
VIII. Polowanie. Zwierzostan	108
IX. Żmije i węże	123
X. Indjanie	131
XI. «Interior». Koń	154
XII. Zwiedzanie Brazylii	181

